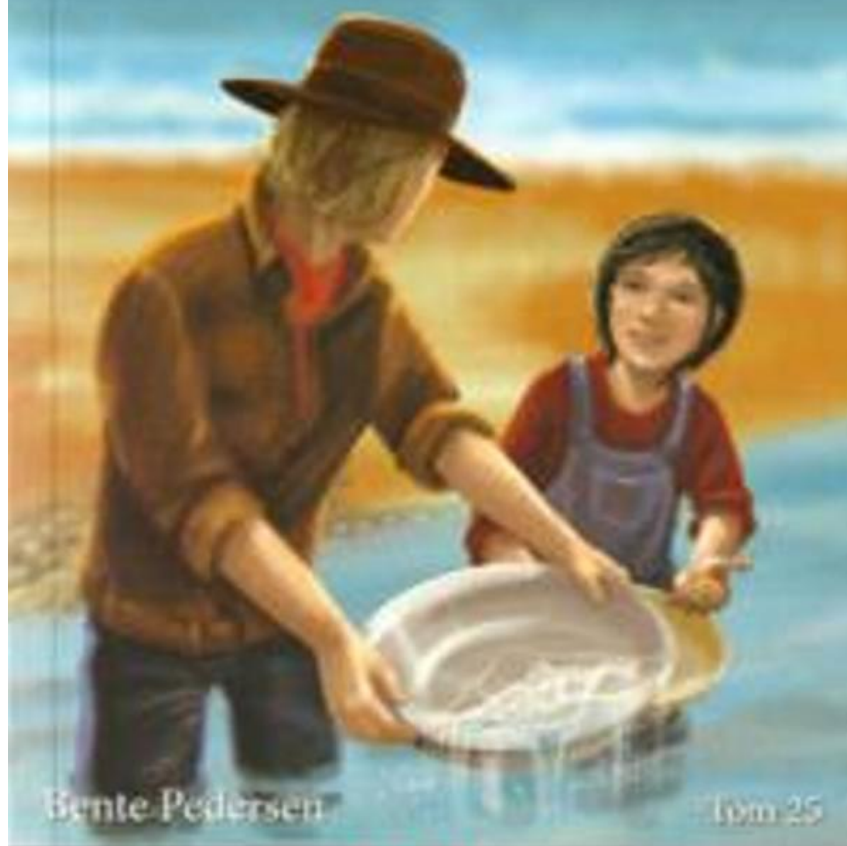


Skandynawska saga

Roza znad fiordów

Złoty raj



Bente Pedersen

Tom 25

Pedersen Bente

Roza znad Fiordów 25

Złoty raj

*Właśnie rozpalili wieczorne ognisko, gdy w oddali usłyszeli krzyk.
-Złoto, złoto!
Nagle wszyscy zerwali się na równe nogi. Ruszyli biegiem, by zobaczyć odkryty skarb.
Boże spraw, żeby to była prawda, myślała Roza. Spraw by to marzenie się spełniło. Może dzieli ich tylko jeden ruch łopatką od bogactwa, które sprawi, że będą mogli stąd wyjechać. Uciec od ulewnych deszczy i błota, od przemokniętych namiotów i głodnych dzieci.
Jeremy objął Rozę ramieniem, nie mając pojęcia o niebezpieczeństwie czającym się w mroku.*

Rozdział 1

Dźwięki.

Zawsze te dźwięki!

Słyszała śpiew żelaznego łomu uderzającego o kamień.

Słyszała zgrzyt szpadli. I ludzkie głosy.

Kiedy jednak zaczynała się budzić, dźwięki słabły. Wiedziała dlaczego. Dźwięki łączą się z dniem. I ze snami, które miewa za dnia. Nocą budziły ją marzenia, w których przeżywała swoje prawdziwe dni.

Kiedy się budziła, zawsze było tak, jakby nie miała ciała. Jej szeroko otwarte oczy widziały tylko ciemność, a dźwięki powoli milkły. Aż ostatecznie ustawały.

Bo nie były rzeczywiste. W ciemnościach panowała cisza.

Nie, niezupełnie. Słyszać było trzask ognia. Docierały też do niej pomruki i szepty rzeki. Słyszała stukot końskich kopyt. Zwierzęta jakby cicho ze sobą rozmawiały.

Były też ludzkie głosy. Jeśli więc o to chodzi, to się nie myliła. Te głosy nie stanowiły części snu. Było ich sporo. Nie rozróżniała słów, ale rytm zdań do niej docierał. Dawał poczucie bezpieczeństwa.

Śpiewały cykady. Zaczyna się ciepła pora. Powietrze jest bardziej suche.

W końcu mogła zobaczyć siebie. Oczy przywykły do gęstej ciemności. Mogła spojrzeniem ogarnąć własne ciało. Przyjrzeć się rękom, jeśli je uniesie.

Poczuła się obolała. Ziemia była twarda. Nie pomagały nawet liczne warstwy kołder. Sięgnęła dłonią nad brzeg pośłania. Naga ziemia, pokryta pyłem. W ciemności nie rozróżniała innych kolorów, tylko czerń, różne odcienie czerni, i czerwoną poświatę znad ogniska, która wyglądała niczym ziemską gwiazda.

Plandeka nad głową była w dziennym świetle przezroczysta. Nocą stawała się czarna jak wszystko inne, ale stanowiła przynajmniej jakiś dach nad głową. A nie wszyscy go mają. Jeremy rozpiął plandekę pomiędzy kilkoma wątłymi drzewami. Kobieta leżała teraz i nasłuchiwała, plandeka też wydawała dźwięk; słaby, bardzo słabiutki, bo prawie nie było wiatru.

Nie było też owadów. Nic nie podziurawiło mo-skitiery. Kobieta wyciągnęła ręce, poruszała nimi przez chwilę.

Usłyszała jęk Jordy'ego.

Odwróciła się bezszelestnie na bok. Zrobiła to gwałtowniej niż zamierzała i omal nie przycisnęła Lily. Dziewczynka mruknęła zirytowana, machnęła ręką w stronę Rozy, w stronę tego, co przeszkadzało jej spać.

Roza usiadła tak cicho, jak to możliwe.

Poczuła, że po jej drugiej stronie poruszyło się jakieś inne ciało.

Matt? Jeremy?

Ostrożnie macała lewą ręką. Wkrótce na coś natrafiła.

To nie było ciało dziecka.

Ani Jeremy'ego. Jeremy jest chudy.

To jakiś inny mężczyzna.

Roza położyła się i bardzo ostrożnie odwróciła. Znowu przysunęła się do Lily, która mruknęła coś przez sen. Ją tak łatwo zirytować. Roza wstrzymała dech, by nie przerywać córce odpoczynku.

Wszyscy potrzebują snu i spokoju.

Tamten spał przy niej głęboko.

Dobry Boże, kto to jest?

W ciemności nie można było dostrzec rysów twarzy. Roza nie rozpoznawała też oddechu. Zresztą, jak mogłaby rozpoznać?

Przecież nie ma męża.

Nie miała mężczyzny od czasu wyjazdu z Savannah.

Jedynie udaje, że jest z jednym. Jego oddech zna, oddech Jeremy'ego. I oddechy dzieci też by natychmiast rozpoznała.

Wolno przesuwiała dłoń po nagim barku mężczyzny. To ktoś przywykły do pracy fizycznej. Ciało ma gładkie, nieowłosione. Kark wydaje się bardzo silny.

Poruszył się lekko pod dotykiem jej palców, ale się nie obudził. Uniosła dłoń i dotknęła jego szczęk.

Zarost. Jego szczęki pokryte były szorstkim zarostem. Broda spiczasta, koścista, twarz wąska. Ten mężczyzna miał wysokie czoło, brwi ułożone pod kątem, który wydał jej się znajomy.

Wstrzymała dech.

Nie miała odwagi rozpoznać tej twarzy. Badała ją opuszkami palców jak niewidoma i zastanawiała się, czy się myli, czy w ogóle może się mylić.

Czy świat właśnie taki był dla Olego, kiedy stracił wzrok? Czy wszyscy wydawali mu się tacy, jakimi pragnął ich widzieć? Czy to dlatego nie mógł kochać Liisy, kiedy odzyskał wzrok?

Roza rozpoznawała tę twarz.

Dotykała jej ostrożnie, leciutko, niczym skrzydełka motyla, bo bała się, że go obudzi.

Bała się, że będzie wiedzieć.

Bała się, że się pomyliła.

Bo przecież nie może mieć racji.

Kiedy jednak położyła się na swoim posłaniu, nie znajdowała wielu możliwych odpowiedzi. Tylko jedną. Niemożliwą.

Obejrzała go opuszkami swoich palców i bała się zamknąć oczy, żeby nie zasnąć. Jeśli zaśnie, będzie się potem musiała obudzić.

Wtedy zrobi się już widno.

I Roza zobaczy go oczyma.

Możliwe, że będzie to ten sam obraz, który dotarł do niej za pomocą palców.

Stwierdzi, że przy niej leżał Seamus.

Nie miała odwagi znowu go dotknąć. Leżała bez ruchu, niemal bała się oddychać. Nie powinna była zasypiać, ale mimo to zasnęła.

Kiedy nadszedł dzień i zrobiło się jasno, Roza obudziła się sama, tylko z dziećmi. Nawet Jere-my'ego nie było widać. Więc chyba wieczorem nikt obcy obozu nie odwiedzał. Wobec obcych trzymali się tego, że są małżeństwem. Nie ma powodu, by ktoś wiedział, że jest inaczej. Kiedy w obozie pojawiał się jakiś gość, Jeremy zachowywał się jak małżonek.

Poza tym jednak dawał jej pełną swobodę, podobnie jak inni mężczyźni z grupy. Poszukiwacze złota nie powinni mieć wątpliwości, że Roza do nich wszystkich odnosi się tak samo. To ważne dla nich, i dla niej także. Jeremy miał własną planerkę na wypadek niepogody. Rozpinał ją między drzewami i po nocach trząsał się z zimna jak wszyscy. Kiedy było ciepło, wołał spać pod gołym niebem. Żaden z mężczyzn nie miał też moskitiery. Rezerwowano ją dla Rozy i dzieci. Mężczyźni zresztą nazywali to dziwactwem. Ona i dzieci powinni mieć co najlepsze, uważali poszukiwacze złota. Ich zdaniem Jeremy okazał się bezmyślnym młokosem, ciągnąc ją na złotonośne pola. Powinna była zostać w Geelong, zwłaszcza, że stać ją na to. Nie rozumieli, dlaczego i Roza, i Jeremy postanowili, że kobieta wyruszy na pustkowia, gdzie nie będzie miała nawet odrobiny komfortu.

Ale ona tak chciała, a Jeremy ją wspierał.

Nie mogła spuścić go z oczu. Był jej biletem do Nowej Zelandii. Jej kluczem do życia, za którym tak tęskniła.

Ale rozumiała też jego marzenie i nie chciała stawać mu na drodze. Chciała, by miał możliwość stać się kimś.

Niech jego krewni zobaczą, jak poradził sobie bez nich. Powinni widzieć, z jaką stanowczością działa. Jaki przywódca tkwi w jego ciele.

Pora była wczesna.

Jeremy leżałby jeszcze obok niej, gdyby uznał, że to konieczne. Gdyby wieczorem zawitali tu jacyś obcy. Jeden z pozostałych mężczyzn zająłby jego miejsce tak, by Jeremy mógł położyć się

obok niej. Nikt nie musiał im mówić, co mają robić.

Matta też nie widziała przy sobie. Chłopiec wolał sypiać u Jeremy'ego. Również on uwolnił się od Rozy. I od Lily. Dziewczynka bardzo to przeżywała, odczuwała jako zdradę najlepszego przyjaciela. Na dodatek w jakiś sposób odebrał też Lily Jere-my'ego. Roza wiedziała, że chłopiec tęskni za ojcem bardziej, niż to okazuje. Wiedziała, że wciąż przeżywa wielki żal i że ta niekończąca się, długa podróż wcale mu nie pomaga. Nie myślał o Joem jako o opiekunie. Joe więcej uwagi poświęcał Lily. To ona była ubóstwianym dzieckiem wuja. Matt czuł się obcy. Natomiast Jeremy interesował się obojgiem tak samo. Jeremy, tak niepodobny do Mattiasa, zdobył serce Matta. Dotarł do niego, stał się jego przyjacielem i bratem, wujem i ojcem. Matt chodził za nim jak cień. Wielbił go. Ubóstwiał.

Żaden z nich nie spał dzisiaj u Rozy.

A więc nie było żadnych obcych w obozie. Więc to wszystko musiało się jej przyśnić.

Znowu zaczyna mieszać rzeczywistość i sny. To przerażające, zwłaszcza że żadna z jej pramatek zdawała się nie mieć w tym udziału. I przerażające, bo wydaje się takie rzeczywiste. Roza nie mogła pozbyć się wrażenia, że wciąż czuje pod palcami jego twarz. Ciepło jego skóry. Czują to tak, jakby naprawdę go dotykała. Czy człowiek może mieć tak wyraziste sny?

Chyba tak, miewała już sensne marzenia, które mogły śmiertelnie przerazić zwykłego człowieka. Przeżyła więcej, niż ma odwagę pamiętać. Mimo

to wydarzenia ostatniej nocy ją przeraziły. Przecież Seamus nie żyje. Drugiej możliwości wołała nawet nie rozważać.

Trzeba uznać, że wszystko jej się przyśniło.

To kompletne szaleństwo. Sam zdawał sobie z tego sprawę, więc może nadal byłby w stanie zachować zdrowe zmysły.

Potrafił bezszelestnie stanąć obok, a to, co widział, sprawiało, że sam siebie przywoływał do porządku. Wiedział, jakie to szalone.

...niszczące...

...chore...

...niebezpieczne...

Rozumiał, co się dzieje. Był niczym dwóch ludzi. Jeden, który rozumiał i wiedział, że to szalone i przerażające. Na dodatek głupie.

Ten drugi myślał inaczej. Ten drugi nie mógł tego zatrzymać. Chciał kontynuować i kontynuować, wciąż szukać nowych szans. Ten drugi chciał mieć więcej. Coraz więcej.

Myślał, że jest ich dwóch, ale zdawał sobie sprawę, że to się nie zgadza. Wiedział, że to on jest i jednym, i drugim. Że nawet w jego myślach nie występują jako dwie odrębne osoby. Byli niczym dwie dłonie splecione palcami. Można je rozdzielić, ale tak naprawdę są jednością. Dwoma wcieleniami tego samego. Dwoma, z których żaden nie może istnieć sam. Który musi mieć tego drugiego, by być całością.

Nie sobą samym oraz tym drugim.

Tylko sobą.

Siedział na końskim grzbiecie od brzasku. Starał

się, by odległość między nim i nią była możliwie jak największa. Kiedy ogarniało go szaleństwo, doznawał paniki. Wtedy musiał jechać możliwie jak najdalej.

Dla tego ryzykował wszystkim.

Było to może bardziej niebezpieczne niż owo naprawdę niebezpieczne życie, jakie prowadził.

Zawsze był podzielony.

Odkąd pamięta. Syn prostytutki i złodziejki z Londynu. Syn kurwy i prymitywnego marynarza znikąd. A zarazem bogobojnej matki Smithers i kapitana. To oni zawsze podkreślali, że chłopak składa się z dwóch części. Jeśli zrobił coś złego, był synem dziwki, która zmarła w kolonii karnej na Tasmanii. Wtedy dawała o sobie znać zła krew, którą odziedziczył i matka Smithers zalewała się łzami, dopóki kapitan nie zdjął pasa i go nie ukarał. Zła krew w jego żyłach wielokrotnie dawała

o sobie znać. Skóra paliła, a ciało ropiało tam, gdzie trafiał zniszczony pas.

A kiedy sprawiał im radość, kiedy mogli być z niego dumni, był ich synem. To ich właściwy

i bogobojny wpływ wypędził zeń szatana. Wtedy stawał się nieszczęśliwym dzieckiem, które jednak odnalazło Jezusa dzięki ich surowemu, ale sprawiedliwemu i pełnemu miłości traktowaniu.

Zawsze składał się z dwóch.

Nigdy nie wiedział, którym jest bardziej. Był więc i jednym, i drugim.

Znalazł sposób życia pozwalający być synem i jednych, i drugich rodziców. Jakby ciemność i światło zostały w nim połączone.

Nauczył się radzić sobie z tym. Nigdy nie bał

się, że spotka siebie lub że ktoś go rozszyfruje. Wywierał nacisk na tych, którzy wiedzieli. Nikt by go nie zdradził, a on zawsze działał ostrożnie. Niewielu ludzi postrzegało go jako rabusia z buszu. Rozbójnik ukrywał się w cieniu. Wyprowadzał swoje oddziały z mroku. Był hoydingiem ciemności.

Policjant cieszył się szacunkiem, a żył jak większość. Popijał z ludźmi z różnych warstw. Potrafił rozmawiać z każdym. Na służbie był surowy, ale sprawiedliwy. Lubili go.

Udawało mu się zachowywać równowagę. Dobrze znał punkty, dzięki którym żadna z części jego osobowości nie zyskiwała przewagi. Ciemność nie zajmowała więcej miejsca niż światło. Sam sobie w drogę nie wchodził.

Nikt nie podejrzewał rabusia z buszu, że jest policjantem. Nikomu nie przyszło na myśl, że policjant napada na podróżnych. Wszystko układało się perfekcyjnie.

I oto pojawiła się ona. Zachwiała i zburzyła równowagę.

Doprowadziła go do szaleństwa. Odkąd ją zobaczył, obudziło się w nim coś, co ją rozpoznawało. Czuł, że nawzajem do siebie należą.

Mimo woli dotknął swojej bransoletki, cieniutkiego, twardego warkoczyka z jej miedzianorudych włosów. Coś ich połączyło i ona też zdawała sobie z tego sprawę. Widział to w jej oczach. Dostrzegł to w tej krótkiej chwili, kiedy pozwolił sobie odsłonić przed nią twarz.

Rozpoznanie.

Zaskoczenie.

Coś w rodzaju lęku.

Nie chciał wierzyć, że bała się właśnie jego, ale lęk jednak dostrzegał.

Najbardziej mimo wszystko zastanawiał się nad rozpoznaniem. I to go do niej ciągnęło. Coś, co mieli wspólnego, a on nie wiedział, że to możliwe. Nie widział jej nigdy przed napadem na wozy, którymi ona i mężczyźni podróżowali na południe. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie kogoś podobnego. Nie byłby w stanie. A teraz ona zajmuje wszystkie jego myśli. Wkrada się do jego snów i również chwile wypoczynku napęnia niepokojem. Odkąd ją spotkał, bardzo źle sypia.

Brakuje mu odprężenia.

Jest zmęczony.

Oficjalnie kontrolował w tej okolicy poszukiwaczy złota. Pilnował, by wszyscy mieli licencje, a tych, którzy nie mają, przekonywał, by zapłacili. Dotychczas nikt mu jeszcze nie odmówił.

Miał więc zadanie i powód, by tutaj być. To dawało jeszcze większą swobodę bycia człowieka ciemności, żyjącego po drugiej stronie prawa, którego strzeże w świetle dnia. Ale nie sprowadził swojej małej bandy. Tym razem chciał po prostu zobaczyć kobietę.

Być blisko niej.

Dotknąć jej.

Usłyszeć jej oddech.

Poczuć jej zapach.

To szaleństwo. Jest naprawdę szalony, ale nie potrafi się powstrzymać.

Idiotyzmem jest zakradać się w ten sposób do ich obozu, ale zrobił to z wielką łatwością. Zmartwiło go, że nie zabezpieczyli lepiej namiotów.

Pewnie wciąż niczego jeszcze nie znaleźli. Bardzo niewielu znajduje złoto przy pierwszym ruchu łopata. Jej mąż ze swoimi towarzyszami nie należy chyba do takich szczęśliwców.

Pragnął ją tylko zobaczyć i oto odkrył to niemożliwe, to niewiarygodne, czego nadal nie rozumiał, ale co sprawiało, że serce tłukło mu się w piersi. Starał się nie słuchać jego ciężkich uderzeń. Krew płynęła szybciej w żyłach, w głowie się kręciło.

Nadal niczego nie rozumiał, ale przyjmował to jako dar łaski sił wyższych. Tyle, że nigdy nie wierzył w żadnego Boga.

Mąż nie spał na posłaniu żony.

Widział jego i chłopca, i jeszcze jednego z mężczyzn pod gołym niebem, gdy tymczasem ona spała w innym miejscu z córką i najmłodszym dzieckiem. Sama. Pod moskitierą i pod rozpiętą między drzewami plandeką.

To było wariactwo, ale stanowiło odpowiedź na marzenia i tęsknoty, których sobie nawet nie uświadamiał.

Oszalałmijająco niebezpieczne, ale warte zachodu.

Wślizgnął się bezszelestnie pod moskitierę. Przedtem ściągnął kurtkę i koszulę, tak jakby to zrobił, gdyby był jej mężem. Chciał dotykać skórą jej skóry. Poczul łaskotanie jej włosów na swoim nagim ramieniu. Leżał przy niej i nie był w stanie zasnąć. Rozkoszował się każdą chwilą.

Prawie dał się rozpoznać. Wtedy, kiedy ona na pół rozbudzona, zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Kiedy przesuwiała dłonie po jego twarzy, kiedy badała go opuszkami palców i dłońmi, a on

pragnął jedynie opleść ją ramionami i mocno do siebie przycisnąć.

Ale potrafił się opanować.

Był z tego bardzo dumny.

Trzymał się w ryzach i po prostu leżał przy niej. Pozostał w marzeniu, zarówno jej, jak i swoim. Ona nie odważyła się dłużej go dotykać.

Nagle cofnęła dłonie.

Potem przez jakiś czas wyraźnie kontrolowała oddech. Wsłuchiwał się, próbując równocześnie oddychać tak, jak oddycha śpiący mężczyzna.

Ona najwyraźniej nie miała pewności, czy to sen, czy jawa. Nie bała się.

To było najmniej niebezpieczne. Ona go rozpoznała. Nie jako napastnika z buszu, ale go rozpoznała. Wiedziała, co ich wiąże. Musiała wiedzieć.

Ale on uciekł.

Kiedy spała, wymknął się tak samo bezszelestnie, jak przyszedł. Jej mąż nadal znajdował się tam, gdzie przedtem. Może był pijany. To tajemnica, której Charles nie pragnął zgłębiać. Ona otoczona jest tajemnicą. I niech tak pozostanie. Niech będzie zagadką, której on nigdy nie rozwiąże.

Ale musi ją znowu zobaczyć.

Nabrał pewności, że ją kocha.

Rozdział 2

- Obcy? - spytał Jeremy, unosząc prawy kącik ust i wzruszając ramionami.

Obszerna kurtka, którą Roza pamiętała jeszcze z Ameryki, uniosła się niczym żagiel. Szczupłe ciało Jeremy'ego było masztem.

- Dziś w nocy konie były niespokojne - stwierdził Blix, który pojawił się między Jeremym a Rozą.

Czasem ten człowiek porusza się ciszej niż cień. Trudno pojąć, jak to robi, bo zwykle ręce mu się trzęsą, jakby marzył. Tylko alkohol potrafi wypłoszyć niepokój z jego ciała.

- Słyszałem.

Spoglądał to na jedno, to na drugie. Ostatnio codziennie rano czesał na mokro opadającą na czoło grzywkę. Była tak brudna od kurzu i potu, że uczesanie trzymało się przez cały dzień, nawet przy wietrze.

- Coś ci się przesłyszało - prychnął Jeremy. -A skąd ty możesz o tym wiedzieć? Przecież spałeś.

-A ty nie? - spytał cierpko Jeremy. W jego głosie było zdziwienie, ale i ostrzeżenie, które nie uszło uwagi Rozy. Są tak małą grupą i żyją tak blisko siebie, że każda zmiana w zachowaniu budzi czujność.

- Nie potrzebujemy nocnych straży, Būx. Jeszcze nie teraz. Potrzebujemy snu. Dni są bardzo męczące. Poza tym nie znaleźliśmy jeszcze niczego, co można by ukraść.

- Ale tylko my o tym wiemy - odparł Blix, rozglądając się dookoła. Jakby wciąż trzymał straż. -A mamy wykrzyczeć wszystkim rozbójnikom, kiedy coś znajdziemy? Wtedy nagle mamy zacząć wystawiać strażę? Jesteś dostatecznie sprytnym facetem, Jordan, ale chyba zawsze żyłeś pod dachem. A ja nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem dom. Pamiętam natomiast kilku sprytnych facetów, którzy stracili życie. - Blix nigdy aż tyle nie powiedział o swojej przeszłości. Ale to potwierdzało ich domysły. - I w przeciwieństwie do innych poszukiwaczy my mamy ze sobą Rosie i dzieci. To ty się przecież najbardziej upierałeś, żeby nie zostawiać jej w Geelong. To teraz się o nią zatroszcz! Jeśli coś jej się stanie, wszyscy uznamy, że ty za to odpowiadasz.

-Ja dam sobie radę sama - uśmiechnęła się Roza pojednawczo. Czegoś takiego zawsze się bała. Za nic nie chciała stać się przyczyną rozłamu, ale przecież nie mogła zostać w Geelong. Musiała trzymać się Jeremy'ego. On jest jej, przewodnikiem.

Poklepała Blixa po ramieniu i uśmiechnęła się. To jeden z tych uśmiechów, który sprawiał, że Jeremy zaczynał myśleć o niesprawiedliwościach świata. Ranek był pogodny. W świetle wyraźnie było widać jej oszpecony policzek. Gęstą siatkę cieniutkich naczyń i blizn.

Kiedy Roza się tak pięknie uśmiecha, on musi patrzeć na ten policzek. Być może zauważyła to, nigdy jednak nie wyglądało, że się przejmuje. To też go dziwiło.

Blix również patrzył na Rozę. Ale zachowywał się wobec niej uprzejmie na ten swój dziwaczny sposób. Jeśli chodzi o kobiety, Blix był staroświecki. Porządne stawiał na piedestale.

- Dajesz mu powody do jeszcze większych obaw - szepnął Jeremy, kiedy Blix odszedł bez pożegnania. Po prostu ruszył przed siebie, urażony, z rękami w kieszeniach i łopatkami sterczącymi pod koszulą.

- Zachowujesz się wobec niego paskudnie! On ma z pewnością swoje powody do obaw!

- Nie chcę się zastanawiać, jakie to powody - zapewnił ją Jeremy. - Niech Blix dba o siebie, Rosie.

To było ostrzeżenie, którego z szacunku dla niej nie wyraził ostrzej.

- Dlaczego kobiety wzruszają się wobec takich jak Blix? W towarzystwie pań jest tak skrepowany, że nie wie, co zrobić z rękami. Ale damy go lubią. Jakby tęskniły za mężczyznami, którym mogą matkować.

- Jeśli o mnie chodzi, to mam dzieci pod dostatkiem - stwierdziła Roza ostro i ujęła się pod boki. To najlepszy znak, że się rozzłościła. - Na dodatek do tych czworga, które uważam za swoje, mam jeszcze ciebie.

Jeremy nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Wzruszyło go, że ona wciąż uważa Mikey'a za swojego syna. Nie zapomniała o nim. Zaczął rozmyślać o chłopcu, który mógłby być bliźniakiem Lily, jej bratem, ale nim nie jest. O tym, który do żadnego miejsca nie przynależy. Zanim Jere-

my spotkał Rożę w porcie w Sydney kilka miesięcy temu, nawet nie marzył, by zostać ojcem. A teraz w jakimś sensie jest nim dla dwojga dzieci. Tylko Lily wyraźnie daje do zrozumienia, że miała ojca, który nie żyje. Dziewczynka potrzebowała starszego brata, więc Jeremy nim został. Bratem. Tak jak jest bratem dla Rozy. Bratem, który ją chroni, czy jej się to podoba, czy nie. Tutaj w Australii został i bratem, i ojcem. Może też dojrzał jako człowiek.

- Jest jeszcze Matt - powiedział Jeremy. - Lily ma ciebie. Jordy ma ciebie i mnie. Matt zdaje się nie mieć nikogo. Więc ja próbuję mu pokazać, że się myli. Ze dla niego też ktoś istnieje. I że to jestem ja. A w takim razie muszę oddzielić go od Lily.

Roza to rozumiała, może nawet wiedziała o tym bez jego tłumaczeń. Nic jednak nie mogła poradzić na ogarniający ją niepokój. Jedna część jej chciała wierzyć, że to był sen, nic innego. Druga część szeptała zdradziecko, że to musiała być rzeczywistość. Choć to kompletne wariactwo, Roza pragnęła właśnie tego. Chciała zobaczyć tego człowieka.

Właściwie nie wierzyła, że to był sen. Choć rano nie znalazła żadnych śladów po jego wizycie, miała niemal pewność, że tu był. Nie jako sen, nie żaden cień czy odbicie jej tęsknot.

On tutaj był.

Jako mężczyzna. Jako człowiek, który ich okradł w górach na północ od Geelong. Wiele tygodni temu. Wtedy mignęła jej jego twarz. Dzisiejszej nocy rozpoznała ją opuszkami palców.

Seamus obiecał się nią opiekować.

Zawsze.

Seamus nie zakładał, że tak szybko umrze, zostawiając ją i dzieci.

Były to jakby dwie odrębne myśli: mężczyzna, który odwiedził ją w najgłębszej tajemnicy i Seamus, który obiecał dbać o nią i zawsze jej pilnować. Nie potrafiła oddzielić tych dwóch myśli od siebie.

-Jesteś taki dobry dla Matta - powiedziała, nie dopuszczając Jeremy'ego do swoich myśli. On nie ma z nimi nic wspólnego. Nie dotyczą go.

Jeremy zauważył, że Roza od czegoś go odsuwa. To go zabolalo. Nie ma do jej myśli większych praw niż pozostali mężczyźni. Przeważnie żartuje i śmieje się, ale wierzył, że Roza dostrzega też w nim coś głębszego. W jej towarzystwie był bardziej otwarty niż w towarzystwie innych ludzi, nawet Jared nie znał go tak dobrze.

- Casey przygotował coś ciepłego - rzekł. -Nie pytaj, co to jest, ale chyba z garnka na nas nie wyskoczy, więc myślę, że spokojnie możemy zjeść.

Roza uśmiechnęła się. Odległość między salą jadalną zarządu kopalni w Kafjorden a złotonośnymi polami w Australii jest ogromna. Tutaj na pustkowiach mężczyźni w dodatku nie pozwalają jej gotować. Zdziwiliby się, gdyby im powiedziała, że o mało nie zaczęła kiedyś pracować w kopalni miedzi. Teraz jednak chodzi bez zajęcia, miesiące mijają, a ona nic nie robi.

Maj się skończył, nastał czerwiec, potem lipiec, a teraz nadchodzi sierpień. Jeremy uważał, że skoro dali sobie radę w zimie, to i teraz nic ich nie zaskoczy. A jak tylko zgromadzi dość pieniędzy,

by móc samodzielnie wystartować w życiu, opuszczają to miejsce.

Roza dała mu miesiąc, ale teraz żadne nie wspominało, że jest to najdłuższy miesiąc w historii świata.

Tyle już w życiu słyszała obietnic.

Ona też obiecała Joemu dwa lata.

Ten czas wkrótce dobiegnie końca.

Zastanawiała się, czy Jenny żyje. Nie była zresztą pewna, co by wolała. Joe zasłużył na inną niż ona. Jenny była dla niego odpowiednią kobietą. Nic jednak nie trwa wiecznie. Zastanawiała się też, jak się powodzi Olemu i Stelli. Czy brat naprawdę wyruszył na zachód. Jeśli oczywiście żyje.

Była przekonana, że tak.

Gdyby umarł, wiedziałyby o tym. To jej brat. Łączyła ich więź, której nigdy nawet nie próbowała wyjaśnić.

Nie była głodna.

- Do diabła! - wrzasnął Blix z rzeki. Stał po kolana w wodzie, trzymając w trzęsących się rękach miskę do płukania złota. Wyglądał, jakby mu było zimno. Ale oni wiedzieli lepiej.

- Do diabła, chłopaki! Znalazłem to! Znalazłem złoto, do cholery!

Przenikliwy głos unosił się ku niebu.

Mężczyźni rzucali, co który miał w rękach i pędzili w stronę brzegu. Do Blixa, który wciąż potrząsał swoją wielką, szarą, cynkową miską, którą kupił w Geelong jako miednicę do mycia. Mężczyźni zbili się nad wodą w gromadę, stali przed nim niczym wierni przed Janem Chrzcicielem.

-Znalazłem to - szlochał Blix, wyciągając ku nim miskę. Płacząc, stał w wodzie. Nie zdawał sobie sprawy, jaka jest zimna, ani z tego, że jest kompletnie przemoczony.

Grupka mężczyzn mamrotała coś w uroczystym skupieniu, nie ruszając się z miejsca. Jakby się bali, że ich wspólny sen zniknie, jeśli to zrobią. Była to cudowna chwila, przeniknięta ich wspólną nadzieją. Ostatecznie to dzieci zburzyły magiczny nastrój. Lily i Matt wskoczyli do wody. Dziewczynka nawet nie uniosła w górę spódnicy. Woda sięgała jej do połowy ud, ale ona tego nie zauważyła, szła po prostu za Mattem, który biegł przed nią, wysoko unosząc kolana. Oboje ochlapywali się wodą, w której odbijało się poranne słońce, zabarwiając krople wszystkimi kolorami tęczy. Wydawało się, że dzieci otacza niezwykle blask.

W końcu oboje stanęli ramię w ramię z Blixem, a on opuścił miskę tak, by mogli zajrzeć do środka. Trzymał ją teraz niemal nieruchomo.

- Złoto! - szepnął kompletnie wyczerpany.

- To jest złoto? - spytała Lily czystym głosem, w którym słychać było głębokie rozczarowanie.

Blix kiwał głową. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej, nie był w stanie nawet myśleć przytomnie.

- Te małe paprochy?

-A myślałaś, że co to będzie, głupia? - spytał Matt, nie spuszczając wzroku z migotliwych okruchów na dnie miski.

-Myślałam, że bryłki. Byłam pewna, że bryłki. A nie jakieś drobne okruchy. One wyglądają jak kurz. Jak ptasie odchody.

Jeremy otoczył ramieniem Rożę, odwrócił się ku niej, by ukryć śmiech. Jego jasne oczy błagały Rożę, by nic nie mówiła, plecy mu się trzęsły i bardzo się starał nie wybuchnąć głośnym śmiechem. By nie zwracać na siebie uwagi. To akurat nie było trudne, bo wszyscy gapili się na Blixa. Roza też. Jeremy, znajdujący się tak blisko niej, stał się nagle nieważny, irytujący niczym natrętny owad.

- Mogę zobaczyć te twoje złote paprochy? - spytał Nick i ruszył w ślad za dziećmi. Zachowywał się bardzo uroczyście. Wszyscy poszli za nim. Wkrótce otoczyli kręgiem Blixa, który nadal trzymał miskę tak, by dzieci mogły patrzeć, więc pozostali musieli się pochylać.

-Ja nie wierzę, że mała ma rację - mruknął Jack.

- A ja nie myślałem, że złoto tak wygląda - wtrącił Conny z niemal takim samym rozczarowaniem jak Lily.

-A co wy możecie wiedzieć o złocie? - spytał Blix, wyprostował się i wysunął do przodu chudą pierś. - O ile mi wiadomo żaden z was nie znalazł jeszcze nawet uncji.

- Widziałem więcej złota niż ktokolwiek z was zobaczy w całym swoim życiu - oznajmił Conny, były urzędnik bankowy.

Nikt się nie obraził. Wpatrywali się chciwie w miskę Blixa, gdzie między ziarenkami piasku, połyskiwały trzy, może cztery grudki. A może raczej duże, złote ziarenka. Zebrane razem zmieściłyby się chyba na paznokciu kciuka Blixa. To nie jest ilość, która mogłaby coś znaczyć.

Ale to jednak złoto.

Złoto.

Jeden z nich znalazł złoto!

A zatem ono tu jest. Nie trafili na beznadziejne miejsce, w którym na próżno czegoś szukać. Nie muszą studiować krajobrazu i spekulować, czy w innych miejscach nie byłoby lepiej.

Złoto znajduje się tutaj.

-W którym miejscu napełniłeś miskę? - spytał Harvey ochryple, spoglądając w stronę łądu. Na brzegu została tylko Roza. Nie chciała zamoczyć butów z powodu paru maleńkich kawałków złota, które przecież Blix i tak jej pokaże.

- Gdzie ty to, do cholery, wykopałeś? - powtórzył Casey.

Wielu zaczynało się niecierpliwić. Ręce wciąż trzymali w kieszeniach spodni, ale niektórych zaczynały one świerzbić. Jest złoto.

Tutaj.

Blix uśmiechał się niepewnie. Tajemniczy, błogi uśmiech rozjaśniał chudą twarz. Wiedział równie dobrze jak pozostali, że nie może zachować tej informacji dla siebie. Nie jest w stanie teraz usunąć szpadla, który stoi do połowy ostrza wbity w ziemię. Spoglądał ponad głowami kolegów, obok nich, na wzniesienie, gdzie ziemia była czerwona i zdążyła już prawie całkiem wyschnąć po zimowych opadach. Zdarzały się noce, kiedy leżeli w wozach bardzo blisko siebie, by zachować ciepło, a i tak rano na kołdrach mieli szron. Teraz ziemia wysycha, zbliża się cieplejsza pora roku, upalne lato. Teraz wszystko się odwróciło. Jest inne niż to, do czego Blix przywykł, z czego tak długo żył. Marzenia zaczynają się spełniać.

Blix znalazł złoto.

Złoto!

Myśli Blixa zdawały się też wypełniać głowy pozostałych. Wszyscy myśleli o tym samym, wszyscy mieli te same pragnienia. Twarze im pojaśniały. Pojawiło się w nich słońce. Promienieli. Wszyscy czuli się wielcy i silni, pewni, że wszystko jest możliwe. Tak długo pracowali do utraty sił. Znosili wiele, ale dotychczas bez rezultatu. Teraz nareszcie wiedzą, że wszystko jest możliwe.

Blix trzyma dowód w trzęsących się rękach.

Roza widziała to najwyraźniej, ale nawet ona potem nie potrafiła powiedzieć, kto pierwszy pomyślał o szpadlu.

W jednej chwili wszyscy stali wokół Blixa. A w następnej woda się zakotłowała i dziewięciu mężczyzn wybiegało na brzeg, kierując się ku wzniesieniu za plecami Rozy. Widziała, jak biegną niczym fala, czarna i brunatna, niebieskawa i szara. Słyszała ich. Byli niczym morze, niczym stado koni, które kiedyś widziała na rozległych równinach Georgii. Byli jak tysiące kopyt wielkiego stada reniferów, kierujących się latem ku morzu w Kvsenangen.

Kiedy się otrząsnęła, nadal stała sama na zdeptanym, mokrym brzegu rzeki. W wodzie natomiast stał Blix z miską w rękach. Została z nim Lily, Matt natomiast pobiegł, deptając Jeremy'emu po piętach.

- A ty nie chcesz wyjść na brzeg? - spytała Roza. Blix skinął głową, że tak. Ale nadal stał.

-Na ład - powiedziała Roza i dopiero teraz chyba to do niego dotarło, bo ruszył z wahaniem, małymi kroczkami, ku

gliniastemu brzegowi, na którym stała. Lily podskakiwała obok niego, rozpryskując wodę, bardzo zadowolona z tego, że może tak sobie skakać w rzece i nikt nie ma o to do niej pretensji.

- Patrz! - powiedział Blix, a oczy mu się szklily. Stał tuż przed Rozą. Prosił ją, by spojrzała na jego ziemskie bogactwo.

Roza patrzyła, mrużąc oczy. W gruncie rzeczy przyznawała rację swojej córce, ale przynajmniej się nie śmiała, jak to zrobił Jeremy. Gdyby Roza nie wiedziała, że jest coś do oglądania między najgrubszymi ziarnkami piasku, których Blix nie zdążył jeszcze wypłukać, chyba by nie zauważyła tej odrobiny, która wywołała takie szaleństwo. Ale wiedziała, a to wielka różnica. Blix nie może być z niej niezadowolony.

Roza ujęła krawędź miski i potrząsnęła nią lekko. Na dnie nadal znajdowało się trochę wody i bezwartościowego piasku, a w tym zaczątek wielkiego bogactwa. Przy potrząsaniu złoto oddzielało się od mokrego piasku.

Opuszką palca przesuwiała złote okruchy. Wyglądały niczym gwiazdki na szaro-czerwona-wym, mokrym niebie. Razem z Blixem zaczęła je liczyć.

-Jeden, dwa, trzy, cztery... pięć!

Mężczyzna oddychał ciężko z otwartymi ustami.

Roza go rozumiała. Spoglądała na niego, próbując zrozumieć chaos, który musiał panować w jego głowie, ale bez powodzenia. Nie mogła pojąć, co ten człowiek myśli. Takich uczuć nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić. Nawet ona, stojąca tuż

obok, świadek wszystkiego, co się stało, nie była w stanie zrozumieć, co on przeżywa.

Może nigdy nie pożałała bogactwa wystarczająco mocno. Może to są sprawy dla mężczyzn.

- Pozwolisz? - spytała. Blix skinął głową.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie, ujęła palcem wskazującym i kciukiem jedno z większych ziarenek.

- Chciałam sprawdzić, co się przy tym czuje - powiedziała, jakby pragnąc wyjaśnić, usprawiedliwić się. - I przed nim, i przed sobą. - To nie jest tak, jak trzymać biżuterię - dodała. - Ani jak złote monety...

Na szyi Rozy mignął mu złoty ptak zawieszony na rzemyku. Nieczęsto rozpiniała kołnierzyk na tyle, by inni mogli zobaczyć ozdobę. Nie zadał tego pytania, ale miał je na końcu języka. Chciał wiedzieć, gdzie i kiedy miała okazję dotykać złotych monet.

Tak wielu rzeczy Blix o niej nie wiedział. Ona tak niewiele mówi. Może dzieli się wspomnieniami z Jeremy'm. Znają się przecież z dawnych czasów. Może wspominają, kiedy są sami. Oto też Blix nie mógł jej zapytać. Ale pragnął, by tak właśnie było. Pragnął też, by umiał jej powiedzieć, że może sobie wziąć to złoto, że jego pierwsze znalezisko należy do niej. Pragnął móc jej powiedzieć, że mogłaby sobie z tego zrobić inną ozdobę. Nie do noszenia na szyi, bo taką już ma, ale może pierścionek. Nie był pewien. Pierścionek to może nie wypada. Ale nic powiedzieć nie był w stanie, więc milczał.

-Jakie to dziwne uczucie - powiedziała Roza.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- A ty sam już go dotykałeś, Blix? Pokręcił przecząco głową.
-Więc zrób to - poprosiła.

-A ja mogę dotknąć twojego złota? - spytała Lily. - Mogę?

Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, a on skinął głową. Nie potrafił nic powiedzieć, nie mógł wydobyć z gardła najmniejszego dźwięku. I nic nie pomogło, że czuł się jak idiota. Nawet dziecko okazało się mądrzejsze niż on. Nawet dziecko więcej rozumie.

-To pierwsze złoto, którego dotykam - rzekła Lily z wielkim szacunkiem, przesuwając palcem po złotych okruchach. - Dotychczas dotykałam tylko ozdób mamy. Czy ty wiesz, że to, co nosi na szyi, odziedziczyła? To jest ptak. Strasznie stary.

- Blix z pewnością nie jest zainteresowany opowieścią o mojej ozdobie, córeczko - uśmiechnęła się Roza.

Nie był w stanie jej powiedzieć, że się myli. Po prostu głos odmawiał mu posłuszeństwa, nie mógł więc poprosić Lily, by mówiła dalej.

- Zamierzasz zrobić biżuterię z tego złota, Blix?

To właśnie wtedy powinien był radośnie przytaknąć. Wtedy powinien jej ofiarować złoto. Powiedzieć, że należy do niej, jeśli tylko zechce przyjąć.

Ale on zacisnął wargi i przecząco pokręcił głową.

- To złoto nie należy do Blixa - wyjaśniła Roza. Na to Lily wpiła wzrok w matkę, zmieniając się w furie:

- Oczywiście, że należy do Blixa! To przecież on je znalazł! Sama widziałam. To niesprawiedliwe,

jeśli powiesz, że złoto należy do kogoś innego, skoro Blix je znalazł.

- To jest złoto królowej - odparła Roza. -Phi! - skrzywiła się Lily. - Królowa tu nawet

nie mieszka. Sama widziałam, że Blix wykopał złoto na wzniesieniu. Odsunął na bok małą kępkę trawy, wbił szpadel w ziemię, to co wykopał, włożył do miski i poszedł do rzeki, gdzie zaczął płukać. Mówię ci, że sama widziałam. A potem zaczął krzyczeć. To jasne, że złoto należy do Blixa.

- Prawo mówi, że całe złoto w Australii jest własnością angielskiej królowej.

- To dlaczego ludzie tu przyjeżdżają? Nie wiedzą o tym? Wszyscy zostali oszukani? Czy policjanci zabiorą nam złoto, tak jakby byli grasującymi w buszu rozbójnikami?

Lily najwyraźniej nie zapomniała tamtych wydarzeń.

- Nie płacimy złotem w sklepach, prawda? - spytała Roza. Lily się z nią zgodziła.

- A królowa mieszka w Londynie, w Anglii. Nie może tu przyjechać i kopać, chociaż wie, że w Australii znajduje się należące do niej złoto. Dlatego poszukiwacze oddają królowej przysługę, i ona też im oddaje przysługę. Oni szukają złota, a kiedy je znajdą, królowa im za nie płaci tyle, ile jest warte.

-A jak się nazywa ta królowa?

- Wiktoria.

Lily wpiła wzrok w Blixa:

- No to oddałeś królowej Wiktorii z Anglii przysługę, Blix. Mężczyzna dopiero teraz odzyskał głos. Popa-

trzył na wzniesienie, zobaczył, że jego towarzysze stoją ramie w ramie i kopią, że aż się kurzy. Kopią po obu stronach tej dziury, którą on zrobił.

-Ja tak o tym nie myślę, Lily - odparł szczerze. - Ja tak o tym nie myślę.

Rozdział 3

To był niezwykły dzień. Wyobrażali go sobie, dzień, w którym jeden z nich znajdzie złoto, ale nikt nigdy nie przewidział, jak to naprawdę będzie.

Roza słyszała jedynie odgłosy zapamiętałego kopania. Machali szpadlami, pełni nadziei, zaciekli. Rozproszyli się na wzniesieniu nad brzegiem rzeki. Nick, Dave i Jack starali się kopać każdy na własną rękę i poszukiwali wyżej, tak daleko od rzeki, że Roza ledwo ich dostrzegała. Gdyby Jack nie miał na sobie czerwonej koszuli, zlewałby się w jedno z otaczającym go krajobrazem. Trzej inni uznali, że nurt rzeki wyrzuca złoto na brzeg i kopali tam, gdzie woda naniósła chrustu i śmieci. Pozostali nie byli tak świadomi celu. Wbijali szpadle w przypadkowe miejsca, nie oddalali się za bardzo od punktu, w którym Blix dokonał swojego odkrycia.

Kopali szpadlami, klękali i grzebali rękami w ziemi pokrytej nędzną roślinnością. Pochylali się nisko i przeglądali urobek, potem napełniali miski i pełni nadziei szli do rzeki, by zacząć płukać. Nie-

którzy rozgorączkowani, inni z wielką cierpliwością. Starania wszystkich przynosiły ten sam rezultat. Puste miski, gdy tylko piasek został z nich wypłukany. Żadnej reakcji na modlitwy. Żadnych powodów do radości. Przygnębieni wracali na wzgórze, rzucali się do kopania.

Roza nie słyszała nawet krzyków kakadu. Niezmordowany pościg mężczyzn za złotem, które być może ukrywa się pod darnią na wzgórzu, zakłócał ich ostre głosy. Widziała ptaki w zaroślach, z pewnością zdumione, dlaczego ludzie zachowują się tak dziwnie. Roza nazywała te czerwono upierzone ptaki kakadu, choć Jeremy twierdził, że stworzenia te nazywają się galah. Poza tym było tu mnóstwo małych, kolorowych ptaszków, które nazywano diamentowymi. Bardzo ruchliwe skakały między gałęziami, unosiły dzióbki do nieba i śpiewały.

Żaden z mężczyzn nie zauważył, że w porze obiadu Roza przygotowała posiłek z baraniego mięsa i jarzyn. Baranina zabarwiła zupę na brązowo, ale Roza pocieszała się, że żaden z poszukiwaczy złota nawet nie zauważy, co je.

I miała rację.

Żaden nie zapytał, dlaczego to ona zabrała się do gotowania. Nie powiedział, że nie powinna tego robić.

Przychodzili po dwóch lub trzech. Zgarbieni, we flanelowych koszulach, umorusani, ledwo zdążyli obmyć w rzece twarz i ręce. Byli jednak tak brudni, że samą wodą nie dało się tego spłukać. Roza знаła ten rodzaj brudu. Znała go od dzieciństwa. Widziała go na twarzach mężczyzn, którzy całymi

dniami pracowali w kopalni za nędzne trzydzieści talarów rocznie. Tutaj przynajmniej mogą spełnić się ich marzenia. Może nawet któryś stanie się bogaty.

Siedzieli przy stole niespokojni, jak na rozżarzonych węglach. Połykali jedzenie jak najszybciej, by znowu rzucić się do kopania. Roza widziała, że parzą sobie usta i języki. Nalewała im wody do kubków, by mogli łagodzić ból. Obserwowała ich gwałtowne ruchy, niepokój w oczach, spoglądających ku towarzyszom na zboczu i po prostu ich nie poznawała.

Jeremy przyszedł jako ostatni z Nickiem i Blixem, wciąż jedynym, któremu się udało.

- Myślę, że miałeś te ziarenka w kieszeni, kolego - powiedział Nick i żartobliwie szturchnął Blixa w bok. - To muszą być okruchy, które zostały ci z amerykańskiego Zachodu. Nosileś je w kieszeniach, nawet o tym nie wiedząc, ojczulku. Pewnie gdzieś w Kalifornii rzuciłeś bluzę na ziemię.

-Ja nigdy nie zdejmuję bluzy - odparł Blix, który nie zrozumiał żartu.

-Jak nie trzeba, to nie zdejmujesz. - Czasem trafia ci się pewnie też jakaś kobieta - powiedział znowu Nick.

- Nie lubię takiego gadania - obruszył się Blix. - Jest wśród nas dama. I dzieci.

Matt i Lily już dawno poszli za resztą kopaczy, gotowi znaleźć złoto za pomocą łyżek i blaszanych talerzy. Jedynym dzieckiem tutaj był Jordy, a jeśli o niego chodzi, to mogli sobie gadać o wszystkim.

- Wbiłem szpadel w ziemię - oznajmił Blix raz jeszcze. Zdążył w ciągu dnia opowiedzieć tę histo-

rię niezliczoną ilość razy i to ludziom, którzy byli przy nim, kiedy zaczął krzyczeć, że znalazł złoto. - Płukałem. One znajdowały się na dnie mojej miski. Leżały tam, mieniły się, jakby na mnie czekały. Żebym je sobie wziął. Jak w jakimś jubilerskim sklepie.

Jeremy i Roza popatrzyli po sobie, Nick westchnął przejęty.

- Pewnie nigdy nie byłeś nawet w pobliżu takiego sklepu, Blix. No, chyba, że planowałeś go obrobić!

- O grabieniu sklepów to ty wiesz wszystko - odciął się Blix i między dwoma zawsze tak dobrymi kompanami pojawiło się napięcie.

- Kopcie, zamiast się bić - poprosiła Roza.

Jej słowa sprawiły, że obaj się opanowali, ale bez niej z pewnością doszłoby do awantury. A wynik trudno przewidzieć. Obaj są mniej więcej w tym samym wieku, tak samo szczupli i żaden nie wygląda na mistrza walki wręcz.

- Ktoś powinien teraz coś znaleźć - westchnął Jeremy, spoglądając za odchodzącymi.

Blix i Nick już się uspokoili i w zgodzie wracali na swoje miejsca.

- Ktoś powinien wcześniej o tym pomyśleć - powiedziała Roza i poczuła się równie odpowiedzialna jak Jack i Dave oraz Jeremy.

- O czym?

- O tym, że możecie znaleźć złoto.

- Nie myśleliśmy o niczym innym. - Wyciągnął w górę ręce. Siedzieli każde po swojej stronie ogniska i to mu przeszkodziło, w przeciwnym razie wziąłby ją w ramiona.

- Każdy kopie na własną rękę - powiedziała Roza zamyślona. - Jedni znajdują, inni nie.

-Tak.

- A co, gdybyście zaczęli pracować razem? -W grupie? Tak, że jeden znajduje, a wszyscy dostają? - spytał Jeremy z powątpiewaniem. - Oni się nigdy na to nie zgodzą. -Nie?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie myślał o tym w ten sposób. Zawsze sobie wyobrażał, że to on znajdzie własne złoto. Ani Nick, Blix czy Harvey nie powinni wykopać tego złota, które uczyni go bogatym. I nie chciałby też wypłukiwać złota, które miałyby uczynić bogatym Dave'a czy Casey'a. Nie tak to wyglądało w jego marzeniach.

- Nikt z nas tak nie myślał - powiedział w przekonaniu, że może mówić za wszystkich. - Tak myślą kobiety - dodał.

- Kobiety nie rzucają się sobie nawzajem do gardeł. -Zamiast tego wydrapują sobie oczy - stwierdził Jeremy, mając na myśli wiele znajomych pań.

- Czy nie powinniśmy wkrótce wyjechać? - spytała Roza.

- Teraz?

Milczała. Starła się sama sobie udzielić szczerzej odpowiedzi, oczy jej się zaszklily. Zdała sobie sprawę, że nie w porę zadała to pytanie. Są już tak blisko. Jego marzenia w każdej chwili mogą się spełnić.

- Nie - odparła.

Jeremy zerwał się z miejsca. Odszedł jak najszybciej, tak żeby nie przyszły jej do głowy inne podobne pomysły.

Pracowali niczym zwierzęta, jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. Przy każdym Roza widziała pochodnię, małe, czerwone płomienie jak ogniste kwiaty. Każdy miał swój mały kawałek, który oświetlał. Krąg mieszczący człowieka i jego marzenie.

- Kiedy oni skończą? - spytała Lily, tuląc się do matki. Ona sama dała za wygraną, bo niczego nie znalazła. Tylko sam piasek, opowiadała Rozie, kiedy wróciła do ogniska z pociętymi kolanami i pęcherzami na dłoniach. Ale Matt pracował nadal. Rysował się w ciemności jako mniejszy cień u boku Jeremy'ego.

- Kiedy im się to sprzykrzy - odparła Roza, głaszcząc córkę po włosach.

- Matt jest głupi - oświadczyła Lily.

- On uważa, że to podniecające.

- Jest głupi. Mikey taki głupi by nie był.

Co Roza mogła na to powiedzieć? Nic poza tym, że córka musi iść spać. Już prawie noc, nowy dzień przecież nadejdzie. A potem następny. Kolejne dni i kolejne noce w niekończącym się szeregu.

- Jak długo tu zostaniemy?

- Tego nie wiem - odparła Roza szczerze.

- Czy przeniesiemy się do jakiegoś innego miejsca?

Przybyli tu, posuwając się wzdłuż rzeki. Najpierw szukali w pobliżu osławionego miejsca, gdzie Lucky Jim Esmonds dokonał swojego pierwszego odkrycia. Nie byli jedynymi, którzy ruszyli w tym kierunku, więc chcąc mieć spokój, musieli odbić i pójść wzdłuż dopływu rzeki. Nie chcieli łączyć się ze zbyt wieloma poszukiwaczami. I nie

chcieli też mieć do czynienia z osiadłymi hodowcami owiec. Tamci bowiem nie lubią, żeby im ktoś rozdeptywał pastwiska w poszukiwaniu szybkiego bogactwa. Grupa przenosiła się więc często z miejsca na miejsce.

- Nie sądzę. Blix przecież coś dzisiaj znalazł. Lily westchnęła. Była w tym westchnieniu taka

ulga, że Roza poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna była narażać dzieci na coś takiego. To błąd z jej strony. Przecież to nie ich marzenia przyjechali tu spełniać. I nie jej tęsknotę ukoić. Jaką ja właściwie jestem matką?

- Bardzo się z tego cieszę, mamó. Będę się modlić, żeby jutro Jeremy znalazł mnóstwo złota. Tak, żebyśmy mogli jak najszybciej wyjechać. Bo tak to jest, prawda? Jeśli Jeremy znajdzie dużo złota, to wyjedziemy? I pojedziemy do Nowej Zelandii? Do Mikey'a.

- Tak - potwierdziła Roza. - Modlitwa na pewno nie zaszkodzi, ale teraz śpij, mój skarbie.

- A Matt nie powinien iść spać?

- On na pewno wkrótce wróci. Jordy śpi. Ja też się zaraz położę, muszę tylko dorzucić do ogniska.

Poczekwała, aż Lily zaśnie równie mocno jak Jordy. Dopiero wtedy opuściła swój mały namiot i podeszła do ogniska. Nie lubiła zostawiać dzieci samych w ciemności. Zawsze się bała, że mogą się pojawić dzikie psy, chociaż rozsądek podpowiadał, że one obawiają się ognia. Wierzyła w to, a jednak czegoś się lękała, a dingo były przynajmniej żywymi istotami. Rzeczywiście mogły budzić strach. Ale większość tych obaw nie miała oparcia w rzeczywistości. Jakieś cienie. Coś nienazwanego.

Tego wieczora ciemność ją niepokoiła. Jakby kryły się w niej czyjeś czujne oczy, niczym mroczne gwiazdy, które jeszcze nie zaczęły świecić, albo może już pogasły tak, że ich nie widać.

Może to sen z poprzedniej nocy.

Albo coś, co nie było snem.

Nie wierzyła, że ten mężczyzna to Seamus. Spotkała po prostu kogoś podobnego.

Naprawdę nie wierzyła, że to Seamus.

Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to tamten.

Rozbójnik z buszu, który wolał trzymać się w cieniu, który kazał sobie zrobić bransoletkę z jej włosów i który skradł jej pocałunek. Oraz ten obcy, który zjawił się tu nocą, by spać u jej boku.

Człowiek o twarzy Seamusa, który jednak nim nie jest. To niemożliwe, by mógł nim być. Seamus nie żyje. Ona sama zajmowała się jego martwym ciałem, przygotowywała go do grobu. I zasadziła na tym grobie jego irlandzkie lilie, które zraszała własnymi łzami.

Seamus nie żyje. W tej sprawie nie może być wątpliwości. Ale rozbójnik z buszu był jak najbardziej żywy i nocny gość też był żywy. Nie chciała uwierzyć w nic innego. Poza tym ciemność wokół obozu zawiera w sobie ciszę, która Rozę przeraża. Bo nie widzi, czy coś tam jest.

Może on również tej nocy się czai?

Może przygląda się Rozie. Może postanowił dziś też ją odwiedzić.

Roza skuliła się, choć nadal było ciepło. Dołożyła dREW do ognia i patrzyła na strzelające w górę snopy iskieR, kiedy płomienie pożerały łąpczywie wszystko, co im dała.

Matt powinien już dawno spać. Jeremy jednak myślał o czymś innym. Roza nie mogła się położyć, dopóki z nim nie porozmawia, ale nie była pewna, czy zrobić to tak, by inni słyszeli, co mówi. Nie wiedziała, czy nie rozumieją jej źle. Ale może właśnie źle rozumieją, jeśli odciągnie Jeremy'ego na bok.

Poza tym nie wie nic o nocnym gościu. Nie wie jak wygląda, jedynie to przeczuwała.

- To kobieta, jakiej pragnie moje serce - powiedział Nick, kiedy w końcu mężczyźni zabrali pochodnie i ruszyli w stronę ogniska oraz wspólnoty. Miało to zabrzmieć jak pochwała, ale on nie przywykł do kobiet. Przynajmniej do takich, które cieszą się wystarczająco dużym szacunkiem, by mówić o nich „lady”. - Dokładała do ognia. Zagotowała saganek wody. Zawsze dba, żeby jedzenie się nie przypaliło. Wyjdiesz za mnie, Rosie?

- Trzeba chyba czegoś więcej, by zostać kandydatką na żonę - odpowiedziała Roza tak samo żartobliwym tonem jak on. Nie przeszkadzało jej, że Nick jest tak mało finezyjny. Mimo wszystko teraz należy do jej rodziny. Do tego kręgu, który ona uważa za swoją rodzinę.

- Nie aż tak dużo więcej - stwierdził, zdejmując przy ognisku buty.

Roza usłyszała głos Mattiasa, przypominającego jej, że dobra skóra pęka zbyt blisko ognia. Można kompletnie zniszczyć znakomite buty, jeśli chce się je zbyt szybko osuszyć. Usłyszała, że w rzeczywistości te słowa wypowiada jej głos. Mężczyźni patrzyli na nią zaskoczeni, twarz Nicka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Ona martwi się też o moje buty! Wyjdź za mnie, Rosie!
Zrobię wszystko, żeby nie brakowało ci pieniędzy!

Wszyscy śmiali się razem z nim, a Nick żałował, że musi postawić buty w odpowiedniej odległości od ognia.

Roza myślała o Mattiasie. Przeniknął ją chłodny dreszcz, kiedy wydawało jej się, że słyszy jego głos. Otuliła się szczelniej chustką. Na szczęście noce są coraz cieplejsze.

Mattias i ona w górach.

Było to nieskończenie dawno temu. Roza szła donikąd, tak, jak zawsze w tamtych dniach. Uciekała od innych, ale chyba też i od siebie. W tamtych latach ból nie opuszczał jej nigdy. Uciekała od tego, kim była, od tego, kim ludzie sądzili, że jest. Od tego, kim chciałaby być. Uciekała od odpowiedzialności, jaką wszyscy składali na jej barki. Życie było brzemieniem, które ją przygniatało.

Mattias i ona w górach.

Sami na pustkowiu pod wysokim niebem. Ognisko, które dawało trochę ciepła i jego ramiona, w których mogła się ukryć i znaleźć tam odrobinę współczucia. Trochę przyjaźni. Najwyraźniej jednak odczuwała współczucie. Chociaż bardzo się starała, żeby zostawić to za sobą.

Mattias.

Jego Matti pod jej opieką.

Matt, który w Australii czuje się już jak w domu. Roza sądziła, że Mattias byłby bardzo dumny ze swojego syna.

- Czy możesz pojąć, że tylko ten brzydka tutaj coś znalazł? - spytał Jeremy zaczepnie.

Skierowali na Blixa pełne zazdrości spojrzenia. W żarcie Jeremy'ego było ciepło, ale Roza umiała słuchać. W śmiechu słyszała też złośliwość. Wszyscy akceptowali, że Blix znalazł tę odrobinę, ale dla siebie pragnęli tego samego. Pojawiało się wiele tłumaczeń, dlaczego tylko *Blix* znalazł złoto. Niektórzy zastanawiali się nad tym przez długi i dość gorący dzień. Nic z tego jednak nie wynikało. Mimo to nie przestawali się zastanawiać. Siedzieli długo, żaden nie chciał pierwszy opuścić swego miejsca przy ognisku.

- Zajrzę do koni - powiedział w końcu Jeremy. Znalazł sobie pretekst, jakiego chyba wszyscy pragnęli.

Roza nie miała odwagi uwierzyć, że zauważył jej niepokój. Ale nie przepuściła okazji. Zerwała się na równe nogi.

- Pójdę z tobą - rzekła pośpiesznie.

Idąc brzegiem rzeki, czuli na plecach spojrzenia tamtych. Konie stały w zaroślach, rzeka w tym miejscu była dość głęboka. Jeremy zostawił Rozę daleko za sobą, jakby się nie znali.

- Chcesz, żeby mnie zlinczowali? - spytał Jeremy cicho, nie patrząc na nich. Wciąż byli za blisko tamtych, by móc rozmawiać swobodnie. Z pewnością są widziani, światło z ogniska dociera aż tutaj. - Żeby ktoś wbił mi nóż w plecy? - mówił dalej mężczyzna. - Nie czujesz, jakie dzisiejszego wieczoru jest powietrze? Dosłownie pachnie prochem. Wystarczy, żeby parę iskier wyleciało z ogniska, a wszystko wybuchnie, Rosie!

- Chcę, żebyś wraz z Mattem spał dzisiejszej nocy u nas.

Jeremy roześmiał się. -Tysięczne dzięki!

Potrząsnął głową tak, że jego długa, gęsta czupryna zajaśniała w mdłym świetle. Śmiech dźwięczał w ciemności, mieszał się z dźwiękami, których Roza nie rozpoznawała i które budziły w niej napięcie i lęk. Człowiek boi się nieznanego.

-W takim razie możesz być pewna, że zostanę zastrzelony! Nie, nie oglądaj się! Tu wszyscy się na wszystkich gapią. Każdy szuka powodu, by rzucić się komuś innemu do gardła. We wszystkich aż się buzuje. Niczego nie znaleźliśmy. Potrzebujemy więc innego powodu, by wrzeszczeć i dźgać nożem, wymachiwać rewolwerem. Daj im zatem ten powód, Rosie. Tamci faceci przy ognisku liczą, ile słów wypowiadasz do każdego z nich. Liczą, bo chcą wiedzieć, czy któremuś z nich nie poświęcasz więcej uwagi. Liczą uśmiechy, które im posyłasz. Równowaga zostanie zachowana, dopóki będziesz miała dość rozumu, by traktować wszystkich jednakowo.

Roza milczała.

-Jednakowo! - powtórzył Jeremy, podchodząc do koni.

Na chwilę zaległo milczenie. On głaskał zwierzęta, przemawiał do nich cicho, jakby wszystkie były jego przyjaciółmi. Sprawdzał, czy mają, co trzeba, czy linki są wystarczająco długie, by każdy miał dostęp do wody.

- Trochę tu krucho z jedzeniem - powiedział, zachowując się tak, jakby ona go o nic nie prosiła. - Jutro trzeba będzie je przeprowadzić.

-Ja naprawdę tak uważam, Jeremy.

- Słyszę, co mówisz - westchnął. - To prawie szaleństwo, że teraz tu ze mną jesteś. Ale to drobiazg. Myślę jednak, że taki drobiazg mógłby spowodować wielki wybuch. Na szczęście oni nas widzą. Widzą, że nic się między nami nie dzieje. Że ja trzymam ręce daleko od ciebie. Nic się nie może stać w ciemności. Nikt nie może mieć powodu, by coś takiego przypuszczać, droga Rosie. - Przez chwilę milczał. - Nie prosź mnie o to, Rosie. Ja staram się utrzymywać równowagę. Nie chcę, żeby sądzili, że między nami jest coś więcej niż w rzeczywistości.

Roza przymknęła oczy i stała wyprostowana. Ręce skrzyżowała na piersi. Bolał ją kark i ramiona, bolał ją kręgosłup, żołądek był twardy niczym kamień. Roza była przerażona.

-Ostatniej nocy ktoś był w moim namiocie -wyznała tak cicho, że obawiała się, czy on ją słyszy. Nie chciała jednak podnosić głosu, bo może lekki wietrzyk zanieś słowa do tamtych. A oni nie powinni wiedzieć. Nie mogą tego wiedzieć. Nie chcieliby słuchać tego, co ona ma do powiedzenia, z wyjątkiem jednego: faktów. Rzucaliby się na siebie nawzajem i ciskali oskarżenia. Mogłoby się to źle skończyć, Roza nie chciała wzniecać takiej awantury. Poza tym mogło się zdarzyć, że wygląd tego nocnego gościa jej się po prostu przyśnił. Że sobie to wszystko wyobraziła. Sam mężczyzna był jednak rzeczywisty. Nie wątpiła ani przez chwilę, że to nie żaden sen ani przywidzenie.

To był człowiek z krwi i kości.

- Co? - spytał Jeremy, spoglądając na nią ponad grzbietem jednego z koni, które kupił w Geelong. Nazywali go Gniady z powodu ubarwienia.

Roza powtórzyła wyznanie tak samo cicho jak przedtem. Jeremy wskazał głową w stronę ogniska i siedzących tam mężczyzn, którzy jedli ostatni tej doby posiłek.

- Który? - spytał.

- Nie wiem.

Jeremy oparł czoło o koński bok i głaskał zwierzę po grzbiecie.

- Modliłem się, żeby coś takiego się nie przytrafiło - powiedział i westchnął. - Obawiałem się tego. Niech to diabli. Myślałem, że mogłoby do czegoś takiego dojść. Jesteśmy daleko od ludzi. Cholernie daleko. Tylko my, mężczyźni. W pobliżu żadnego miasta z domem, ech... z kobietami. Tylko mężczyźni i dzieci. No i ty. To nie jest naturalne. To jest cholernie nienaturalne. I zawsze w takiej sytuacji pod powierzchnią zaczynają się tlić rozmaite namiętności. Nie powiedzieliśmy wprost, że dla czegoś takiego nie może tu być miejsca. Nie pomyśleliśmy o tym, ale kto, do diabła, myśli o wszystkim? Wierzyłem, tchórzliwie miałem nadzieję, że każdy z nich rozumie to wystarczająco dobrze. I postanowiliśmy, że przy obcych będziesz jakby moją żoną. Zdawało mi się, że to wystarczająco wymowne.

Roza podzielała jego zdanie. Wprawdzie nie przewidziała nic z tego, o czym Jeremy wspominał, ale zdawała sobie sprawę, że powinni byli o tym rozmawiać. Chociaż jest wysoce prawdopodobne, że niewiele by to pomogło.

- Muszę porozmawiać z Jackiem, rozumiesz to, Rosie? - Jeremy głęboko zaczerpnął powietrza. - Ale to nie jest Jack, prawda? Boże kochany, nie pozwól, by to był Jack! Rosie?

- Myślę, że to nie Jack. Jeremy rozważał to, co powiedziała.

- Myślisz? - spytał szorstko.

- Nie wiem, kto to jest - odparła szeptem. Zasychało jej w gardle.

-A jesteś pewna, że ktoś był? Skinęła głową. Jeremy czekał.

- Kiedy się obudziłam w nocy, ktoś tam był. Ktoś, kto leżał tuż przy mnie.

- A skąd wiesz, że to mężczyzna? - spytał Jeremy, ale sam zdał sobie sprawę, jakie to głupie pytanie. Któż inny mógłby to być? - Nic ci nie zrobił?

-On spał obok mnie, Jeremy. Mężczyzna bez koszuli leżał tuż obok i spał, jakby to było jego miejsce.

Jeremy pamiętał pytanie, jakie zadała mu tego ranka. Roza pytała, czy poprzedniego wieczora w obozie byli jacyś obcy, ale potem sprawa poszła w zapomnienie, bo Blix dokonał swojego odkrycia. Gdyby był gorzej zorientowany, to właśnie jego mógłby podejrzewać.

-Ty go nie widziałaś?

- Było ciemno.

- To skąd wiesz, że nie miał na sobie koszuli?

- Dotykałam go!

Jeremy próbował to sobie wyobrazić. Większość kobiet, które zna, zaczęłyby krzyczeć, odkrywszy nocą na swoim pościeli obcego. Niektóre udawałyby, że nic się nie stało, zamknęłyby oczy i próbowały dalej spać. A Rosie dotykała tego mężczyzny.

-Jesteś nieodpowiedzialna - powiedział cicho.

- Próbowałam się dowiedzieć, kto to - odparła. - Myślałam, że to może ty i nie chciałam cię budzić.

-Ja rzadko przychodzę, kiedy ty już śpisz - zapewnił. - Zresztą wiesz, dlaczego dzielimy łożo. Roza uznała, że nie ma się z czego śmiać.

- Nie rozpoznałaś go, ale kogoś przecież musisz wykluczyć. Trudno jest się pomylić co do Jacka. Casey i Conny są grubi.

- To nie był żaden z nich - powiedziała Roza. -Ale nie możesz powiedzieć nic więcej?

- Miał silne barki - szepnęła Roza. - I nie zauważyłam włosów na piersiach.

- To już coś.

- To z pewnością głupie...

Umilkła i Jeremy musiał ją nakłaniać, by powiedziała, co jej leży na sercu.

- Pewnie to głupie, ale miałam wrażenie, że to Seamus.

- Nie mówisz poważnie...

- Nie, nie! - zapewniła. - Ale to było takie... Takie odniosłam wrażenie. Przyszło mi do głowy, że on jest podobny do Seamusa.

-Myślę, że od tej chwili Matt i ja będziemy u was sypiać - oznajmił Jeremy, czując, że marznie.

Co, do cholery, konstabl Summer robił w namiocie Rosie?

Rozdział 4

Choć nic się między nimi nie wydarzyło, nie wydawało się dziwne, że on u niej sypia. Stali się swego rodzaju rodziną. Jeremy nikomu z pozostałych nie tłumaczył, dlaczego tak robi, przeniósł po prostu rzeczy swoje i Matta pod plandekę Rozy, gdzie już spali Lily i Jordy. Nawet Matt nie zadawał pytań. Chodził za Jeremym niczym cień, robił to, co on. Roza uznała, że zachowanie Jeremy'ego było trochę dziwne w świetle tego, co przed chwilą powiedział. Spodziewała się, że porozmawiają z pozostałymi i spróbują im to jakoś wyjaśnić.

-Oni tego oczekują - powiedziała następnego ranka, kiedy dwoje starszych dzieci zaczęło już codzienną zabawę i siedząc nad rzeką z poważnymi minami, płukało piasek.

I nie tylko oni. Mężczyźni wstali o brzasku. Na dworze panował jeszcze mrok, choć w lesie mnóstwo ptaków wyciągając szyje, wyśpiewywało pochwały na cześć zbliżającego się dnia. Mężczyźni w milczeniu zjedli śniadanie, pewnie nawet nie wiedząc, co kładą do ust. Jedzenie to jedzenie, ma dostarczyć człowiekowi sił, ale niekoniecznie musi smakować. Aż tak dobrze im się nie powodziło. Łypali na siebie nawzajem spod oka, oceniali się, zastanawiali, który pierwszy coś znajdzie. I czy

zdarzy się to w ciągu dzisiejszego dnia, czy też będą się musieli męczyć jeszcze jakiś czas.

A potem, kiedy pierwsze promienie słońca spłynęły na ziemię, a godzina była między piątą a szóstą, ruszyli do pracy. W obozie został tylko Jeremy.

-Jakieś wyjaśnienie, Jeremy. Oni tego oczekują.

Roza wiedziała, że potrafiłaby sprawę wyjaśnić, ale przecież oboje muszą opowiadać tę samą historię. Tę samą treść. Muszą ją więc uzgodnić. Teraz.

-Wiem o tym - odparł szorstko. - Zastanawiałem się nad tym. - Mówił z wyraźną irytacją, której przyczyną nie mogła być jedynie wczesna pora. - Nie miałem nic do powiedzenia w nocy. Żadnej historii. Jeśli mam kłamać, to to przynajmniej musi być przekonujące.

- Musimy kłamać?

- A na co tutaj zda się prawda? - spytał krótko, spoglądając na oddalającą się grupę. Było oczywiste, że mężczyźni nie śpieszyli się aż tak bardzo, by nie przyjrzeć się uważnie Jeremy'emu i Rozie. -Zaczęliby się nawzajem podejrzewać. Atmosfera zrobiłaby się jeszcze bardziej nieprzyjemna. Albo oszaleliby na punkcie czuwania nad obozem. Czuwania nad tobą. Już widzę Blixa, który strzela do wszystkiego, co się rusza.

Roza zastanowiła się. Jeremy mówił rozsądnie, to również jedna z dziwniejszych jego cech. Okazało się, że Jeremy ma mnóstwo różnych cech. Nie wiedziała, dlaczego ją to zaskakuje. Dorastała przecież w pobliżu kopalni. Wiedziała, że nawet kamień można oglądać z wielu stron. Nic nie jest kompletnie pospolite. Wszystko potrafi się zmienić, jeśli człowiek inaczej na to spojrzy.

- Moim zdaniem pogłoski o nim są prawdziwe - dodał Jeremy cicho, choć nikt ich tutaj nie podsłuchiwał. Nikogo w pobliżu nie było. Cisza zawiera zbyt wiele dźwięków, by ich przyciszone głosy mogły przenosić się dalej. - Że był rewolwerowcem. To nie jest do końca dobry człowiek, Rosie. Już samo to, że trzęsą mu się ręce o tym świadczy.

Jeremy umilkł, ale po chwili krzyknął: -1 poświęca za dużo czasu na przyglądanie się tobie! Myślę, że jest tobą zainteresowany. Zakochany w tobie.

- Blix? - spytała Roza ze śmiechem. Jeremy ponuro kiwał głową.

- Tu się nie ma z czego śmiać. On jest nieobliczalny. Jeśli uwierzy, że coś ci grozi, może stać się jeszcze bardziej niebezpieczny. Tak naprawdę to ja mu nie ufam. Obawiam się, że jeśli znajdzie się pod jeszcze większą presją, może doprowadzić do rozłamu w grupie.

-Z mojego powodu? - spytała, nic nie rozumiejąc. Bo nie chciała rozumieć. Nie chciała, żeby to, co Jeremy mówi, było prawdą. Ale też całkiem niemożliwe jej się nie wydawało. Dotychczas o tym nie myślała, teraz jednak zdała sobie sprawę, że sama to zauważyła. To istnieje nie tylko w wyobraźni Jeremy'ego, ani ona sobie tego nie wymyśliła. To trwa w głowie Blixa. - Ale co to za presja? - spytała z powagą.

Jeremy chwycił ją za ramiona, całkiem nieoczekiwanie. Odwrócił ją ku sobie. Stali w świetle poranka. Słońce świeciło jak zwykle, ale wszystko stało się nagle jakby przezroczyste, promieniejące,

ptaki śpiewały, a Jeremy pochylił głowę tak, że dotykał czołem jej czoła.

- Co to za presja? - powtórzyła.

Jeremy myślał o tym, naprawdę o tym myślał. Gdyby był rozsądny, wziąłby Rozę i dzieci do Melbourne, a tam znalazł pierwszy statek płynący do Auckland, czy w ogóle do Nowej Zelandii. Stać ich było na to. Rozę było stać.

To podpowiadał rozsądek.

Ale z drugiej strony, być może Jeremy znajduje się w odległości jednego sztychu szpadla, jednej jedynej miski napełnionej ziemią, od momentu, w którym mogłyby się spełnić wszystkie jego marzenia. Wystarczy jeden ruch szpadlem i zobaczy początek tego bogactwa, które usunie Jareda z jego życia, zdejmie to brzemień z jego barków na zawsze.

Jeden ruch szpadla. Sukces tak bliski, że można mówić o minutach. W najgorszym razie o dniach. No i to też jest swego rodzaju rozsądek.

Stał teraz pośrodku i był zmuszony wybierać, bo Roza jemu zostawiła wybór. Powiedziała, że Jeremy powinien zrobić to, co rozsądne, a przecież był jej winien tak wiele. Miał obowiązek zawieźć ją na Nową Zelandię. Do CConnorów, do rodziny, którą uważała za swoją, choć przecież była z nimi związana poprzez Seamusa.

On był jej to winien.

A sobie winien jest urzeczywistnienie marzenia. Marzenia o tym, by dokonać czegoś w swoim życiu. By w ogóle czegoś dokonać. Być kimś innym niż wiecznym chłopcem. Być mężczyzną. Teraz nie mógłby stąd wyjechać.

- Potrzebujesz ochrony przed tym głupcem, który gdzieś tutaj musi się znajdować i nic na to nie poradzimy nawet, jeśli ktoś z tamtych zwariuje - zakończył stanowczo.

Roza odniosła dziwne wrażenie, że Jeremy nadal chce ją tak trzymać. Że chodzi mu o coś więcej niż tylko bezpośrednią rozmowę.

- Powiemy im, że zamierzamy się pobrać.

Roza potrzebowała czasu, by stwierdzić, czy Jeremy mówi poważnie, ale zareagowała jak na żart. Zaczęła się śmiać. Odchyliła głowę tak, że włosy się rozwiązały i opadły jej na ramiona. Śmiech unosił się ku niebu niczym ptasi śpiew, a wszyscy mężczyźni na zboczu stanęli bez ruchu. Widocznie przez cały czas ich obserwowali. Kierowali spojrzenia w stronę tych dwojga stojących przed prostym namiotem, w stronę mężczyzny, który trzymał kobietę za ramię i w stronę kobiety, która nagle zaczęła się śmiać.

Blix nie spuszczał z nich oczu. Odszedł od miejsca, w którym kopał, ale szpadla z rąk nie wypuścił. Szedł w stronę Jeremy'ego i Rozy jak nieprzytomny, jakby nie widział nic prócz tych dwojga stojących w oddali. Czuł ciepło słońca, wyczuwał ziemię pod stopami, na skórze czuł powiew wiatru. Oddychał powietrzem, które nadal miało w sobie poranną świeżość, ale nie widział nic prócz tych dwojga daleko przed sobą. Widział tylko Rozę i Jeremy'ego.

Przekłętego Jordana, który trzymał ją tak, że musiało jej to sprawiać ból.

Ktoś chwycił go za ramiona, powstrzymał go, przynajmniej próbował, ale on na to nie pozwolił.

Nie mógł się zatrzymać. Musiał zrobić coś z tym, na co patrzył. Musiał to przerwać.

Jeremy zmieszał się, słysząc śmiech Rozy. Nie rozumiał, co jest zabawnego w całej sytuacji. Kiedy spojrział w bok, zobaczył coś innego, coś, co go przeraziło i skłoniło do zupełnie nieoczekiwanego zachowania.

Jeszcze gwałtowniej przyciągnął Rozę do siebie, jedną dłoń położył jej na karku, wsunął palce w jej włosy, zaskoczony patrzył, jak jej błękitne oczy robią się coraz większe i większe, a potem zamknął swoje.

I pocałował Rozę.

Stali w pełnym blasku, słońce zrobiło się jeszcze gorętsze, świeciło jeszcze mocniej. A oni stali, dla mężczyzn nad rzeką wyglądali jak jedna ciemna postać.

Blix poczuł, że czyjeś ręce obejmują go w pasie, ale to nie one go zatrzymały. Nikt by go nie zatrzymał, gdyby pragnął iść dalej. Spojrział prosto w słońce, widział, że wiatr rozwiewa włosy Rozy.

Przeklęty Jordan!

Roza śmiała się w objęciach mężczyzny, pozwalała się obejmować temu młokosowi. Śmiała się do Jeremy'ego i do nieba, w jej śmiechu było przyzwolenie, które raniło uszy Blixa. Raniło równie mocno jak cisza towarzysząca tamtemu pocałunkowi, którego był świadkiem.

Przeklęty Jordan!

- Przestań, Blix. Przecież ona tego chce. On nie robi jej nic...

Przeklęty Nick!

Stali obok siebie. Nick wiedział równie mało jak

on sam w sprawie, czy Rozie się to podoba czy nie. Nick po prostu tak zakładał. Nickowi może wystarczą domysły. On jednak chce wiedzieć. Dla niego sprawy mają się tak, że musi wiedzieć.

Blix chciał iść dalej, ale Nick go trzymał. I jego wola słabła. Podpowiadała mu, że powinien usłuchać Nicka. Nie powinien się wygłupiać.

Nie powinien się wygłupiać z powodu kobiety.

I właściwie to nie chciał jej widzieć. Nie chciał, by wszystko stało się wyraźniejsze niż jest. Patrzył na dwie splecione ze sobą postaci i uznał, że jeśli tak ma być, to niech będzie.

- Ona tego chce - powtórzył Nick.

Blix słyszał i powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Dostrzegał krajobraz wokół siebie i wiedział, że w Australii jest dość miejsca dla nich wszystkich. Powinien znaleźć sobie jakiś kąt, gdzie nigdy więcej nie zobaczy jej ani tego młokosa z południowych stanów.

- Ona pewnie chce - powiedział. - Nie wszystkie marzenia mają prawo się ziścić.

Odwrócił się i poszedł na swoje miejsce.

- Czemu to ma służyć? - zdziwiła się Roza, kiedy Jeremy przestał ją całować.

On głośno odetchnął. Uśmiechał się szeroko. Na starość wokół oczu porobią mu się zmarszczki, pomyślała.

-Blix szedł tutaj, żeby mnie zabić szpadlem. Nie, nie oglądaj się!

Wciąż trzymał rękę na jej karku, dzięki czemu nie mogła się odwrócić, żeby zobaczyć, czy mówi prawdę.

- Nie wierzę ci - uśmiechnęła się.

Jeremy opuścił ręce i Roza mogła się odwrócić, zdążyła zobaczyć, że Nick wciąż im się przypatruje, stojąc w pół drogi między poszukiwaczami złota a jej namiotem. Zobaczyła plecy Blixa, mocno zgarbione, i szpadel, który trzymał w ręce. Widziała, że pozostali pracują jak w gorączce, starając się nie patrzeć ani na Blixa, ani na nią i Jeremy'ego.

- Dlaczego ty całujesz mamę, Jeremy? - zawołała Lily znad brzegu. Potrząsała wielką miską tak, że warkocze podskakiwały jej na plecach.

Jeremy roześmiał się szczerze. Spojrzał Rozie w oczy.

- Teraz już nie mamy wyboru, musimy odgrywać tę komedię. Zresztą, możemy udawać, że to Szekspir.

- Kiepski z ciebie Romeo - zauważyła.

- Naprawdę? - Moglibyśmy teraz pojechać do Nowej Zelandii - powiedział, zdając sobie sprawę, że nigdy by sobie na to nie pozwolił, gdyby sądził, że Roza to zaakceptuje. Ona jest zbyt dobrym człowiekiem, by myśleć jedynie o sobie.

- Chcę, żebyś coś znalazł - odparła Roza cicho. - Trudno rozmawiać szczerze, kiedy się wie, że wszyscy na człowieka patrzą. W każdym razie, ukradkiem zerkają. Trudno podejmować takie ważne decyzje ni stąd ni zowąd, ale przecież najważniejsze decyzje w życiu podejmowała właśnie tak. - Chcę, żebyś przywiózł do domu więcej niż miałeś, wyjeżdżając.

- Oni będą się trzymać od nas z daleka, dopóki będziemy wiarygodni w tej grze. - Nie możemy jednak zachowywać się tak, by ich niepokoić. Musimy trochę grać. Wtedy będziemy wiarygodni.

Roza uśmiechała się.

-Jestem chyba za stara na tę zabawę - powiedziała zmęczona.

- Możliwe - zgodził się Jeremy. - Mam jednak dziwne poczucie, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie, Rosie.

Spojrzenia, które wymienili, świadczyły, że oboje wiedzą więcej niż chcieliby wyrazić słowami. Jeremy był bardzo poważny.

- Nie wydaje mi się, by któryś z tych mężczyzn chciał mi coś zrobić - bąknęła w końcu Roza.

- Nie mam na myśli żadnego z tych głupków. Jego głos brzmiał pewnie. Jakby wiedział. -Nie?

Jeremy pokręcił głową.

- Ty też go widziałeś? - spytała Roza, czując, że robi jej się zimno. Rozcierała ręce, ale nie czuła ciepła. - Ty też go widziałeś, napastnika z buszu...?

Jeremy zmarszczył brwi. Chciał ją do siebie przyciągnąć, ale odskoczyła.

- Napastnika z buszu? - spytał ostro.

- Nie widziałeś go?

- Co ty, do cholery, mówisz, Rosie? - spytał Jeremy z naciskiem, czuła gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach. - Co, do cholery, chcesz powiedzieć?

- Ty go nie widziałeś - rzekła stanowczo. -Czy napastnik z buszu jest podobny do Seamusa? - spytał szeptem.

Minęła dłuższa chwila, nim Roza przytaknęła. Wolałaby zatrzymać to w tajemnicy. Było w nim coś, może nie akurat podobieństwo do Seamusa, ale coś, co sprawiało, że odczuwała rodzaj wspólnoty z nim.

Rodzaj pokrewieństwa.

Jeremy przytknął oczy, zaczynało do niego docierać, że sprawy łączą się bardziej niż sobie wyobrażał. I zastanawiał się, czy był ktoś, kto go ostrzegł w Geelong. Miał zamiar powiedzieć kon-stablowi Summerowi o napadzie, ale jakiś impuls sprawił, że zrezygnował.

Jakieś kompletnie bezsensowne przeczucie. A może nie?

- Może nie wystarczy udawać, że tak jest - powiedział, wsuwając ręce głęboko do kieszeni kurtki. Pragnął, by te kieszenie były teraz pełne złota. Bo wtedy mógłby wyruszyć do Melbourne, a za kilka dni byłiby już w drodze. Za jakiś tydzień znaleźliby się na morzu. I konstabl Summer byłby już tylko mrocznym wspomnieniem. Kimś, kto by ubarwiał ich opowieści ze złotodajnych pól. - Może rzeczywiście powinniśmy się pobrać - dodał. - Nigdy nie widziałem twarzy ich szefa. Nigdy nie widziałem twarzy tego rozbójnika, który cię pocałował i odciął kosmyk twoich włosów.

-Nie?

-Ale widziałem innego mężczyznę podobnego do Seamusa.

-I nawet mi o tym nie wspomniałeś? - spytała zdumiona.

- Rzeczywiście, nic nie mówiłem - przytaknął. - Nie miałem ochoty budzić jakichś dręczących wspomnień. Minęło już sporo czasu, odkąd...

- Kto to taki?

- Pewien konstabl z Geelong - odparł Jeremy. - Summer.

Konstabl Summer.

Roza przypomniała sobie, że rozmawiali o nim. I dzieci też go spotkały.

- Lily o nim wspominała - rzekła. Słyszała, co córka mówi, ale nie miało to wtedy dla niej żadnego znaczenia. A powinna była słuchać. - Powiedziała, że on jest podobny do Joego - dodała Roza.

Jeremy też to pamiętał. Uważne spojrzenia dzieci zmartwiły go, chociaż wspomnienia u wszystkich musiały zblednąć. Tutaj na pustkowiach konstabl Summer nie miał prawa zaprzętać ich myśli. Także myśli Lily. To, co nieważne, szybko znika z dziecięcej pamięci.

- Myślisz, że to on był napastnikiem w buszu? - spytała.

- W takim razie wszystko jest dla ciebie bardziej niebezpieczne, niż sądziliśmy, Rosie - powiedział z wielką powagą.

- Ja przecież policjanta nie widziałam - odparła.

- No, nie.

- Nie muszę jechać do Geelong - przerwała Roza. - Nie chciałeś, żebym została w Geelong. Czy to właśnie z jego powodu?

- Trochę.

- On musiał cię rozpoznać.

- Tak, liczę się z tym. Roza marzła.

- Ja nie pojedę do Geelong. Nie ma powodu, żebym to robiła. I on też tutaj nie przyjedzie.

Jeremy objął ją ramieniem i przytulił do siebie pod plandeką, nie chciał, żeby inni ich znowu zobaczyli. To, o czym teraz oboje rozmawiają, jest zbyt ważne, zawiera zbyt wiele treści. Jeremy nie może przez cały czas szczerzyć zębów. Nie należy budzić złych uczuć w Blixie czy innym pomyśleń-cu, który traktuje Rosie niczym anioła.

-Ale dzisiejszej nocy tutaj był - stwierdził Jeremy. Pod moskitierą leżał Jordy i gaworzył, studiując swoje palce u nóg. Gdy tylko Rosie i Jeremy się pokazali, natychmiast dostrzegł ich swymi brązowymi oczkami. Jeremy'ego też już od dawna rozpoznawał. Machał do niego rączkami, ale nie irytował się, gdy nie udawało mu się dotknąć mężczyzny. To dziecko odznaczało się niezwykle łagodnym charakterem, którego z pewnością nie odziedziczyło po rodzinie Jordanów i swoim ojcu. Jeremy stwierdził to już dawno temu. - A nie pomyślałaś, że on był tu wielokrotnie, choć nie zdawałaś sobie z tego sprawy?

- Bo się nie obudziłam?

- Czy to niemożliwe?

- Nie - odparła Roza. - Myślałam o tym. To nie jest niemożliwe. Ale mniej się bałam, sądząc, że to tylko napastnik z buszu.

-Ludzie z innych pól, którzy do nas zachodzili, mówili, że policja sprawdza licencje - powiedział Jeremy tak wolno, by słowa naprawdę do niej dotarły.

Roza też o tym pomyślała.

- Ale przecież on wie, że wy licencje macie. Sam je wam wypisał. I wie, że ja go widziałam! Nie ma szansy, żeby w to wątpił.

-Może on lubi narażać się na niebezpieczeństwo? - zastanawiał się Jeremy, czując, że jest za bardzo spokojny. Wolałby nie wiedzieć tego wszystkiego, uniknąć zastanawiania się i podejmowania decyzji dotyczących nie tylko jego. Nie lubił więzów, zawsze źle to znosił! - Powinniśmy znaleźć mieszkanie dla ciebie w Melbourne - oznajmił. Nie był jednak pewien, czy naprawdę chce to zro-

bić. Teraz zaczął go ogarniać lęk, był bliski paniki i bardzo mu się to nie podobało. Przeważnie potrafi kontrolować swoje zachowania. - Ja będę nadal szukał złota, dopóki nie zdobędę wystarczająco dużo. Ale ty z dziećmi nie musisz tutaj siedzieć. Zwłaszcza w tej sytuacji, Rosie. To zbyt niebezpieczne dla was wszystkich. Tak, musimy znaleźć bezpieczne mieszkanie w Melbourne. Zresztą, nie na długo. Złoto mogę znaleźć w każdej chwili, przeczuwam to.

Ogarniał go zapał. Wyglądał przy tym bardzo interesująco. Roza już go takim widywała, nigdy to jednak nie miało znaczenia. Teraz chyba też nie. Wiedziała, że Jeremy jest czarujący. I urodziwy, przyjemnie było na niego patrzeć. Dobrze było być blisko niego, cieszyć się tym jego wdziękiem i uśmiechami, jego chłopięcym zachowaniem. Czasami Jeremy świadomie to wykorzystywał do swoich celów. Ale najbardziej urodziwy był w chwilach, kiedy sam o tym nie wiedział, kiedy to po prostu się działo. Tak jak teraz.

- W Melbourne on będzie mieć do mnie bliżej -zastrzegła. - I będę tam o wiele mniej chroniona. Będę sama. Tutaj mam ciebie. I innych...

-Nie możesz być powodem tego, że oni naruszają prawo - rzekł Jeremy z naciskiem. - Nigdy nie wolno ci do tego dopuścić, Rosie. Nigdy nie możesz pozwolić, by ponieśli dla ciebie taką ofiarę!

Roza musiała się roześmiać, słysząc, z jaką stanowczością Jeremy wypowiada te słowa, ale była w jej śmiechu również niepewność. Po prostu nie wiedziała, czy z tego, o czym rozmawiają, można się śmiać.

- Zobaczymy, co będzie dalej - rzekł wreszcie Jeremy. - Nadal będę tutaj sypiał. I nadal będziemy prowadzić naszą grę. - Umilkł na chwilę, ale zaraz kąciki jego ust się poruszyły. - Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci bólu, prawda? Pocałunek cię nie zabolął?

- Nie.

-Musimy chyba to kontynuować. Bo wiesz, wiarygodność.

- Wiarygodność - powtórzyła Roza.

-A ja będę im opowiadał, że muszę znaleźć tyle złota, bym mógł zbudować dla ciebie dom, kiedy się pobierzemy.

-Ja mam pieniądze.

-Ale ja chciałbym dać ci dom, skarbie - uśmiechnął się Jeremy. - Tacy są mężczyźni z rodu Jordanów. Trochę staroświeccy, trochę niezdarni jeśli chodzi o formy. Ale to mężczyzna jest żywicielem rodziny. A on, Summer, może po prostu zniknie -zakończył Jeremy, udając większy spokój niż odczuwał. - Powinniśmy zakładać, że od czasu do czasu będzie nas obserwował. Poza tym musi się dowiedzieć, że nie sypiasz sama.

-I myślisz, że wtedy sam się wycofa? - spytała Roza. - A gdyby próbował zrobić ci krzywdę?

- Tego nie możemy przewidzieć - odparł Jeremy, który chętny był podjąć ryzyko.

Przez chwilę milczeli.

- Złoto! - dotarł do nich krzyk Nicka. - Blix, ty diable, znowu znalazłeś złoto!

Rozdział 5

- Wyciąłem kwadrat w darni - powiedział, a mówił z dziwnym u niego spokojem. I ręce mu już chyba tak bardzo nie drżały. - Postarałem się, żeby brzegi były równej długości. Wbiłem szpadel na całą głębokość...

Mężczyźni spoglądali w dół na własne narzędzia. Mierzyli długość ostrza szpadla Blixa. Było takie samo jak ich. Widocznie nie na długości to polega.

- No i potem napełniłem miskę niemal po brzegi, nawet nie spoglądając w dół - ciągnął dalej Blix. Myślałem, że nie bardzo jest na co patrzeć. Potem zaniósłem miskę do strumienia, żeby płukać. Zaczepnąłem wody i kilka razy poruszyłem miską. A potem uważnie przyjrzałem się zawartości. Och! Co za radość! Oniemiałem. Bo to, jak widzicie, jest złoto! Jeszcze raz mi się to przytrafiło!

-Co najmniej dziesięć ziarenek złota - stwierdził Nick ponuro.

- Kusi mnie, żeby wbić szpadel w to miejsce, w którym ty kopalesz, bracie. Tylko po to, by poczuć to samo...

- To nie będzie to samo - uznał Shane. - Musisz znaleźć własne miejsce. Musisz wykopać swoje... -Uśmiechał się w imieniu Blixa: -1 złotych ziarenek jest dwanaście, policzyliśmy je.

To uratowało wspólnotę. To uratowało Blixa.

To uczyniło mężczyzn wielkodusznymi. Patrzyli przez palce na to, że Jeremy i Roza jawnie przeżywają coś, do czego oni nie mają dostępu. Przyjmowali to i uznawali.

Tego dnia ich szczęście się odwróciło.

Drugim, który znalazł złoto, był Matt. Blix ledwo zdążył wypłukać do czysta swoje, gdy chłopiec wrzasnął radośnie. Wszyscy stłoczyli się wokół niego, a Jeremy poczuł ciepło w sercu. Cieszył się w imieniu chłopca. To było dla niego nowe uczucie. Nie wiedział, że można się tak cieszyć w czyimś imieniu. Nie wierzył, by syn innego mężczyzny, obce dziecko, mogło wzbudzać w nim takie ojcowskie ciepło. Policzki Matta płonęły z przejęcia. Ciemne oczy mrużyły się, kiedy spoglądał do miski i wtedy Roza doznała skurczu serca. Tak bardzo przypominał swojego ojca. Ale uśmiech odziedziczył po Raissie. Otwarty, szeroki, niepowściągliwy jak uśmiechy Mattiasa.

- Czy teraz jesteś bogaty? - zastanawiała się Lily, najbardziej uradowana ze wszystkich, choć trochę mu zazdrościła. To niesprawiedliwe, że Matt znalazł złoto jako pierwszy. Nie wątpiła, że ona też coś znajdzie, ale to niesprawiedliwe, że Matto-wi trafiło się to przed nią.

- Bardzo - odparł Matt z wielką pewnością siebie, a nikt z dorosłych nie miał serca, by powiedzieć mu, że trzeba trochę więcej niż parę ziaren kruszcu, by czuć się bogatym.

- Masz prawie tyle samo kawałków co Blix - powiedział Jeremy, czochrając mu włosy. - Jestem z ciebie dumny, kolego!

Policzki chłopca zapłonęły jeszcze bardziej pod wpływem tej nieoczekiwanej pochwały.

- Szczęście, że mamy licencje - uznała Lily i jako pierwsza wróciła na swoje miejsce. Siedziała parę kroków od Matta, oczekiwała więc, że wkrótce też będzie zamożna.

- Tutaj jest za dużo gruzu - stwierdził Jack bez wahania. - Blix kopał wyżej.

Mężczyźni zaczęli się rozglądać, oceniali krajobraz wokół siebie, jakby widzieli go pierwszy raz.

- Złoto może się znajdować w żwirze rzecznym - uznał Dave. - Tutejsza ziemia jest zbyt urodzajna, by mogła zawierać większe żyły. Zupełnie nie przypomina złotonośnych pól, które widziałem w Kalifornii.

- Ale żaden z tamtych w Kalifornii nie stał się specjalnie bogaty - mruknął Jack. - Może powinniśmy raczej rozejrzeć się za miejscami, które nie przypominają nam tych z Ameryki.

-To rzeka naniosiła cały ten żwir - powiedział Jeremy, rozgarniając ziemię czubkiem buta. -Wszystko tutaj zostało naniesione przez rzekę. Nawet niższe partie wzgórz. Jeśli złoto znajduje się pod powierzchnią, to może być wszędzie.

- Moim zdaniem znajduje się również w rzece -kombinował Dave. Przyglądał się uważnie rozkładowi prądów. Widział, jak gromadzą piasek i żwir, co wstrzymuje bieg rzeki, podobnie jak to robią trawy, sitowie i krzewy. Badał, jak rzeka wędrowała w dawnych czasach. To samo robili już nieskończoną ilość razy. Przyglądali się, zgłębiali, rozmyślali, jak to było dawniej. Kiedy przybyli tu po raz pierwszy, uznali, że to dobre miejsce. I dlatego zostali.

-Właściwie - powiedział Jack - właściwie, powinniśmy mieć odpływ dla żwiru. Powinniśmy pracować razem. Wspólnie przeszukiwać kawałek po kawałku. Nie konkurować.

- Co ty, do cholery, gadasz? - zirytował się Blix, podchodząc do niego wolno.

Był wysoki i szczupły, o wiele wyższy niż krępy, krzepki Jack. Również pod względem wieku Jack wypadł gorzej. Ale nie dał się przestraszyć człowiekowi mającemu opinię rewolwerowca.

- Sam jeszcze niczego nie znalazłeś - rzekł Blix

- i dlatego chcesz dostać to, co znaleźliśmy my z chłopcem. Jak wam się to podoba, chłopaki? Jack wolałby nie kopać sam!

-Ale to rozsądne - wtrącił Jeremy, stając po stronie Jacka.

- Można się było spodziewać, że i ty tak powiesz

- uznał Blix. - Ty też niewiele masz do pokazania, prawda?

-Nie chcę ani odrobiny tego, coście znaleźli -uciał Jack krótko.
- Ale opłaci nam się pracować razem. Pracować na całej działce. Jesteśmy brygadą. Każdy pracuje tak samo ciężko, urobek dzielimy. Mogę się założyć, że dostaniemy lepszą cenę, sprzedając większą ilość, a nie każdy po parę uncji.

- A co, gdybyśmy pracowali razem, ale każdy zachowuje to, co wypłukał? - spytał Blix. Wyraźnie zaczepiał Jacka. Chodziło tu o coś więcej niż złoto. Sprawa dotyczyła również przywództwa.

-A co, gdybyście kontynuowali dzisiaj tak jak dotychczas? - rozległ się głos Rozy i wszyscy popatrzyli na nią. Z wyjątkiem Jeremy'ego i Jacka, może jeszcze Nicka, wszyscy oniemieli, że zabra-

ła głos w sprawie, która jej nie dotyczy. - Dajcie każdemu szansę znalezienia czegoś samemu - mówiła dalej niezrażona. Wykorzystywała ciszę, którą spowodowało ich zdumienie. - A wieczorem porozmawiacie o całej grupie, o tym, co jest najlepsze dla wszystkich i dla każdego z osobna.

Jeremy poczuł, że z niej też jest dumny. To mądra kobieta. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co pomyślał... „...jesteś czymś więcej niż tylko ładną buzią...”.

Od dawna nie darzył szacunkiem żadnej kobiety. Lubił je, albo pożądał, albo nie lubił. W niektórych się zakochawał. Ale od bardzo dawna nie spojrzał na żadną kobietę z szacunkiem.

Teraz poczuł, że szanuje Rosie.

Charakter mu się chyba zmienia. Ojcowskie uczucia dla chłopca z obcego kraju i szacunek dla hardej kobiety. Widocznie te tygodnie spędzone na pustkowiach tak na niego podziały.

Atmosfera wśród mężczyzn zrobiła się napięta. Wszyscy pożąдали złotego metalu. Pragnęli zobaczyć jego błysk między żwirem w swojej misce. Chcieli je znaleźć. Chcieli je posiadać. Chcieli mieć go więcej niż inni. Mieli też w sercach lęk. Coś im mówiło, że mogłoby się zdarzyć, iż wszyscy pozostali znajdą...

Gdy brać to pod uwagę, propozycja Rozy nie wydawała się głupsza od innych. Głupie jest tylko to, że pochodziła od kobiety. Z drugiej jednak strony łatwiej było zaakceptować coś, czego nie zaproponował jeden z konkurentów.

Rosie stoi z boku.

Jest kobietą.

Ona sama nie kopie i nie płucze, więc nie ma tu nic do zyskania. Nie będzie mieć udziału we wspólnym bogactwie. Jej dzieci też nie. Jordan ma oczywiście głos i on będzie miał udział. On całował ich Rozę na oczach wszystkich. Zrobił to,

o czym wielu myślało, ale się nie odważyło. I pewnie tak naprawdę nie chciało. Bo była dla nich kimś niedostępnym, choć żyje między nimi, w tym samym brudzie i błocie. Bo dla nich jest bardziej kobietą niż Rożą. A kobiety obrażać nie wolno.

Młody Jordan najwyraźniej tego nie rozumie, ale większość skłaniała się ku temu, by mu wybaczyć. On znał ją w przeszłości. Była dla niego kimś zwykłym, zanim stała się ich Rożą. Zanim stała się i Kobieta, i Matką. On widział ją w innym życiu i to jest coś, czego mu nigdy nie odbiorą. Nienawidzą go, bo im ją zabrał, ale przeszkadzać mu nie chcą.

Nie wierzyli zresztą, że to Jeremy ją zbałamucił. To prawda, że potrafi pięknie mówić, ale ów poczciwy Jordan nie zdołałby zatruć jej zmysłów tak szybko. Ich Roza nie jest osobą, którą można zbałamucić. Już dawno odkryli, że myśli przytomnie.

- Niegłupio gadasz - rzekł w końcu Blix. - Może powinniśmy posłuchać naszej małej damy.

Roza nie znosiła, kiedy ją tak nazywano, ale tym razem stłumiła protest. Tak różnie ją określano. Przeważnie znacznie gorzej. Równie dobrze może być małą damą. Najwyżej będą rozczarowani, jeśli nie dorośnie do obrazu, jaki sobie stworzyli.

-Ja chcę mieć swoje złoto! - oznajmiła Lily, która przysłuchiwała się rozmowie dorosłych.

-Ja też! - rzekł Matt, mocno trzymając swoją miskę. Zaciskał zęby, w taki sam sposób jak robił to Mattias. Roza pomyślała, że to dziwne dostrzegać kogoś w twarzy innego człowieka. Zdała sobie sprawę, że przenika ją dreszcz za każdym razem, kiedy spogląda na któreś z dzieci, które uważa za swoje. Zastanawiała się, jak to będzie z Mikey'em.

- Dzieci wyłączamy z umowy - powiedział Jack krótko.

Zabrzmiało to jak rozkaz, ale wszyscy się z nim zgodzili.

- Dzisiaj każdy ma szansę na własne znalezisko - stwierdził Dave, spoglądając na Rozę z uznaniem.

To ona przywróciła spokój. Przynajmniej na jakiś czas.

Podeszli bliżej brzegu, wszyscy, trzymali się teraz bliżej siebie, nikt na nikogo nie warczał, tak jak to było, zanim Roza się wtrąciła i sprawiła, że zaczęli myśleć wolniej.

Zaczynało padać. Najpierw zdawało się, że powietrze jest trochę bardziej wilgotne, jakby opadała lekka mgła. Dobrze ją znali z wędrowki przez góry. Tutaj, dalej na południe i o wiele bardziej na zachód, powietrze było czyste. Światło też inne. Nie takie niebieskawe jak w górach, tutejsze światło zawiera więcej złota.

Najpierw było to tylko wilgotne powietrze i Roza miała nadzieję, że na tym się skończy. Zdażyła się przekonać, jak ciężko bywa na pustkowiach, kiedy pada i wszystko robi się mokre. Wkrótce jednak pojawił się prawdziwy deszcz. Niebo poczerniało, chmury zrobiły się gęste i zeszły nisko.

Zaczął lać. Jakby ktoś nad głowami ludzi opróżniał ogromne naczynia z wodą.

Już w chwili, kiedy mgła zaczynała ciemnieć, Roza zwinęła wszystkie kołdry i przeniosła je do jednego wozu, który jeszcze nadawał się do użytku. Plandeka nad wozem była dość szczelna, urządzili pod nią coś w rodzaju magazynu. Przez całą zimę używali obu wozów jako namiotów i sypialni. Teraz jeden się rozpadł, przez jakiś czas próbowali go naprawiać, ale w końcu i tak poszedł na opał.

Roza troszczyła się nie tylko o siebie i swoich., najbliższych. Przeniosła pod plandekę również kołdry z pozostałych namiotów. Zwijała je starannie, przenosiła razem z resztą rzeczy pod dach. Jor-dy siedział zadowolony w pościeli i bawił się.

Kiedy spadły pierwsze ciężkie krople, Roza usunęła resztki śniadania z miejsca przy ognisku. Wyglądało na to, że z pogodą nie ma żartów. W ciągu tych paru minut, które zajęła jej praca przy palenisku, zdążyła przemoknąć. Przeniosła Jordy'ego w najbardziej suche miejsce, ale natychmiast pojawiło się drugie, kompletnie przemoczone dziecko. Ociekająca wodą Lily wdrapała się na wóz. Sprawiała jednak wrażenie, że nie zauważa deszczu. Z całej siły zaciskała prawą pięść, a Roza stwierdziła, że jej córka płacze.

- Patrz! - wykrztusiła Lily, ostrożnie otwierając dłoń.

Leżała na niej złota grudka wielkości małego paznokcia.

Roza poczuła ucisk w gardle. Jej też łzy cisnęły się do oczu. W wozie było ciemno, ale wyraźnie

widziała brudną, małą dziewczęcą rączkę i grudkę złota spoczywającą w otwartej dłoni. Nad ich głowami deszcz bębnił w plandekę, woda spływała także do wozu, ale to nie było teraz ważne. Najważniejsza była Lily i jej pierwsza grudka złota.

- To jest moje - powiedziała dziewczynka. Roza przytaknęła.

- To największe, co znaleźliśmy - mówiła Lily, wycierając twarz drugą ręką i zostawiając na niej rudobrazowe plamy. Wygląda niczym indiański wojownik ze wschodniego wybrzeża Ameryki, pomyślała Roza. Wojownik, który wkroczył na wojenną ścieżkę.

- Teraz wszyscy znajdują - powiedziała Lily, pociągając nosem, bo dostała kataru od stania po kolana w wodzie. - To dlatego żaden nie wraca. Odkąd zaczęło padać, bardzo łatwo zobaczyć złoto. Deszcz je wypłukuje, niemal wszędzie błyszczą okruchy. Matt i ja zauważyliśmy to pierwsi, a teraz wszyscy stoją nad rzeką i kopią, i każdy znajduje.

Dziewczynka uśmiechała się błogo, w miejscu, gdzie stała, utworzyła się spora kałuża.

-Ale ja pomyślałam, że znajdę coś jeszcze potem, kiedy przestanie padać. Teraz jest tam okropnie. A to największa grudka, jaką ktokolwiek znalazł, mamó. To największa grudka, i ona jest moja. Jeremy mówi, że może ważyć nawet całą uncję. A to dosyć dużo, mamó!

- To naprawdę dosyć dużo.

- Teraz ja jestem prawie bogata, mamó.

Roza spojrzała w oczy dziecka i skinęła głową. Lily nigdy nie będzie niczego brakowało. Nawet

jeśli przez jakiś czas muszą żyć niczym dzicy ludzie, to przecież nie są biedni. Dzieci nigdy naprawdę nie zrozumiały, dlaczego musieli wyjechać z Ameryki, tyle tylko, że trzeba odnaleźć Michaela. Dzieci nasłuchiwały się na statku podczas długiej podróży wielu rozmarzonych opowieści i zaczęły wierzyć, że dotyczą także ich. Ze musieli wyjechać, bo w Georgii nie mieli przyszłości.

Australia to złoto.

Bogactwo.

Dla dzieci bogactwo nadal oznaczało to samo, co złoto.

Miała nadzieję, że któregoś dnia zrozumieją, iż mogłoby to być coś innego, coś, co trudno zmierzyć. Nie ma takiej długiej miary. Nie można też tego zważyć, ani wypełnić jak naczynie wodą.

Pragnęła, żeby Seamus był z nią i mógł to Lily wytłumaczyć. Opowiedzieć, jak bogaty jest człowiek, kiedy ma kogoś, do kogo należy, kogoś, kto go kocha, i kogo on może też kochać. To sens życia, coś, co może być większe niż samo życie.

To jest bogactwo.

Prawdziwe bogactwo.

Ale nawet siebie nie potrafiła do końca oszukać. Bo ważne są też inne rzeczy. Seamus byłby dumny z tego przemoczonego do suchej nitki dziecka, pokazującego grudkę złota, którą wypłukało we własnej misce. Potrafiłby to docenić, bo on taki był.

Lily jest podobna do Seamusa.

Roza nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zobaczyła córki pokazującej jej swój skarb.

- To dobrze, że przyszedłeś do mnie - powiedziała. Zanim wrócą mężczyźni, przebierzemy cię w suche ubranie.

Deszcz tłumiał wszystkie inne dźwięki. Bębnił w plandekę nad ich głowami. Przypominało to dźwięk grzmotu, woskowana powierzchnia nie była w stanie długo zatrzymać wody. Wkrótce w wielu miejscach zaczęła przeciekać i Roza musiała rozpostrzeć kołdrę nad sobą i dziećmi jako dodatkową ochronę przed siłami natury. Jordy piszczał z radości. Mrok był bezpieczny, choć równocześnie groźny. Chłopiec leżał niczym piłka między Rozą i Lily, aż nieoczekiwanie, w środku wesołej zabawy, zasnął.

-Jaki on mały - powiedziała Lily cicho. Głaskała palcami jego miękkie, kędzierzawe włoski. -I taki śliczny.

Roza przytaknęła. Ona sama też tak myślała, i to wiele razy w ciągu dnia. Jordy robił się coraz większy tutaj, na krańcach świata. Ciekawa była, co się stało z Monique. Jakie życie prowadzi teraz mama Jordy'ego. Zastanawiała się też, co się stało z jego siostrą, Sereną, która przez całe dzieciństwo była rozpieszczaną księżniczką, a potem straciła wszystko i bez słowa wyjaśnienia została murzyńskim dzieckiem. W głębi duszy Roza pragnęła, by Monique oddała jej także Serenę, ale rozumiała, dlaczego tamta tego nie zrobiła. Jej ofiara i tak jest wielka.

- Czy tutaj też ludzie będą się źle odnosić do Jordy'ego? - spytała Lily z wahaniem. Przeniosła na matkę spojrzenie Seamusa i uniosła w górę kąciki

ust tak samo, jak on to robił. - Czy będą go brzydko przezywać dlatego, że ma brązową skórę? Czy kiedy trochę podrośnie, będziemy musieli udawać, że jest niewolnikiem? Czy oni tu, w Australii mają niewolników, mamó?

- Myślę, że nie - odparła Roza.

-Żadnych czarnych ludzi nie widziałam - mówiła Lily w zamyśleniu.

-Ale moim zdaniem czarni też tu żyją - rzekła Roza.

- Są niewolnikami?

- Tego nie wiem.

Ile to dziecko zadaje pytań!

- My jednak w Australii nie zostaniemy - dodała pośpiesznie. - Przecież mamy jechać na Nową Zelandię. Mamy znaleźć Mikey'a i tamtejszą rodzinę. Chyba pamiętasz?

- Myślałam, że zostaniemy - mruknęła Lily zmęczona. W dłoni wciąż ścisnęła małe zawiniątko. Chusteczkę do nosa, w którą zapakowała grudkę złota. - Teraz, kiedy Jeremy jest twoim ukochanym... Matt powiedział, że z pewnością zostaniemy, bo Jeremy nie chce wracać. Powiedział jeszcze, że Jeremy chce zbudować duży dom nad morzem, tutaj, w Australii i będzie miał wiele setek owiec. Wiele tysięcy. - Dziewczynka westchnęła i zaczynała zasypiać. - Matt jest głupi. Cieszę się, że to nieprawda. Ja bym nie chciała mieć aż tyle owiec. Wolałabym konie, tak jak Mikey i wuj Adam. Mój tatuś dobrze znał się na koniach, prawda?

-Owszem - przytaknęła Roza cicho. - On się naprawdę na nich znał.

- Ja myślę, że na Nowej Zelandii Jordy'emu bę-

dzie dobrze. Mikey mówi, że są tam ciemni ludzie...

- Mikey? - spytała Roza, ale nie otrzymała odpowiedzi. Jej córka zasnęła. Uśmiechała się we śnie i zaciskała małą piastkę na dużej, białej chusteczce do nosa. Gdyby ktoś chciał jej to odebrać, musiałby użyć siły.

We śnie wyglądała niczym anioł.

Najwyraźniej coś jej się śniło. Być może rozmawiała ze swoim bratem.

Deszcz zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Trwało to tak długo, że Roza zaczynała się niecierpliwić. I niepokoić. Najbardziej o Matta, ale martwiła się też o innych. Wyobrażała sobie różne straszne rzeczy, które mogą się zdarzyć nad rzeką. Wszystko, od utonięć po bójki, przez dźganie nożem po ukąszenie węża. Wiedziała, że tak bywa. Ale chyba nie teraz. Nie wierzyła, by któryś z mężczyzn pozwolił sobie na takie zachowanie na oczach dzieci. Matt jest przy nich bezpieczny. I oni też są chyba bezpieczniejsi, dopóki chłopiec z nimi jest. Zdawała sobie jednak sprawę, że Matt mógłby się utopić. Chociaż wszystkie dobre moce i gromada poszukiwaczy złota z Ameryki są po jego stronie. Zdawała sobie sprawę, że wąż może się pojawić nieoczekiwanie, żeby nie wiem jak szczerze modliła się, by nic się mu nie stało. Matt jest bardzo ważny. Roza strzegła go dla Mattiasa, podobnie jak strzegła Jordy'ego dla Monique. I dla Jaspera.

Matt jest następnym ogniwem po Mattiasie. Jest ważny i nie może mu się stać żadna krzywda. Nie

powinno się go niczym obciążać. To na niej spoczywa odpowiedzialność, by chłopiec żył i dorastał, aż stanie się tym mężczyzną, jakiego Mattias chciałby widzieć w swoim synu.

To nie ona go urodziła, ale chłopiec jest jej dzieckiem. Głupio z jej strony, że się boi, ale nic na to nie może poradzić. Bała się beznadziejnie, ale wciąż padało tak bardzo, że nie mogła wyjść, by go odnaleźć. Na kolanach docierała do wyjścia i odsuwała zasłonkę.

Deszcz był siwy, tak gęsty, że nawet zarośli wokół obozu nie widziała. Ledwo majaczyła jej rzeka i stojący tam mężczyźni. Byli jak mroczne cienie. Próbowwała ich liczyć, ale to nie było możliwe. Wszyscy wciąż znajdowali się w ruchu. Wszystko było białoszare lub zielone. Wszystko zlewało się w jedno, jakby cały świat stał się jedną wielką, błotnistą kałużą.

Pomyślała o koniach i zadrżała. Zwierzęta stały przywiązane tuż przy zaroślach, więc krzewy powinny im dawać trochę osłony, w każdym razie dopóki woda nie zacznie spływać z liści. Pragnęła mieć tyle przytomności umysłu, by zerwać plandekę i rozpiąć ją nad końmi. W przyszłości powinna o tym pamiętać. Zdała sobie sprawę, że nie po raz ostatni ogląda to miejsce. Zostaną tutaj. Nastaną nowe dni i noce. Będzie słońce i upał, lecz także kolejne deszcze, podobne do dzisiejszego.

Jeremy znajdzie nowe powody, by tu zostać. Zawsze znajdują się nowe, dobre powody. Najpierw Jeremy musi znaleźć złoto. Potem pewnie będzie musiał znaleźć trochę więcej. No a potem przyjdzie mu do głowy, że powinien stać się naprawdę za-

możnym człowiekiem. Takim, jakim był w Georgii. Wielki pan, do czego przecież jest stworzony. I oczywiście tęskni za tym! Nigdy o niczym takim nie wspomniał, ale Roza nie jest głupia. Rozumie tego rodzaju sprawy. Nikt nie może po prostu wywrócić swego życia do góry nogami i wierzyć, że z łatwością przywyknie do mniejszego luksusu. Jeremy sprawia wrażenie zadowolonego, ale Roza mu nie ufa.

Również ona, która wcale nie została stworzona do jedwabnych sukien, czasami odczuwa tęsknotę za nimi. Nie są niezbędne, ale w swojej rozkosznej zbędności przydały jej życiu tylu barw, jakich istnienia nawet przedtem nie przeczuwała. I nigdy też bogactwa nie oczekiwała. Było niczym cudowne zaskoczenie i z bólem z niego zrezygnowała. Może żyć skromniej, ale to dużo bardziej szare życie.

Roza czuła, że otacza ją teraz inny zapach. Ze drzewa wydają inną woń. Rzeka też pachnie inaczej pod ciężkim deszczem. Ziemia zmienia barwę i wydobywają się z niej wonie, które w dniach suszy były ukryte. Wchłaniała to wszystko łapczywie, ale na dwór nie chciała wychodzić, ucieszyła się więc, kiedy zobaczyła, że jakaś postać zbliża się do wozu.

Kiedy przybysz wspiał się do nich, nie była już taka zadowolona, bo stwierdziła, że to Blix.

Zdjął buty i zostawił je na zewnątrz, ale chociaż energicznie otrząsnął kapelusz i ściągnął koszulę, wniósł ze sobą ten zgniły zapach. Odszukał w wozie swoją kołdrę i otulił się nią.

-Wszędzie znajdujemy złoto - oznajmił.

- Czy Matt tam jest? Wszystko z nim w porządku?

Blix przytaknął. Jego ciemna grzywka była mokra, kleiła się do czoła. Mężczyzna dygotał, trzeba było sporo czasu, by przestał szczękać zębami. Wpatrywał się w Rozę, jego wzrok ją onieśmiał. W końcu Blix się odezwał:

- No to ty i Jeremy zostaliście parą.

- Na to wygląda - odparła.

- On nie może zrobić ci nic złego!

- Niczego złego mi nie robi - bąkała z zakłopotaniem. Troska, jaką wyczuwała u Blixa, złagodziła trochę jej lęk. Blix jest taki jak ona. Przypomina ją bardziej niż kiedykolwiek by przypuszczał. On też jest jednym z tych, których życie nie traktuje łaskawie i sam dobrze o tym wie. Dumy zostało w nim już niewiele, ale wciąż jest troskliwy. Nikt, kto potrafi odczuwać ciepło do innej osoby, kto potrafi kochać drugiego, nie jest całkiem martwy.

Jest jeszcze dla niego nadzieja. -Ty naprawdę znasz go z przeszłości? To nie jest żaden głupi wymysł?

- Tak, znam Jeremy'ego.

- Będzie z nim źle, jeśli nie uczyni cię szczęśliwą. Jeśli nie będzie dla ciebie dobry, wielu z nas tak uważa. Nie tylko ja. - Umilkł na chwilę. - Ja jestem może trochę bardziej zły niż reszta.

- Rozumiem to - uśmiechnęła się Roza w półmroku.

- I nie gniewasz się na mnie?

- Nie. Człowiek nic nie poradzi na to, co czuje.

- Jak ładnie to powiedziałaś - westchnął.

- Ale tak właśnie jest.

- Czy on się z tobą ożeni?

- Kiedy zdobędzie wystarczająco dużo złota na dom dla niej - rozległo się przy drugim końcu wozu.

Roza podskoczyła. Nie słyszała, że Jeremy przyszedł, ale bardzo się ucieszyła. Obecność Blixa nie sprawiała jej przykrości, ale wolała nie siedzieć z nim sam na sam zbyt długo.

- W takim razie musisz pracować szybciej - stwierdził Blix, ale jego twarz wciąż pozostawała bez wyrazu.

- Na razie starczy mi na pierścionek - powiedział Jeremy, uśmiechając się zaczepnie do Rozy.

Widziała, że ta sytuacja go bawi. Miał ochotę ciągnąć dalej historię, którą wymyślił w słoneczny poranek. Z radością wymyślał kolejne szczegóły. Zaskakiwał ją tak samo jak Blixa. I Roza nie bardzo wiedziała, czy ceni to sobie tak samo jak on. Wolała nie komentować jego propozycji.

- Może powinienem właśnie to złoto przetopić na pierścionek dla ciebie, skarbie?

- To ty znalazłeś złoto? - A wątpiasz we mnie?

Cmoknął ją w czoło, kiedy przeczołgiwał się przez pozwijane kołdry leżące pośrodku wozu. Roza nie protestowała, bo Blix nie spuszczał z nich wzroku. Oczekiwał, że będą zakochani, że będą zachowywać się dziecinnie.

Nie czuła się urażona. Jeremy ledwo zdążył jej pokazać to, co zdobył po dniu ciężkiej pracy, niedużą kupkę złotych ziarenek umieszczonych na dnie skórzanego woreczka, kiedy zjawił się Matt. Nie zdjął butów jak tamci, po prostu wtoczył się do środka.

- Przyszli tu jacyś ludzie - wyharczał. - Nick

powiedział, że to policja. Prosił mnie, żebym wszedł do wozu i tu zostałem. Powiedział też, że wy dwaj macie pilnować dzieci i Rozy.

Jeremy natychmiast stał się czujny. Blix też zrzucił kołdrę, w którą się otulił i gorączkowo szukał w ciemności swojego worka. Żaden z mężczyzn nie wychodził stąd z inną bronią niż nóż. Idąc do pracy, rewolwery zostawiali w wozie. Poszukiwania trwały jakiś czas, ale w końcu Blix znalazł ciężki pas i bez słowa go przypiął. Spojrzał wymownie na Jeremy'ego, który też miał już na sobie oba pasy.

- Nie dopuście tylko do jakichś głupstw - poprosiła Roza.

Jeremy spojrzał jej w oczy. Coraz częściej przychodziło mu do głowy, że to wyjątkowa kobieta.

- Nie będzie żadnych głupstw - obiecał. - Oni przyszli wyłącznie po to, by sprawdzić nasze licencje. Co innego mieliby tu robić?

Roza nie wiedziała. Bała się, że ci obcy mogą poprosić o dach nad głową. Bała się, że wśród nich może być Summer.

- Siedź tutaj - powiedział Jeremy z powagą. - Dzieci też zostaną przy tobie. Jordy'ego ukryj jak zwykle.

- Możemy udawać, że śpimy - starał się pomóc Matt, zrzucając mokre buty. Rozwinał pierwszą kołdrę, na jaką trafił i skulił się pod nią, mocno zaciskając powieki. - Ja śpię - oznajmił i zanim Jeremy z Blixem wyskoczyli z wozu, Matt naprawdę spał.

Roza zasnąć nie mogła. Serce tłukło jej się w piersi ze strachu.

Rozdział 6

Długo wyczekiwany skarb nareszcie znaleziony

Tak pisał redaktor Clark w wydawanej w Geelong gazecie.

Victoria jest krainą złota i z Geelong dochodzą teraz radosne wiadomości o wielkim odkryciu. Pan Esmonds przybył do Geelong w sobotę 5 lipca z kilkoma pięknymi grudkami złota i garścią złotego piasku, które wydobył z ziemi.

Widzieliśmy te próbki, w mieście znajduje się więcej takich egzemplarzy. Powstrzymywaliśmy się przed ogłaszaniem wiadomości o mineralnych odkryciach, ale wobec niewątpliwych dowodów, jakie teraz mamy przed sobą, z radością zawiadamiamy, że obecność pól złotonośnych w górach jest wielką prawdą. To bardzo ważna wiadomość, jest ona fantastycznym początkiem wspaniałego rozwoju Victorii, a zwłaszcza dystryktu zachodniego.

Po tym, jak pogłoski o złocie rozprzestrzeniły się w całej Australii, ludzie wyruszali z domów, by

szybko zdobyć bogactwo. Pochodzący z różnych krajów hodowcy owiec dostrzegali teraz nową nadzieję na przyszłość. Ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce, władze niczego takiego nie przewidziały. Napływali poszukiwacze złota z innych części świata, a pracownicy farm opuszczali dotychczasowe miejsca pobytu. Zaczynało brakować ludzi, którzy by mogli zaspokoić potrzeby żywnościowe nowego kontynentu.

Wicegubernator Victorii, Joseph La Trobe, bardzo szybko ogłosił, że znajdowane w Victorii złoto należy do królowej. W kilka dni później sformułowano warunki władz regulujące gorączkę złota. Królowa chce mianowicie pozwolić swoim poddanym na poszukiwanie złota należącego do korony, ale ci poddani muszą przedstawić zaświadczenie od swoich dawnych pracodawców lub w inny sposób przekonać lokalną komisję, że bezprawnie nie porzucili zatrudnienia. Poza tym licencja na kopanie ma kosztować trzydzieści szylingów miesięcznie. Należność trzeba uiszczać z góry. Wicegubernator powołał konne oddziały policji złożone z dawnych i nowo zwerbowanych funkcjonariuszy, które miały odwiedzać złotonośne pola i kontrolować, czy kopiący wnieśli opłaty.

Mieli na sobie zielone kurtki, spodnie w czerwone pasy i zielone kapelusze z czerwonymi otokami. Mundury wyglądały śmiesznie, ale żaden z poszukiwaczy złota nie uśmiechał się, kiedy tak ubrany policjant się do niego zbliżał. Jeremy podejrzewał, że musi być widać jak bije mu serce. Nie zdążył zapiąć koszuli, zanim wyskoczył na deszcz, zdołał tyl-

ko włożyć pasy z rewolwerami. Buty też zostawił. Brodził teraz boso w rzadkim błocie, kątem oka zauważył, że Blix też jest boso, ale jemu udało się przynajmniej włożyć kapelusz na głowę.

Deszcz jakby ustawał. Ale może mu się tylko tak zdawało. W każdym razie wyraźniej było widać okolicę. Szukał wzrokiem tej jednej znajomej twarzy, którą mógłby dostrzec wśród pół tuzina jeźdźców. Zauważył, że konie mają dorodne. Z dobrej stadniny albo importowane z Anglii.

- Imponująca chęć pracy w taką pogodę jak ta musi chyba świadczyć, że nie pracujecie na próżno - skomentował jeden z policjantów, który miał dość pasków, by być przynajmniej kapitanem. Nie przedstawił się, mundur mówił sam za siebie. Świadczył, że to wyższa ranga.

Na brzegu mężczyźni stali zbici w gromadkę. Miski leżały obok, dziwnie puste. Jeremy domyślił się, że je opróżnili, gdy tylko dostrzegli oddział. Barwne mundury nie zapewniały kamuflażu.

-Widzę, że nie postawiliście urządzenia do oddzielania kamieni - powiedział kapitan.

-Nie wiemy jeszcze, czy tutaj miałoby to jakiś sens - odparł Jack i wystąpił z gromady jako szef. - Jesteśmy tu nowi - dodał, a nikt z pozostałych nawet nie drgnął, słysząc oczywiste kłamstwo.

- Ale wszyscy opłacili licencje? Jack teatralnie położył dłoń na sercu:

- Nikomu nawet by do głowy nie przyszło oszukiwać Jej Wysokość.

Ale nie wystarczyły szlachetne zapewnienia. Nikt zresztą tego nie oczekiwał. Kontrolerzy Jej Wysokości królowej chcieli zobaczyć papiery z

odpowiednimi stemplami i Jeremy ofiarował się, że pójdzie do wozu i przyniesie dokumenty. Związali je razem i przechowywali w szkatułce Rozy. Było mnóstwo śmiechu, kiedy związała papiery zieloną, jedwabną wstążką. Jeremy sądził, że nastrój zelżeje, jeśli policjanci też znajdą powód do śmiechu.

Roza oparła się na łokciu i bezgłośnie wypowiedziała nazwisko tego, którego się obawiała:

- Summer?

Jeremy pokręcił głową.

- O ile dobrze widziałem, to nie.

Odetchnęła z ulgą. Jeremy miał mało czasu. Wyskoczył na wyraźnie już słabszy deszcz, trzymając szkatułkę Rozy w ręce. Odgarniając z czoła długą, mokrą grzywkę, uśmiechnął się przepraszająco do kapitana i zdołał spojrzeć mu w oczy. Zmobilizował cały swój czar.

- Madame lubi mieć porządek. To jest jej archiwum.

Kapitan zsunął się z konia. Jeremy stwierdził, że nie jest to mężczyzna wiele od niego starszy. Siedząc wysoko w siodle, człowiek zyskuje na autorytecie. Nawet ów beznadziejny mundur był świadectwem władzy.

- My nie mamy wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o porządek
- wtrącił jeszcze Jeremy.

-To twoja żona, co? - spytał kapitan i uniósł wieko szkatułki. Kiedy zobaczył zieloną wstążkę, pośpiesznie zerknął na Jeremy'ego. Ten uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami.

-Jakoś sobie z tym radzę.

-Ale przyciągnął tu za sobą i ją, i troje dzieci

mruknął Blix złośliwie. Wpatrzone w Jeremy'ego oczy pociemniały. - My zachowujemy się wobec niej uprzejmie i tak, że nie może się złościć na tego głupka - wyjaśnił kapitanowi.

-Niewielu zabiera żony na złotonośne pola -rzekł kapitan, przeglądając licencje. - A tym bardziej dzieci.

- Nie chciałem jej zostawiać - tłumaczył Jeremy. - Ameryka znajduje się daleko stąd, sir. Jeden Bóg wie, czy stanę się bogaty. I ile czasu mi to zabierze. A mężczyzna potrzebuje kobiety. Pomyślałem, że równie dobrze mogę zabrać swoją. W domu nie bardzo było co zostawiać.

-Wszyscy jesteście Amerykanami? -Ja jestem Szkotem - odparł Shane z dumą. -Jestem jednym z poddanych królowej.

- Masz ze sobą dwoje dzieci, które też pracują -uśmiechnął się kapitan.

- To moje dzieci - powiedział Jeremy. - Dla nich to zabawa.

- Ale małżonka nie kopie złota?

Mężczyźni zachichotali. Stało się to tak nieoczekiwanie, że żaden z policjantów nie sądził, iż ble-fują.

- Chciałbym to zobaczyć! - zawołał Jack. - Kobiety nie są poszukiwaczkami złota. Nie pracują też w kopalniach, sir, a to bardzo podobne zajęcie. Mrs Jordan nigdy by nawet nie pomyślała, żeby robić coś tak niekobiecego!

Jeremy powstrzymał uśmiech i pomyślał, że ci faceci nigdy się nie dowiedzą nawet części tego, co mógłby opowiedzieć o swojej przyszłej małżonce.

- Możemy was zaprosić do wozu, dopóki deszcz nie ustanie? - spytał Jeremy wielkodusznie i z pozoru impulsywnie, ale założył się sam ze sobą, że policjanci odmówią.

- Mamy niewiele, ale jeśli rozpalimy ognisko, to znajdzie się też coś do jedzenia.

- Myślę, że jednak pojedziemy dalej - odparł kapitan, oddając Jeremy'emu licencję i jedwabną wstążkę. - Można by się zastanawiać - powiedział jakby przypadkiem. - Można się zastanawiać, jak taka elegancka kobieta, która w ten sposób przechowuje licencje poszukiwaczy złota, traktuje dokumenty, które są naprawdę ważne.

Jeremy uniósł jedną brew. Był zły na siebie, pewnie przesadził. Należało tylko podać kapitanowi papiery. Trzeba było sobie darować to całe gadanie o żonie i dzieciach.

- Nie rozumiem - powiedział, udając głupszego niż jest.

- Czy innym kolorem wstążki związane są metryki urodzenia dzieci i świadectwo ślubu - zastanawiał się kapitan ze złośliwym uśmiechem na wargach.

Jeremy podszedł do konia. Dał kapitanowi znak, by ten pochylił się ku niemu. Cicho, zasłaniając usta ręką, powiedział:

-Między nami mówiąc, sir, tamte dokumenty owinięte są podwiązką, którą ona miała na sobie w dniu ślubu.

Bładoniebieską. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, rzecz jasna. Kobiety takie są, prawda?

-Podobno prawda - mruknął policjant i wyszczerzył zęby. - A tutaj wszystko w porządku

dodał, jakby byli starymi znajomymi. - Zresztą, w większości miejsc panuje porządek. Mówi się, że teraz w Australii jest dwa tysiące pięciuset poszukiwaczy złota. Dwa tysiące dwustu czterdziestu sześciu opłaciło licencje. Was też ta liczba obejmuje. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale sprawdzać trzeba. Mówią, że sam wicegubernator wybiera się na złotonośne pola. Może zechce odwiedzić i was, kiedy opowiem mu o obozie Amerykanów, którzy mają ze sobą kobietę i dzieci.

Jeremy powstrzymał uśmiech. Przypuszczał, że pozostali nie wiedzą, iż ma się z czego śmiać.

- W każdym razie zapraszamy pana gubernatora - wtrącił Jack. - Mamy plandekę nad wozem, więc nie będzie zaciekać, gdyby ekscelencja postanowił nas odwiedzić. Słyszałem, że tej wiosny ma dużo padać. W Kalifornii było tak samo.

Ale kapitan nie był zainteresowany tym, jak to było w Kalifornii. Jack nie jest ani pierwszym, ani jedynym Amerykaninem, którego spotkał na złotonośnych polach Victorii. Z pewnością słyszał wiele historii z Kalifornii. Skoro wszystko było takie niezwykle, ciekawe, dlaczego tam nie zostali? Dobrowolnie przepłynęli przez morze i na dodatek muszą wносить wysokie opłaty. Nikt ich do Australii nie zapraszał!

-Ty to dopiero jesteś zimna ryba - stwierdził Jack, obejmując ramieniem kościste plecy Jeremy'ego. - Zapraszać na obiad oddział sprawdzający licencje! Wszyscy inni cieszą się, kiedy mogą już zobaczyć ich plecy. Ty ich zaprosiłeś, kiedy zdecydowali się odjeżdżać.

- To nauka z dzieciństwa - tłumaczył Jeremy.

- Żaden z nas nie pochodzi z takiego domu jak ty, to pewne - powiedział Nick.

Jeremy uśmiechnął się, w głębi duszy się z tym zgadzał. On pochodzi z domu niepodobnego do innych.

Roza wysiadła z wozu. Czekwała, dopóki nie nabrała pewności, że policjanci odjechali. Leżała z uchem przytulonym do dna wozu tak, że była w stanie usłyszeć stukot końskich kopyt, kiedy wyjeżdżali. Tylko w tym miejscu deszcz nie zagłuszał wszystkiego. Dopóki jednak mężczyźni nie wybuchnęli śmiechem, nie była pewna, że tamtych już nie ma. Ale nie śmialiby się, gdyby ci okropni ludzie wciąż tu byli.

Czy on też tu był?

Czekwała chwilę, zanim zdecydowała się wysiąść. Wciąż kapalo, gęste chmury nadal przesłaniały niebo. Przed wyjściem Roza zdjęła buty. Były prawie suche i nie chciała ich znowu przemoczyć.

- Szkoda, że nie przyszłaś wcześniej - powiedział Nick. - Jeremy mógłby cię przedstawić temu surowemu kapitanowi. Chociaż i tak odjeżdżając stąd, na pewno myślał, że cię zna. Twój mążonek wyjawiał mu wasze tajemnice...

Jeremy okrążył błotnistą kałużę, żeby Roza nie musiała jej pokonywać. Nick i Blix śledzili go uważnie. Nie może porozmawiać z nią sam na sam, jak miał nadzieję, w niebieskich oczach wyczytał jednak to samo pytanie.

- To nie był on - powiedział cicho.

Roza próbowała udawać, że nic się nie dzieje, ale zdawała sobie sprawę, że Nick i Blix ją obser-

wują. Widziała, jak przenoszą wzrok na Jeremy'ego.

-Nie byli chyba najbardziej brutalnymi policjantami, jakich mogliśmy spotkać - rzekł Jeremy lekko.

Ludzie opowiadali sobie różne historie o tym, w jaki sposób oddziały licencyjne zmuszają poszukiwaczy złota do wnoszenia opłat. Były to historie o pałkach i ostrych nożach, o obcinaniu części ciała. Historie o zaciśniętych pięściach i zimnych lufach pistoletów przystawianych do skroni.

- Miałem okazję zobaczyć, jak wyglądają ci faceci, którzy nie zapłacili - powiedział Nick.

-I pozwoliliście, żeby to, co znajdowało się w miskach, zniknęło w rzece? - spytała Roza, która teraz zauważyła stos cynkowych misek.

- Człowiek nie może wszystkiego wyjawić władzom - stwierdził Nick, bardzo zadowolony z tego, jak zachowali się w trudnej sytuacji.

-Ja powiedziałem im, że związałaś metryki dzieci niebieską podwiązką - powiedział Jeremy do Rozy.

Otrzymał za to pełne oburzenia, lodowate spojrzenie.

-I że trzymasz tam również świadectwo ślubu - dodał. - Powiedziałem, że tę podwiązkę nosiłaś na weselu.

Blix ze świstem wypuszczał powietrze. Nie był w stanie patrzeć na tego głupka Jordana. Zastanawiał się, co Rosie w nim widzi. Pominąwszy oczywiście elokwencję i chłopięcy wdzięk, w Jeremym Jordanie nie było nic szczególnego. Blix nie wierzył, że Rosie dała się oczarować tym cechom. Wierzył, że jest na to zbyt dojrzała.

- Dlaczego? - westchnęła Roza. - Dlaczego musisz tak przesadzać?

- Wiarygodność - wyjaśnił Jeremy. - Przez cały czas chodzi właśnie o to.

- Czasami - odparła - wydaje mi się, że tam, gdzie ludzie mają mózg, ty masz wielką, czarną dziurę, Jeremy.

- Ale ty kochasz mnie mimo wszystko? - spytał z naciskiem, spoglądając bardziej na Blixa niż na nią.

- Nooo - powiedziała, ale nie wrywała się, kiedy objął ją ramieniem. Pozwoliła mu się przytulać i całować.

Blix popatrzył Jeremy'emu w oczy. Domyślał się, że Jordan rozumie, co się dzieje w jego sercu, ale jakoś to przeżyje. Skoro ona naprawdę chce tego głupka Jordana, to Blix będzie ostatnim, który stanąłby jej na drodze.

Zastanawiał się tylko, dlaczego żadne z pieszczot Jeremy'ego, żaden z jego pocałunków, nie wygładził tej zmarszczki, którą Roza ma na czole. Zastanawiał się, co znaczy ta cicha uwaga, jaką Jeremy jej przekazał, jak tylko tutaj przyszła.

Czego ona się boi?

Kogo?

Siedzieli w wozie niczym zmokłe koty, dopóki niebo się nie wypogodziło. Wciąż pozostało jeszcze kilka godzin do końca dnia, byli najedzeni i wypoczęci. Koszule rozwiesili do suszenia. Choć spodnie mieli jeszcze mokre, to jednak wyszli, by wykorzystać resztę dnia.

- Teraz wiemy, jak się sprawy mają - powiedział Jack.

-W żwirze podczas deszczu widzieliśmy mieniące się złoto - wytłumaczył Dave Rozie.

Ona miała własny pogląd, ale pozwalała im marzyć w spokoju. Byli wypoczęci i ogarnięci nadzieją, nawet Lily i Matt chcieli jeszcze spróbować. Lily oddała swój skarb matce.

- Schowaj to w jakimś bezpiecznym miejscu -poprosiła i pobięła.

-Jakieś z pewnością znajdę - krzyknęła Roza za nią i mrugnęła do Jeremy'ego. - Może pod niebieską podwiązką.

- Kocham kobiety, które znajdują się na żartach -westchnął Jeremy i cmoknął ją lekko w usta, a niebieskie oczy śmiały się do niej spod gęstej grzywki.

- Ty się zapominasz! - zwrócił uwagę Nick, kiedy Roza nie mogła ich już słyszeć. - Działasz trochę głupio, chłopcze - powiedział protekcjonalnie. Chciał wierzyć, że ma więcej doświadczenia niż Jeremy, ale pewny nie był. Trzeba więc przynajmniej udawać.

- Nie wiem, co masz na myśli?

- Rozę. Nie możesz mówić o innych kobietach, kiedy prawisz jej piękne słówka.

- Co? - spytał Jeremy, niczego nie rozumiejąc.

- Lubisz kobiety z poczuciem humoru - tłumaczył Nick cierpliwie.

- No, tak - przytaknął Jeremy.

- Kobiety - powtórzył Nick. - Tymczasem każda z nich myśli, że jest tą jedną jedyną...

- Ach, tak! - zawołał Jeremy, który w końcu pojął, o co chodzi.

- Co się tyczy tej kobiety, to ona dla ciebie

powinna pozostać jedyną, Jordan - wtrącił Blix, który wziął się nie wiadomo skąd.

- Otóż to - poparł go Nick. - W przeciwnym razie mogłoby dojść do nieszczęścia.

- Nieszczęścia z tobą - uściślił Blix. - Jej z pewnością nic się stać nie może.

- Czy to pogróżka? - spytał Jeremy. - Czy ja dobrze słyszę? Wy mnie straszycie? Śmiercią?

- My tylko mówimy - odparł Blix. - Mówimy, że jeśli ją w jakiś sposób zranisz, Jordan, to powinieneś wyjechać bardzo daleko stąd.

-Ja na twoim miejscu natychmiast bym odpłynął - dodał Nick z powagą.

- Ty nie umiesz pływać - zaprotestował Blix.

- Ale myślę, że Jordan umie - odparł Nick. - Myślę, że on pochodzi z takiej rodziny, w której dzieci uczą się pływać, zwłaszcza że i tak nie mają nic innego do roboty.

Przyszło mu do głowy, że jego stary ojciec zgrzytałby zębami, słysząc te słowa. Ale Jeremy nie wierzył, że tego rodzaju ułomności są dziedziczne. W każdym razie on niczego takiego w sobie nie zauważył. Był przekonany, że jest normalnym, młodym człowiekiem.

-Ja czczę moją kobietę - zakończył.

Nieoczekiwanie, tam gdzie dotychczas pochyłali się nad miskami zwierającymi jedynie żwir, poczuli jakiś inny ciężar i nie chodziło tylko o to, że po deszczu ziemia jest cięższa. To coś innego. Przesunęli się nieco wyżej na zboczu, niektórzy wrócili do kopania tam, gdzie pracowali przed pojawieniem się policji, inni zeszli nad wodę.

Wszyscy zauważali, że miski są cięższe. Radosne okrzyki wyrywały się z kolejnych gardeł. Wprost nie mogli uwierzyć we własne szczęście. W wąskiej odnodze rzeki woda dosłownie się gotowała, kiedy mężczyźni wskakiwali do niej z cynkowymi miskami, wykrzykiwali jakieś bezsensowne słowa, zdania, które nie miały końca.

Roza to usłyszała i przybiegła nad rzekę. W ramionach trzymała Jordy'ego, który kopał i wyrywał się, bo chciał iść sam. Ona była jednak głucha na jego wściekłe wrzaski. Te zresztą nie różniły się bardzo od radosnych okrzyków mężczyzn. Nie chciała po prostu, żeby malec się ubrudził. Przyszło jej do głowy, że odkąd Jeremy stał się jej ukochanym, musi troszczyć się również o niego i jego ubrania. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie o to mu właśnie chodziło.

- Znajdujemy złoto! - wrzasnął Jack i ociekając wodą wybiegł na brzeg z miednicą w rękach. - Będziemy potwornie bogaci - jęknął, kiedy zrównał się z Rozą.

Ona zrozumiała go, gdy zerknęła na dno miski. Było w niej więcej złota niż żwiru. Wielokrotnie więcej.

- To jest jak masło - jęknął Jack, ocierając czoło. Był mokry od potu. - Jak kukurydza, którą można zbierać na polu. To jest jak ciasto na miodzie.

Jęknął znowu, bo nie mógł znaleźć dość dobrych porównań.

-Wszędzie jest żółto od złota - powiedział jeszcze na pół z płaczem. - Całkiem żółto od złota, Rosie. Naprawdę żółto.

Każdy po kolei opisywał jej swoją pierwszą

miskę pełną złota. Wszyscy mówili bez ładu i składu, ale niczyja miska nie była pusta. Nawet miski dzieci. Lily oddała swoje złoto Rozie, natomiast Matt przechowywał swoje w coraz brudniejszej chustce do nosa, którą mocno związywał.

Roza uniosła w ręce zawiniątko Lily. To prawdziwy cud, była jednak pewna, że się bardzo nie myli, zgadując, że jest tego jakieś dziesięć, może dwanaście uncji.

Powoli robiło się ciemno. Pracowali, dopóki było to możliwe, wkrótce trudno będzie jednak dostrzec, co człowiek trzyma w ręce. W nocy wszelki żwir wygląda tak samo. Złote okruszyny również.

Wszyscy zebrali się wokół ogniska, które Rozie udało się rozpalić. Trwało to długo. Wszystko było bardzo mokre, a wilgotne gałęzie nie dawały się łamać. W końcu jednak jakoś sobie poradziła i teraz ogień trzaskał, a w powietrze wylatywały skry. Dobrze było poczuć ciepło, wiele par butów przysunięto niemal do samego ognia, choć wszyscy wiedzieli, że dobre buty w ciepłe pękają.

- To prawdziwe szaleństwo - westchnął Dave. - Myślę, że wypłukaliśmy dziś po południu jakieś osiem, może nawet dziesięć funtów złota.

- Tylko w ciągu paru godzin! - dodał Cassey.

- Teraz wiemy, gdzie ono jest - rzekł Jack. Razem z ciepłem ogarniało wszystkich poczucie

ulgi. Byli syci i zadowoleni. Znaleźli złoto. W tym miejscu znajduje się masa złota! Jeszcze więcej znajdą jutro i pojutrze, i następnego dnia. Znajdą tyle złota, że będą się mogli w nim pławić.

- Nie przypuszczałem, że tak się człowiek czu-

je, kiedy jest bogaty - mruknął Shane, któremu przez całe życie nic się nie udawało.

- A jak się czujesz?

-Jestem syty i zadowolony, i trochę pijany po grogu - odparł tamten uszczęśliwiony i zasnął. Wszyscy się roześmiali.

Zostało nie więcej niż dwa dzbanki grogu, ale uznali, że ten wieczór to najlepsza okazja, żeby je opróżnić. Od dawna nie świętowali już tak radosnej chwili, a obawiali się, że tak przywykną do znajdowania złota, iż żaden wieczór później już nie będzie taki jak ten.

Długo w nocy słychać było wspaniałe historie i śmiechy. Choć owady strasznie się naprzykrzały w tym cichym, wilgotnym powietrzu, nikt się nimi nie przejmował. Rozkoszowali się zakończeniem wielkiego dnia. Najlepszego dnia w życiu większości z nich.

Roza też się przyłączyła. Położyła spać dwoje przejętych starszych dzieci oraz jedno małe, które nie pojmowało, dlaczego wszyscy są tacy pobudzeni, ale chętnie ulegało nastrojowi. Więc to, co zwykle zajmowało kilka chwil, kiedy Roza musiała zaśpiewać lub coś opowiedzieć, tym razem trwało godzinami.

- Mam nadzieję, że nie co wieczór tak będzie -zauważyła Roza.

Jack częstował ją grogiem, ale odmówiła. -Ja piję bardzo mało - powiedziała z uśmiechem.

- Nawet naszego zdrowia nie wypijesz? - zdziwił się, nieco urażony.

- A może chciałabyś szampana? - spytał Nick. -

Zafundujemy ci szampana, jak tylko znajdziemy się w Geelong. Dla ciebie nic nie jest zbyt dobre.

Roza śmiała się, zrozumiała, że powinna się jednak napić. Chodzi nie tylko o alkohol. Stanie się jedną z nich, jeśli będzie świętować tak jak oni.

- Nie jestem lepsza od was! - uśmiechnęła się. -Daj mi ten kubek, Jack!

Radość była wielka, kiedy Roza przepijała do wszystkich, a Jack, ojcowskim gestem obejmował jej ramiona, dopóki nie opróżniła kubka. Chętnie nalałby jej jeszcze, ale tym razem odmówiła naprawdę stanowczo.

Powoli zaczęli się przygotowywać do snu. W milczeniu wsiadali do wozu, bo ziemia była wciąż mokra.

Roza i Jeremy zostali w końcu sami przy dogasającym ognisku. Jack uznał, że powinien jeszcze zażartować przed odejściem:

- Postaraj się, żeby ci nie odmówiła, kiedy ty jej coś zaproponujesz, Jordan!

Jeremy czuł się zobowiązany do uśmiechu. Roza milczała. Nick zresztą nie oczekiwał, że jakoś te słowa skwituje.

- Musimy porozmawiać - powiedział Jeremy. -Ja nie jadę do Geelong!

- Czego wy się boicie? - spytał w ciemności jakiś głos. Głos Blixa.

Rozdział 7

-Wszystko, co o mnie myślicie, jest prawdą -rzekł Blix sucho. Nie stanowiło dla niego żadnej tajemnicy, że inni szepczą za jego plecami. Wszystko słyszał. - Jest nawet gorzej. Widziałem więcej konających ludzi niż możecie sobie wyobrazić.

Roza poczuła szczupłe ręce Jeremiego na swojej dłoni. Uczepiła się go z taką siłą, że poczuła ból. Splotła z nim palce. Wsysała ją ciemność. Roza była zbyt przerażona, by krzyczeć. Zresztą pobudziłaby dzieci. Lepiej ich nie straszyć. Poza tym nie byłoby nikogo, kto mógłby skierować broń w stronę Blixa. Wszyscy słyszeli pogłoski. Wszyscy wierzyli w najgorsze informacje o nim.

Przyszło jej do głowy, że mimo to żadne z nich nie jest w stanie wyobrazić sobie najgorszego o tym człowieku. Wolą nie myśleć, co by to mogło być.

- Kim jest ten on? - spytał Blix.

Roza nigdy nie lubiła, żeby inni wtrącali się w jej sprawy, słuchali tego, co nie jest przeznaczone dla ich uszu. To oznaka braku szacunku. Ale oczywiście w żadnym razie nie powiedziałaaby tego Blixowi. Plotki o nim świadczyły, że cieszy się większym poważaniem, niż na to zasłużył. Rozę złościło, że tak to jest. Złościło ją, że jest bardziej przestraszona niż zagniewana, nie mogła jednak

zniszczyć sobie najbliższej przyszłości bezsensownym wybuchem gniewu.

Są tak blisko Nowej Zelandii. Znajdują złoto.

Długo tu już nie pobędą. Nie może roztrwonić możliwości, jakie los jej dał. Powinna odnaleźć syna. Musi żyć tak, by mogła połączyć ze sobą dzieci Seamusa. Tak ma być. To jej wola je rozdzieliła, choć nie taki miała zamiar. Roza musi żyć, dlatego pozwala sobie bardziej słuchać lęku niż gniewu.

Jeremy objął ją w pasie. Przyciągnął bliżej, a ona nie protestowała. To niewiarygodne, jak człowieka uspokaja bliskość innego ciała. Zamykał ją w swoich ramionach. Kontrolował oddech. Nie sądziła, że się boi. Czuła dotyk jego policzka. Jeremy nie musi się często golić, przyszło jej do głowy. Przypomniała sobie, że niemal są rówieśnikami. Te jej dwa lata przewagi nie mogą się liczyć. Jeremy nie jest już młodzieńcem.

Blix usiadł po drugiej stronie ogniska. Przyglądał im się uważnie, ale twarz miał nieprzeniknioną. Musi być nadzwyczajnym pokerzystą. Znajdowali się tu tylko oni troje, było słychać trzask ognia i szum rzeki. Nic więcej nie docierało ani z lasu, ani z ciemności. Wiatr mógłby przecież poruszać drzewami, jakaś gałązka mogła trzasnąć pod nogą nocnego zwierza. Jakiś ptak mógł rozpostrzeć skrzydła, zmieniając pozycję na gałęzi, na której śpi. Zidentyfikowaliby takie dźwięki, ale nic do nich nie docierało.

-Macie jakieś wspólne tajemnice - powiedział w końcu Blix, cicho, ale z naciskiem. - To w porządku, dopóki dotyczą tylko was dwojga. Jeśli jed-

nak byłoby coś, co może obchodzić też nas, to głupio z waszej strony, że nic nie mówicie.

Jeremy myślał bardzo szybko. Roza opierała się o niego plecami, a on obejmując ją mocniej, prosił w milczeniu, by była cicho, nie powiedziała nic niepożądanego. On może mówić za nich oboje. Roza musi mu na to pozwolić.

Jeśli plotki mówią prawdę, to Blix długo żył ze swojego rewolweru. Z zabijania innych. Jeremy domyślał się, że to musi wymagać zarówno pewnej inteligencji, jak i siły psychicznej. I Blix jest zainteresowany Rozą. Zainteresowany bardziej niż się godzi. Trudno by się było domyślić, że nosi w sobie takie uczucia. On się po prostu w Rozie zakochał.

i Blix chce dla niej jak najlepiej. Wyraźne ostrzeżenie, jakie dał Jeremy'emu, tylko to potwierdza.

- Pamiętasz rozbójnika z buszu? - spytał Jeremy. Zdawał się nie zauważać, że Roza się poruszyła. Wyczuwał jednak wyraźnie jej niepokój, ale postanowił go zlekceważyć. Nie mogli przedyskutować tej sprawy wcześniej, więc niech teraz będzie co ma być.

- Trudno zapomnieć takiego drania.

- Tylko Rosie go widziała, rzeczywiście go widziała - mówił dalej Jeremy.

Blix zacisnął powieki i splótł dłonie. Najwyraźniej przeczuwał, w jaką stronę to wszystko zmierza, ale przecież nie mógł sobie dokładnie wyobrazić, jak się skończy.

-Okazało się, że ja też go widziałem. Ze my wszyscy go widzieliśmy - mówił Jeremy. - Później. W Geelong. Tam widzieliśmy go wszyscy z wyjątkiem Rosie.

- Teraz mówisz za szybko - chrząknął Blix. Nie widzieli jego zmęczonej, szczupłej twarzy o chorobliwie bladej cerze. - Nie możesz wiedzieć, co widziała Rosie. Ona nie może wiedzieć, co ty widziałeś. Nawet najlepsze opisy nie dają absolutnej pewności. To niemożliwe. Ja na przykład nie widziałem nikogo, kto by skierował moje myśli na rozbójnika z buszu. - Zrobił krótką pauzę. - A ja potrafię używać oczu. Padłbym trupem wiele razy, gdybym nie był w tym dobry. Przywykłem też myśleć o ludziach jak najgorzej. Odkryłbym go, gdyby znajdował się w Geelong. Niemożliwe, żeby mnie uniknął. Z całym szacunkiem, ale uważam, że się mylicie.

- Ale my jesteśmy tego cholernie pewni - powiedział Jeremy.

- To nie wystarczy - bąknął Blix.

- Naprawdę jesteśmy pewni - powtórzył Jeremy. - On jest podobny do kogoś, kogo my z Rosie znaliśmy.

- Ale i tak możecie się mylić.

- Nigdy - oświadczyła Roza krótko. Głos miała ochryply, bo długo milczała. - On jest podobny do mojego męża.

- Do twojego męża?

- Mój mąż nie żyje - odparła Roza. - A ten drugi jest podobny. Rozbójnik z buszu. Mógłby być jego bliźniakiem.

Nie zdobyła się na to, by wypowiedzieć imię Se-amusa tak, by Blix usłyszał. Opowiedziałaby mu w ten sposób coś, co go nie dotyczy. Uczyniłaby go bliższym przyjacielem niż chciała. Zachowywała wobec niego dystans i miała nadzieję, że on to

rozumie i akceptuje. Odsunęła go, ale nie było to obraźliwe. Jej mąż.

Blix wiedział przecież, że była mężatką. Ma dzieci. Zdawał sobie sprawę, że nie jest Dziewicą Maryją. Ale nie myślał o jej mężu jak o człowieku. Rosie jest wdową. Ale Blix nie ma zwyczaju rozmyślać o zmarłych. Człowiek, gdy tylko padnie, staje się niczym. Teraz jednak tamten mężczyzna zaczynał zyskiwać twarz. To niezwykle wpatrywać się uważnie w twarz zmarłego, nawet jeśli dzieje się to tylko w myślach. Nie umiał sobie przypomnieć, by już kiedyś to robił. Może kiedy zmarła jego matka. Ale nie pamiętał. Może nie chciał pamiętać. Niektóre wspomnienia trzeba złożyć do grobu razem ze zmarłymi.

W każdym razie teraz Blix rozumiał lepiej, dlaczego ona zniosła te wszystkie upokorzenia, kiedy zostali napadnięci w drodze do Victorii. Od dawna się nad tym zastanawiał, nie znajdując rozsądnego wyjaśnienia.

- Ty go znałeś? Jej męża? - spytał Blix, zwracając się do Jeremy'ego.

- Byliśmy sąsiadami. Oczywiście, sąsiedzi!

Oni przybyli ze świata, obok którego Blix jedynie przejeżdżał konno. Z miejsc, które widywał poprzez rozedrgane od upału powietrze, poprzez kurz wznoszony przez końskie kopyta. Może nawet przejeżdżał obok ich domów, nie zdając sobie z tego sprawy. Może widział ją z daleka, a nie wiedział, że to ta, którą kiedyś pokocha. Może widział też jej męża.

Blix był w Georgii. Wykonywał tam roboty. Na północy stanu zajmował się nawet stłumieniem czegoś, co mogło się przerodzić w bunt niewolników. Otoczyli kilku zbiegów. Zadbali, by pozostali wiedzieli, iż ich przywódcom się nie udało. Dotarli aż do Pensylwanii i zrobili koniec z człowiekiem, który kierował coraz większymi, lepiej zorganizowanymi ucieczkami niewolników. Dotarli aż do Philli. Blix nie lubił wschodniego wybrzeża. Jego pomocnik okazał się pełnokrwistym mordercą. Człowiekiem, który nie mordował dla pieniędzy, lecz dla przyjemności. Nawet Blix unikał takich. Ten nieszczęsny drań na strychu w Philadelphii nie miał żadnych szans. To paskudna afera. Blix nie był w stanie na to patrzeć. On sam strzelał do tych, których miał schwytać, i na tym kończył. Sprawa była czysta. Ale partner pracował w inny sposób. Twierdził, że dla niego to oczywista sprawa, jakby ten czarnuch był jego znajomym.

Tamten młody człowiek konał niemal dobę, a sądząc po ranach na ciele, został zachłostany na śmierć. Blix nigdy nie słyszał, żeby ktoś aż tak wrzeszczał. Bez ładu i składu. Przeklinał swojego mordercę jeszcze w dziesiątej godzinie tortur. W końcu było tylko jedno słowo, jakieś imię, które Blix zapamięta do końca życia. Nie miało sensu, ale on nawet teraz obudziłby się na jego dźwięk.

Nabasja.

Sądził, że to jakiś murzyński bóg, ale tamten drugi, o którym Blix myślał tylko jako o mordercy, wytarł zakrwawione ręce o koszulę zmarłego i z uśmiechem oznajmił, że był to w równym stopniu Indianin co Murzyn. Ale przekleństwa też nie rozumiał.

Później Blix nie wykonywał już robót w ten sposób. Pracował sam. I w końcu przestał.

Zaczął też rozumieć stosunek Rosie i Jeremiego. Tak uważał. Dręczyło go, że być może widział ją w Georgii, ale nie zapamiętał. Jego życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby ona wcześniej się w nim pojawiła. Może i z niego byliby ludzie. Wszystko, czego potrzebował, to mieć przy sobie dobrą kobietę.

Blix wrócił do rzeczywistości.

- Który to? - spytał tylko.

- Policjant - wyjaśnił Jeremy, jakby od niechcena. Był pewien, że lepiej by zrozumieli Blixa, gdyby wiedzieli, co myśli.

- Summer.

Blix go pamiętał. Zarozumiały drań. Dość stary. Chyba niewiele młodszy od niego. Wolał nie zgadywać, czy Rosie widzi coś w tego rodzaju mężczyźnie. W zachowaniu konstabla był jakby kobiecy wdzięk. Poruszał się jak jakiś książę. Blix nie wiedział, czy jej się to podobało. Nie chciał też zgadywać, co widzi w młokosie Jordanie. Wszystko to stanowiło wielkie zaskoczenie. Kobiety naprawdę trudno zrozumieć.

Konstabl Summer jest rozbójnikiem z buszu. To informacja z rodzaju tych, na których człowiek może się wzbogacić albo umrzeć z ich powodu. W tym przypadku raczej to ostatnie. Konstabl wygląda na pewnego siebie i zarozumiałego drania, a rozbójnik z buszu też bez wątpienia jest zimnym diabłem. To niebezpieczne połączenie. Blix też nie bardzo się boi niebezpieczeństw, ale wolał głośno tego nie mówić, nie chciał straszyć Rosie.

- On nas widział - powiedział wbrew swojemu przekonaniu. - Nie jest taki głupi, żeby się tu zjawiać.

-Ale on tu był - zaprotestował Jeremy. - Był w jej namiocie. Blix poczuł lodowaty dreszcz.

To tłumaczyło, dlaczego Jeremy tak nagle, bez żadnych wyjaśnień, przeniósł swoją kołdrę i położył obok Rozy. To może też świadczyć, że Rosie niczego specjalnego w młodym Jordanie nie widzi. Są starymi znajomymi. Sąsiadami, powiedział Jeremy. Jeśli musiała zwrócić się do kogoś, to właśnie do niego. Blixowi jednak nie podobało się to, jak teraz Jeremy ją obejmuje. To coś więcej niż ramiona, jakby miał do tego niezaprzeczalne prawo. A z jej strony bezgraniczne zaufanie.

-Tutaj? - spytał Blix, czując, że ciarki chodzą mu po grzbiecie. Zrobiło mu się gorąco, zaczął się pocić. Krew pulsowała w skroniach.

Ile to czasu minęło, odkąd czuł się tak po raz ostatni?

Blix nie wiedział.

Tak długo był martwy, odrętwiały i roztrzęsiony, z jednym jedynym celem przed oczyma: upić się tak, by zapomnieć.

Jego życie nie miało żadnego sensu. Pieniądze wpływały po każdym kolejnym człowieku, który padł. W końcu były to wyłącznie pieniądze, ale i one nie dawały żadnej radości. Wszystkie tracił na kobiety, przyjaciół i karty. Złe kobiety i złych przyjaciół i jeszcze gorsze karty. Upijał się porządnym alkoholem i marnym alkoholem, kiedy nie miał już dolarów. Gdy kieszenie były puste, nie mógł sobie

pozwoić ani na karty, ani na kobiety, przyjaciele też znikali, a butelki były żałośnie puste.

Dopóki kolejna kula nie przyniosła pieniędzy. Ten, kto żyje z broni, nie potrafi się cieszyć w tak nędzny sposób zarobionymi pieniędzmi. Ten, kto żyje z broni, sam wkrótce może od niej zginąć.

Zaczął mieć obiekcje.

W swoim czasie jemu też wpojono coś, co ludzie nazywają moralnością. I zaczął się bać.

Broń zawsze wywoływała w nim najrozkoszniesze oszołomienie. To fakt, któremu nie mógł zaprzeczyć. Blix kochał ciężar broni w ręce. Kochał czuć metal przy skórze. Kochał broń objającą się o uda. I kochał przekonanie, że potrafi zabijać.

Wszystko, czego potrzebował, to znowu tego chcieć.

Co więcej niż tylko strach sprawiło, że ręce zaczęły mu się trząść? To nie alkohol. To sens. A raczej brak sensu. W końcu przestał, nie mógł już kierować broni przeciwko ludziom. Teraz znajdował się na najlepszej drodze, by jeszcze raz znaleźć wystarczająco dobry powód.

Krew szumiała mu w żyłach, pulsowała tak gwałtownie, że kręciło mu się w głowie. Był oszołomiony jakby się upił.

Rozpoznawał to uczucie i kochał je. Tak jak kochał ją dlatego, że mu to uczucie przywróciła. Teraz kocha ją jeszcze bardziej...

-Kiedy? - spytał. Mówił z wysiłkiem, ale tak właśnie powinno być. Ból jest częścią rozkoszy. Niebezpiecznej rozkoszy, która pozwala mu oddychać, która stanowi jego motywację do życia.

Urodził się, by to robić. By to planować. By żyć w ten sposób. Z broni. Nagle stwierdził, że ręce już mu się nie trzęsą.

Jeremy opowiedział mu pokrótce, co się zdarzyło. Chciał mieć Blixa po swojej stronie. Jako wróg ten człowiek jest zbyt niebezpieczny. Nawet jego pomyłki są przerażające, myślał Jeremy. Jego milczenie powodowało, że Jeremy'emu włos jeżył się na głowie. Rosie spędziła w tym kraju bardzo krótki czas. Nie sądził, iż zdołała go zrozumieć, niezależnie od tego, że bardzo jest wrażliwa na nastroje i uczucia ludzi. Jeremy jest tu od dawna. Zdążył się przekonać, jacy twardzi potrafią być tutejsi mieszkańcy, zwłaszcza jeśli chodzi o złoto. Widział przybywających z Lauceton na Tasmanii po odbyciu kary. Czy tego chcieli, czy nie, musieli zaczynać nowe życie z pustymi rękami, na kompletnie obcym kontynencie. To nie są warunki, w których wyrastają anioły.

-Domyślam się, że nie ze wszystkimi rozmawialiście o tym otwarcie - powiedział Blix. - Nie rozumiem jednak, dlaczego zwlekaliście z przyjściem do mnie.

- Myślałem, że potrafię to załatwić - odparł Jeremy.

-Ja go prosiłam, żeby zaczekał - powiedziała Roza, słysząc przyspieszony oddech Blixa.

Nie podobał jej się błysk w jego oczach. Nie podobało jej się, że tak chętnie zamierza się rzucić w wojnę po jej stronie. Nie była pewna, czy na to zasłużyła. Nie chciała być tą, która doprowadzi do rozłamu w grupie. Oparła się o Jeremy'ego, czuła ciepło jego szczupłego ciała. Zdawała sobie sprawę,

że wytrąca go z równowagi. Starła się odwracać ku Blixowi oszpecony policzek. Bo nie powinien o niej marzyć, nie powinien fantazjować na jej temat.

- Chciałam, żeby to zostało tylko między nami

- powiedziała, zerkając przez ramię.

On rozumiał, co zrobiła, ale wyraźnie nie był pewien, dlaczego. Mimo to podjął wyzwanie. Bawiło go uczestnictwo w tej grze.

- Nie chciałam też, żebyście dowiedzieli się

o nas - mówiła dalej Roza. Nie musiała tego wypowiadać wprost, mogła jedynie dawać do zrozumienia, a w ten sposób przecież nie kłamie. - Bałam się, że ktoś uzna, iż to z naszej strony szaleństwo

- mówiła tak szybko, jakby chciała opowiedzieć coś, co jest prawdą.

Opłaciły się teraz te wszystkie kłamstwa, które w młodości ciskała w twarz ojcu. Trening okazał się owocny. Nikt nie zmyśla takich znakomitych historii jak Roza. Nikt nie potrafi kłamać tak przekonująco jak ona. Teraz widziała, że Blix jej wierzy.

i wierzyłby jej, cokolwiek by powiedziała. Poczula, że to właściwie wobec niego niesprawiedliwe. Za łatwo jej poszło.

- Nie chciałam, żebyście źle o mnie myśleli - dodała, spuszczać wzrok.

Dłonie Jeremy'ego były ukryte w fałdach jej spódnicy. Blix nie mógł widzieć, że się poruszają, że palce Jeremy'ego pieszczą jej dłonie.

- Że to może nie wypada - mówiła dalej. - Tak łatwo być uznanym za kogoś, kim się nie jest. Zwłaszcza kobiety muszą się liczyć z tym, że zostaną niesprawiedliwie ocenione. Nie chciałam źle

wypaść w waszych oczach. Nie chciałam, byście traktowali mnie, jak osobę lekkich obyczajów, żebyście nieprzychylnie o mnie myśleli tylko dlatego, że zrodziły się we mnie uczucia, których nie przewidziałam, ani o które nie prosiłam.

Westchnęła.

Zaległa cisza.

Kobiety z jej rodu umiały opowiadać historie. Potrafiły tkać je niczym pajęczyny.

-Jestem tu jedyną kobietą. To trochę niedobrze, że okazuję jednemu z was więcej uwagi niż pozostałym. Nie chciałam tego, nigdy tak nie myślałam. Ale serce ma własną wolę.

Roza czuła, że Jeremy przyciska kolano do jej uda. Pewnie uważa, że ona trochę przesadziła. Zresztą, historia była taka piękna, że sama o mało się nie rozplakała. Gdyby miała opowiedzieć to jeszcze kilka razy, niechybnie by sama we wszystko uwierzyła.

-Ja ponoszę za Rosie odpowiedzialność - powiedział Jeremy, by zakończyć jej wzruszającą opowieść. Gdyby posunęła się dalej, to Blix mógłby się domyślić, że sobie z niego kpi. - Nie chcieliśmy roztrząsać sprawy tego drania. Bo może nic się nie stanie. Może on zrezygnuje, może ma już dość...

- On nosi bransoletkę z jej włosów! - powiedział Blix z obrzydzeniem. - Myślisz, że taki człowiek po prostu zrezygnuje? Ja będę milczał, dopóki zechcecie, żeby tak było. Inni nie muszą o niczym wiedzieć. Ale zachowam czujność. Teraz wiem, za czym mam się rozglądać.

Wstał i stopił się w jedno z ciemnością. Wciąż mokra ziemia tłumiała odgłos jego kroków.

Blix docenił ich ufność. Przemilczał, co sam naprawdę myśli, a oni są tacy naiwni, że tego nie pojęli. Stany południowe źle skończą, prędzej czy później. Jeśli ci, którzy tam zostali, są równie naiwni jak młody Jordan i Rosie, to on nie widzi dla Georgii przyszłości. „Teraz wiem, kim on jest. Ten, który dostanie kulę rozpoczynając moje nowe życie”.

Blix uśmiechał się, wdrapując się po omacku na wóz. Tej nocy będzie spał dobrze. Wszystko się ułoży.

- Nieszczęsny głupiec - westchnął Jeremy, kiedy nabrał pewności, że Blix nie może ich już słyszeć. W gęstych ciemnościach trudno mieć pewność, czy człowiek jest sam, ale Jeremy wierzył, że wszyscy pozostali już śpią. - Miałem zamiar uciszyć wszystkie diabły w jego duszy, Rosie. Ale ty zrujnowałaś moją budowlę.

- Nie potrzebuję jego uwielbienia - odparła cierpko. - Ja się tego boję.

- Mojego uwielbienia też nie chcesz? - spytał ze śmiechem.

-Wiem, czym twoje uwielbienie jest! Twoja gra nie jest bardziej niebezpieczna niż moja. My się nawzajem nie ranimy, Jeremy. Oboje wiemy, o co chodzi. Niczego sobie nawzajem nie wmawiamy. Jedno niewłaściwe słówko nie zostawia wielkich ran.

- Czy to jest ta bezlitosna Roza O'Connor, którą pamiętam z Georgii? - spytał Jeremy, opierając swój spiczasty podbródek o jej kark.

- Od wyjazdu z Georgii zrobiła kilka kroków naprzód.

-Jesteś zła, bo nie zapytałem cię, zanim wyjawilem mu naszą tajemnicę - powiedział, sądząc, że rozumie ją lepiej niż większość ludzi.

-Tak.

- Lepiej mieć go po swojej stronie. Summer to podły gad. On mnie przeraża. Boję się, co się stanie, jeśli rozejdą się pogłoski, że naprawdę znaleźliśmy złoto.

- Pytanie pewnie, jak szybko dotrą do Gee-long albo Melbourne ci policjanci, którzy tutaj byli...

- Niewiele można zrobić, kiedy stróż prawa jest również rozbójnikiem. Nie wiemy, kim są ci ludzie, którzy wtedy z nim byli. Wszystko wskazuje na to, że służą temu samemu panu, zarówno on, jak i inni rozbójnicy.

- Czyżby oni też byli policjantami? - spytała Roza z powątpiewaniem.

- A dziwiłoby cię to?

- Nie. Chyba nie. Każdy robi, co może. Ja też się tak zachowywałam, dając Blixowi do zrozumienia, że między nami coś jest. On mnie przeraża. Przerażają mnie jego uczucia. Jeśli mi uwierzył, będzie się trzymał na dystans.

- Prawdziwy dżentelmen naprzeciwko nieokrzesanego, najmłodszego syna Jordana - uśmiechnął się Jeremy. - Czy jesteś pewna, że dokonałaś rozsądnego wyboru, Rosie? Może ten, którego odpychasz, byłby lepszy?

- Od czego?

- Od tego - odparł, szukając jej ust.

To była zabawa. To było wyzwanie, a on wiedział, że wyzwania nie są Rosie obce.

Odwróciła teraz ku niemu swój oszpecony policzek, ale w ciemności i tak nic nie widział. Przysunął się bliżej. Zauważył, że napięty mięsień na jej szyi drży. Zobaczył, że przymknęła powieki, dziwnie ciemne na tle bladej twarzy. Usta lekko się rozchyliły. Trochę drżały, Jeremy z uśmiechem pochylił się ku niej, poczuł jej oddech, słodki i ciepły. Uśmiechał się nadal, gdy dotknął jej ust. Całował delikatnie dolną wargę, tak jak to się robi, kiedy pierwszy raz próbuje się ostrygi.

Jeremy lubił ostrygi.

Bardzo szybko się o tym przekonał.

I szybko przekonał się o tym, że lubi całować Rozę. Ręce położył jej na piersiach, ale ona ujęła jego dłonie i odepchnęła. Jeremy musiał się rozkoszować tylko jej miękkimi, pełnymi wargami, dotykiem jej języka, gorącem, jakie wzniecała w nim ta zabawa...

To ona wyrwała się z objęć mężczyzny. To ona zerwała się na równe nogi, przyglądała mu się uważnie przez chwilę, a potem bez słowa pobiegła do wozu.

Jeremy siedział, dopóki ognisko nie przemieniło się w stos czarnych węgli. Nadal czuł na wargach smak jej pocałunku. Zazwyczaj nie starał się ich zapamiętywać, ale teraz zrobił wyjątek.

Nie łączył tego z miłością, cokolwiek to jest. Szczerze mówiąc, nie wierzył w miłość. Wszystkie jego doświadczenia mówiły, że niezależnie od tego, jak bardzo mężczyzna jest zaangażowany, niezależnie od tego, jak jest zaślepiiony, to prędzej czy później czar pryska. Uczucia stygną. Tam gdzie wydawało się, że istniała wielka miłość, pojawia się

obojętność, a później ból i rozgoryczenie. Taką poznał miłość. Ale teraz przeżywa co innego.

Nadal krew pulsowała mu w wargach, a dłonie paliły, bo miały ochotę wędrować po kobiecym ciele. Na myśl o tym krew mu się burzyła. Siedział oszołomiony niczym młody chłopak.

To jest zabawa, powiedziała Roza!

Jeremy roześmiał się, wznosząc głowę ku niebu pokrytemu gwiazdami.

To jest zabawa!

To, do cholery, jest zabawa!

Rozdział 8

- Mam nadzieję, że to nie ja cię wypłoszyłam -uśmiechnęła się Roza z ożywieniem. Szła ostrożnie, spoglądała pod nogi, omijała największe kałuże. Teraz na ziemi nie było już trawy. Z każdym dniem coraz trudniej było chodzić nie mocząc butów.

Jeremy jej towarzyszył, starał się iść obok, a nie za nią. Roza starała się mieć go. zawsze po lewej stronie, a on domyślał się, dlaczego to dla niej takie ważne. Nie dał się jednak wystraszyć. Widywał ją jednak tak często, by wiedzieć, co napotkają oczy. To wprost niewiarygodne, jak człowiek się przyzwyczaja, myślał. I pragnął nadal myśleć, jaka ta kobieta jest zwyczajna i jaka zarazem wyjątkowa. I pragnął jej uśmiechów, pojawiały się bardzo rzadko, ale tyle się w nich mieściło.

Myślał o tym, jak Roza się uśmiecha, jak jej pełne wargi się rozchylają, ukazując białe zęby. Porównywał je z płatkami róż. Dobrze pamiętał ogród w Blossom Hill, pamiętał odurzający zapach róż. Dotykał pąków, które właśnie miały się rozwinąć. Badał je opuszkami palców. Nie ma nic równie delikatnego.

Usta Rozy są właśnie takie. Przyszło mu do głowy, że się uśmiechała, kiedy ją całował.

I wtedy znowu zaczął myśleć o pocałunku.

A potem o niej. Zbyt dużo o niej myślał. Tamto miało miejsce dwa tygodnie temu. Od tamtej pory często padało. Nie mogli pracować. Wszystko było zalane błotem, choć i do tego można się przyzwyczaić. Przyzwyczaili się do brudu. Nikt już nie potrafił zachować czystości w tych warunkach. Roza nadal próbowała, choć wszyscy jej mówili, że to beznadziejna walka. Roza jest taka cudownie uparta. Jeremy podziwia to w ludziach. Siłę woli. W ciągu minionych tygodni uśmiechnęła się do niego kilka razy, ale więcej pocałunków już nie było.

- Dlaczego miałbym przed tobą uciekać? - spytał z tym swoim wieloznacznym spojrzeniem. Zaczesał włosy mocno do tyłu, jego twarz przybrała teraz kształt serca. Miał szerokie czoło i wąską, spiczastą brodę. Wyglądał chłopięco, strasznie młodo i całkowicie niegroźnie. - Przecież wrócę - dodał w ten swój szelmowski sposób, który mógł sugerować, że jest między nimi coś więcej.

Roza nie bardzo wiedziała, czy jej się to podoba. Lubiła śmiać się razem z nim, ale on czasami w żartach posuwał się za daleko.

Wiedziała, że wróci. Trochę mu zazdrościła.

Tęskniła za kąpielą. Za prawdziwym łóżkiem, w którym mogłaby się wyspać. Za miejscem, w którym mogłaby porządnie wyprać ubrania. Za jedzeniem podawanym w czystych naczyniach, które mogłaby spożywać, siedząc przy stole.

I Roza wolała raczej żartować, niż traktować poważnie to, co czuje do Jeremy'ego.

- Nie sądzę, że uciekniesz - powiedziała, zatrzymując się nad strumieniem. Nie było tutaj gdzie pójść. Ścieżki w lesie nie są bezpieczne w mroku, nawet za dnia. Wszędzie dookoła zalega błoto po wielotygodniowym deszczu. Nad mokradłami unoszą się miliony owadów rozmnażających się w błyskawicznym tempie. Nawet w nocy nie cichnie ich brzęczenie. Wszędzie jest ślisko. Trzeba uważać, gdzie stawia się stopę.

- Nie zdajesz sobie sprawy, ile my ze sobą powieziemy - uśmiechnął się Jeremy. - Albo jesteś naiwna, Roz.

Kąciki jej ust poruszyły się. „Roz”. To jeszcze jedno imię, ale Rozie się podoba. Nikt nigdy tak jej nie nazywał. Ponownie stawała się nowym człowiekiem.

-Mógłbym zająć daleko z tym i tamtym, co znajduje się w banku w Geelorig. Ja to tam złożyłem. Dyrektor mnie z pewnością pamięta. Mister Jordan okazał się kimś innym, nie włóczęgą, na jakiego wyglądał, kiedy wkroczył do banku. Mister Jordan i jego mała miss mają tam mnóstwo pieniędzy. Twoich pieniędzy, które mógłbym odebrać.

Jeremy roześmiał się gardłowo. Pod brązową koszulą nosił biały trykot. Udała mu się niezwykła

sztuka: wyglądał niemal czysto. Mężczyźni kapali się wieczorami w strumieniu. Ze śmiechem prosili, żeby nie posyłała za nimi powłóczystych spojrzeń. Nie chcieli sprawić, żeby ona, prawie mężatka, zaczęła pożądać tych, których mieć nie może.

Roza śmiała się z nich, śmiała się razem z nimi, a Jeremy najgłośniejszemu ze wszystkich. Podejrzewała, że jak zawsze to on stoi za tymi żartami. Ale chociaż śmiał się, na ogół pozostawała odrobina wątpliwości. On to widział, ale się nie złościł. Wyraźnie mu się to podobało. Roza pomyślała, że Jeremy to najdziwniejszy mężczyzna, jakiego zna.

- Dobrze, że nie wierzysz we wszystko, co słyszysz - rzekł stanowczo, przeczesując palcami wciąż wilgotne włosy. Miał poczucie, że jest czysty, ale we włosach nosił piasek. Cieszył się na pobyt w hotelu w Geelong. Może zresztą też na odwiedzinach w domu rozrywki. Było mu wszystko jedno, byleby tylko dostał łóżko i mógł się wykąpać.

- Gdybyś miał ochotę uciec, to Nick i Jack zadbaliby, żeby do tego nie doszło - powiedziała Roza.

- A może mógłbym ich przekonać? Nawet trzecia część z blisko pięciuset funtów złota to wielkie pieniądze, Roz. Złoto jest drogie.

Bawił się z nią. Chciał wzbudzić w niej niepewność, taką, jaką sam odczuwał.

-Ja wszystko policzyłem. Wieziemy złota za dwadzieścia cztery tysiące funtów angielskich.

To oszałamiająco dużo pieniędzy.

Roza dobrze znała wszelakie obliczenia. Ale ona swoje bogactwo liczy w dolarach. Próbowwała myśleć o tym wyłącznie jak o pieniądzach. To Joe

zmusił ją, by przyglądała się liczbom na papierach, które podpisuje.

-Mam nadzieję, że swoich obliczeń nie przedstawiłeś wszystkim pozostałym - powiedziała, próbując się nie uśmiechać, ale w towarzystwie Jeremy'ego Jordana człowiek uśmiecha się, czy tego chce, czy nie. To jego przekleństwo. - Mam nadzieję, że z nimi też nie żartowałeś, Jeremy!

Jej jawne i szczere zatroskanie ubawiło go. Pokryte delikatnym zarostem policzki rozjaśnił szeroki uśmiech. Cieszył się, że w Geelong się ogoli. Bardzo chciał, żeby Roza też z nim pojechała. Był pewien, że będzie wyglądał świetnie. Żał mu było, że Roza go nie zobaczy.

- Oni z pewnością sami policzyli, skarbie - rzekł przeciągle, cmokając do niej.

Roza. odwróciła głowę.

Przyjęła do wiadomości jego rachunki.

- Sądzę, że wszyscy wiemy z dokładnością do jednej uncji, ile złota wieziemy. Nick i Jack wiedzą napewno. Wszyscy pozostali też. I my wiemy, że oni wiedzą. Jeśli jakieś ziarenka złota by zginęły, zawsze ktoś będzie się dowiadywał, co się z nimi stało. A gdybyśmy próbowali zniknąć, ścigaliby nas do Perth.

Roza patrzyła na niego, wytrzeszczając oczy.

- Perth leży na zachodzie - wyjaśnił.

-Dwa tysiące to strasznie dużo pieniędzy, Jeremy.

Zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy był Jeremym Jordanem, synem jedyne go Jordana, mającego jakieś wpływy w Georgii, a Georgia była całym światem, dwa tysiące wystarczało na kieszonkowe. Na-

wet by mu brew nie drgnęła, gdyby ktoś przy nim wspomniał o takiej sumie. Ale tam nikt tego nie robił. Rozmowy o pieniądzach uważano za wulgarne. Wszyscy mieli ich pod dostatkiem. Nie było potrzeby wymieniać żadnych liczb.

Świat był bardziej przestronny.

Teraz i on zaczął powtarzać liczby. Jego poglądy drastycznie się zmieniły od czasu, gdy opuścił Blossom Hill.

Zabrało mu dwa tygodnie zgromadzenie bogactwa, za które mógłby dobrze żyć przez dziesięć najbliższych lat. Dwa tygodnie w błocie po kolana, a to były przecież bardzo dobre dni.

Pracowali od świtu, od chwili, gdy rozjaśniło się na tyle, że widzieli własne ręce, aż do zmroku, w którym nie mogli już rozróżnić złota od piasku. Potrzebowali kilku dni, by zrozumieć, że wszystkim się opłaca pracować wspólnie, jako jedna brygada, i razem zrobili drewnianą rynnę do przesiewania żwiru. Większe grudki można było z niej wybierać rękami, a drobne ziarenka wypłukiwali jak dawniej. To nie była wielka zmiana, ponieważ jednak przekopywali ziemię kawałek po kawałku, obejmowali cały teren, a rezultaty okazały się lepsze niż kiedy każdy płukał złoto oddzielnie. Razem byli silniejsi niż każdy z osobna.

To było bardzo dobre rozwiązanie, choć przyznawali się do tego niechętnie. Odkąd pamiętali, każdy z nich żył wyłącznie dla siebie. Trudno im teraz było myśleć „my”.

Udało im się znaleźć wiele złota na powierzchni, a mimo że teraz kopali głębiej w ciężkiej ziemi, praca była łatwiejsza, i złoto znajdowali też głębiej.

To miejsce zawierało go znacznie więcej niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

- Dwa tysiące to dużo pieniędzy, Roz - powtórzył Jeremy, widząc, że podoba jej się to pieszczotliwe imię, które dla niej wymyślił. Nie musiał o nic pytać, wyczuwał to. Zresztą, nie planował tego, nie obmyślał, jakby jej się przypodobać pięknymi słówkami. W pewnym momencie odkrył, że tak nazywa ją w myślach i po prostu powiedział: Roz.

Spodziewał się raczej, że ją rozzłości, że zabroni mu tak mówić, ale nie. Powody były dla niego niejasne, ale nie śpieszył się z szukaniem odpowiedzi. Przecież od niej nie ucieknie, ani ona nie ucieknie od niego.

-Tylko, że ja miałem na myśli dziesięć tysięcy - dodał.

Jeremy dręczył sam siebie wyrzutami sumienia. Roza stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, ponieważ on, Nick i Jack następnego ranka mieli wyruszyć do Geelong. By sprzedać znalezione złoto. Zamienić je na pieniądze, jak nakazuje umowa licencyjna. Dać królowej Wiktorii to, co do niej należy, za cenę, jaką ustanowiła wraz ze swoimi pomocnikami.

Poszukiwacze nie chcieli mieć zbyt dużo złota na składzie. Zauważali niemal codziennie, że nie są już sami przy odnodze rzeki, którą podążali od Deep Creek. Nie oni jedni słyszeli historię o Lucky Jimie. Nie oni jedni poszli jego śladami.

Nowi poszukiwacze złota prawie codziennie odwiedzali ich mały obóz. A przynajmniej dwa razy w tygodniu. W ciche wieczory słyhać było gdzieś w pobliżu ludzi. Majaczyły im też światła ognisk palonych w innych obozach.

To było niezwykle przeżycie. Tacy byli do niedawna samotni. Kiedy się tu pojawili, otaczały ich dzikie pustkowia. Teraz inne obozy podpełza-ją coraz bliżej. Na pustkowiach powstają małe miasteczka, czy jak to nazwać.

Eldorado, zaproponował Jack. W głębi duszy był romantykiem. Jeremy podejrzewał go o to od dawna, ale przecież to rzadka cecha u takiego człowieka.

Obozy wyglądały niczym kwiaty z pełgających świateł. Mężczyźni kryli się w swoich namiotach. Tylko Roza i dzieci, a teraz też Jeremy, sypiali w wozie. Jeremy pragnął być jak pozostali, ale Blix zdecydowanie mu to odradził. Wszyscy wierzą, że Jeremy'ego i Rozę łączy prawdziwe uczucie. Wszyscy w to uwierzyli, wszyscy zaakceptowali. Nawet Blix, który wątpił bardzo długo.

Jeremy nie mógł sypiać razem z pozostałymi mężczyznami. Tylko w noc, w które pełnił wartę, udawał, że nadal jest częścią męskiej wspólnoty. Oni jednak nie traktowali go jak równego. W ich oczach stał o szczebel wyżej. Był ojcem rodziny.

- Dziesięć tysięcy - powtórzył Jeremy i przyglądał się lampom świecącym pod plandekami. Teraz, we wczesnych godzinach nocnych, lampy przypominały ogniste muchy, znieruchomiałe pośród drzew, z których nieustannie kapła woda tak głośno, jakby nadal padał deszcz.

Z namiotów wciąż dochodził kaszel. Jeremy'ego to martwiło. Nie był wprawdzie ich szefem, tę funkcję nadal pełnił Jack. Nic go to nie obchodziło, nigdy nie walczył o przywództwo, sam był najmłodszym synem, prawie zupełnie pozbawionym

poczucia własnej wartości, ale dużo widział i dużo słyszał. I martwił się, bo to leżało w jego naturze.

Harvey i Thomas przez ostatni tydzień niedomagali. Rzęziło im w piersiach przy większym wysiłku. I mocno kaszleli. Obaj też zarzekali się, że nic im nie jest. Że bywali dużo bardziej chorzy, zanim Jeremy wyrósł z pieluch. I że nie potrzebują specjalnego traktowania. Wszyscy powinni pracować tak samo. Każdy musi mieć równy wkład w to, co uzyskuje wspólnota. Bo tak się pracuje w grupie.

- To Thomas - powiedziała Roza. Myśli popłynęły natychmiast ku innemu Thomasowi. Musnęły go przelotną pieśczołą. Ile to już minęło od czasu, kiedy jeszcze pozwalała sobie o nim myśleć. W ogóle o kimkolwiek z północy.

Thomas.

Zastanawiała się, czy nadal żyje. Ów Thomas, którego kiedyś znała. I czy dobrze mu się powodzi. Życzyła mu tego, z pewnością na to zasługiwał. Ale był jednym z tych, którzy urodzili się do innego życia. Życia drugiej kategorii. Nie miał szans, niezależnie od tego, co robił. Wspomnienie Thomasa sprawiło, że ogarnął ją chłód.

- Niedobrze z nim - powiedziała.

To był jej głos, ale Roza nie wiedziała, którego z dwóch Thomasów ma na myśli. Jeremy nie pytał, bo on znał tylko jednego.

- Nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, że nie powinni pracować. I on, i Harvey - stwierdził.

- Może byście kupili jakieś lekarstwo, które im pomoże - zastanawiała się Roza. - W Geelong powinni coś takiego mieć.

- Oczywiście - zgodził się Jeremy, próbując zapamiętać. Bez niej nie przyszłoby mu to do głowy. Może jest pozbawiony uczuć?

Może to dziedziczne.

- W Georgii albo na Irlandii, no i w Norwegii znalazłabym zioła, które mogłyby pomóc - westchnęła Roza. - Tutaj jednak nie rozpoznaję żadnych ziół. Obawiam się, że mogłabym pogorszyć sprawę.

- Wywar z ziół ich chyba nie zabije - stwierdził Jeremy, wzruszając ramionami. - A gdyby zabił, to zostanie nas mniej do podziału.

Roza wpiła w niego wzrok. Jeremy uniósł ręce w przeproszającym geście. Przywołała go spojrzeniem do porządku. Wkrótce będzie posłuszny jak Matt. Tylko Lily ma odwagę lekceważyć spojrzenie niebieskich oczu matki. Jeremy obiecał sobie, że szepnie parę słów do ucha Jordy'emu, kiedy ten będzie już odpowiednio duży. Ktoś z rodziny Jordanów powinien jej się przeciwstawić. Jordy sprawiał wrażenie, że wyrośnie na człowieka o twardym kręgosłupie.

- Mogłabyś też zbierać żywicę z drzew - zaproponował, choć nie miał w takich sprawach żadnego doświadczenia. Zioła i leczenie to sprawa niewolnic. Niektórzy nazywają to czarami. - Albo przygotowują wywary z liści. Znasz eukaliptus?

Roza przytaknęła.

- A drzewo herbaciane?

Wskazał coś innego, w ciemności nie mogła niczego rozróżnić.

- Może nie zaszkodzi spróbować - powiedziała niepewnie. Bardzo by chciała to zrobić, ale pamięć-

tala, czym groziło u niej w domu, w Kafjorden, jeśli się za dużo wiedziało. Dobrze pamiętała szyderstwa, a także błagania ludzi, kiedy chodziło o życie kogoś bliskiego. Pamiętała przekleństwa, kiedy nie potrafiła pomóc, i pamiętała, jak się od niej odwracali plecami, kiedy dała im wszystko, co mogła. Wysysali z niej siły, ale nigdy nie powiedzieli ani słowa podziękowania. Była ich hańbą.

Najbardziej znieawidzoną osobą w Kafjorden. Najbardziej znieawidzoną w parafiach Alta i Talvik.

Brudną. Grzeszną.

Tutaj jest czysta. Nikt nie wyciąga w jej stronę drżącego, wskazującego palca, żadne wściekłe głosy nie krzyczą, że jest czarownicą.

Dobrze jest niczego nie wiedzieć.

Roza nigdy by nie pomyślała, że to takie uczucie. Budziło w niej niemal wyrzuty sumienia, ale mimo to nie chciała z niego zrezygnować. Ale już zaczęła zadawać pytania. I zastanawiała się, czy nie mogłaby czegoś zrobić.

Może to jest tak, że człowiek nie jest w stanie uciec od swojego losu, niezależnie od tego, co robi, niezależnie jak bardzo próbuje, jak daleko wyjechał? Może los to jest coś, od czego człowiek nigdy uciec nie może.

Może to jej los... By zaakceptować siebie jako czarownicę.

Trudno było stłumić ów głos w duszy, który prosił ją, by pomogła. Który mówił, że mogłaby znaleźć coś, co pomoże, który głośno powtarzał, że nigdy nie wolno myśleć tylko o sobie.

Zawsze spoczywa na nas również odpowiedzialność za innych. Ale Roza nie mogła spytać, dlaczego to zawsze ma być ona...

- A zatem dziesięć tysięcy? - spytała, choć wydawało jej się, że to liczba tak wielka, iż niemal nie do zdobycia.

-Jeśli mi pozwolisz.

Brwi Rozy poruszyły się. Jeremy spytał. Przynajmniej udaje, że ona ma tu coś do powiedzenia.

Przeważnie mężczyźni, którzy żądali od niej obietnic, unikali dotrzymania swoich. Jeremy Jordan nie jest inny. Ale on ma marzenie. Roza nie potrafiła zapanować nad słabością do marzeń.

- Dziesięć tysięcy - powtórzyła. - Dziesięć tysięcy funtów. Moglibyśmy stąd wyjechać w okolicach Bożego Narodzenia. Czy na Nowej Zelandii jest pięknie podczas świąt?

- To najlepszy czas w roku - stwierdził Jeremy, czując, że czerwieni się ze wstydu. - Na pewno pokochasz drzewa pohutukawa, które w grudniu pokrywają się krwistoczerwonymi kwiatami. To potężne drzewa, z gałęziami od nieba aż po ziemię. Rozrośnięte na wszystkie strony. A koło Bożego Narodzenia gęsto pokryte czerwonym kwieciem. Jakby chciały się z tej okazji wystroić.

Zaczerpnął powietrza, zanim Roza zdążyła cokolwiek powiedzieć. Nie chciał, żeby coś mówiła.

-Teraz znajdujemy więcej - powiedział i sam w to wierzył. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni zarobiliśmy ponad tysiąc na głowę. W najgorszym razie możemy zakładać, że zostaniemy tu jeszcze jakieś osiem tygodni. W najgorszym razie oczekiwałbym tysiąca na każdego z nas w ciągu tygodnia.

I sześćdziesiąt szylingów za licencję. Trzeba jeszcze kupić prowiant, ale to nie jest zbyt drogie, rozmawialiśmy o tym. O tym, że wszyscy godzimy się zostać tu jeszcze dwa miesiące. To znaczy, do początku grudnia...

- A więc rozmawialiście o tym? - spytała Roza piskliwym głosem i do Jeremy'ego dotarło, że się wygadał. - Podjąłeś decyzję, zanim mnie zapytałeś.

- Gdybyś powiedziała chociaż jedno słowo - rzekł Jeremy stanowczo - to natychmiast bym stąd wyjechał, żeby zawieźć ciebie i dzieci do Waimauku...

- ...a sam później natychmiast byś tu powrócił. - Tak.

- Wtedy miałbyś to już we krwi - przewidywała Roza z wielką pewnością siebie. - Nie zadowolilibyś się już dziesięcioma tysiącami. Chciałbyś zdobyć dwadzieścia.

- Może nie.

- Przrzekasz, że uznasz, iż wystarczy ci dziesięć tysięcy, kiedy je już zdobędziesz? - spytała.

- Oczywiście!

Jeremy uśmiechnął się i wyciągnął żylaste ręce, jakby chciał objąć cały świat, w końcu znowu wsunął palce pod szelki. Nikt nie potrafił uśmiechać się tak jak on.

- Nie potrzebuję więcej niż to, co mi zapewni własne gospodarstwo - oznajmił, wierząc w to, co mówi. - Muszę zacząć coś własnego. Ale nie będą to konie ani wino. To niepewne sprawy. W każdym razie wino. Nie chcę prosić deszczowych chmur z Tasmanii, żeby skręcały w naszą stronę. Myślę o owcach. O owcach, Roz. Zostanę na Nowej Zelandii królem owiec.

- Squatter? - drażniła się z nim Roza. - Królem owiec - poprawił ją. - Mój ojciec by się zgodził, że przyszedłem na świat po to, by zostać królem owiec!

Po raz pierwszy w życiu Roza śmiała się, myśląc równocześnie o Jaredzie Jordanie.

- Powinieneś włożyć pieniądze do banku - powiedziała poważnie. Potrząsnęła głową tak, że rude włosy się roztańczyły. Sięgały jej aż do bioder. Mogłaby chodzić kompletnie naga, bo włosy by ją okryły. Jeremy nigdy w życiu nie widział niczego podobnego. Poczł pulsowanie krwi w dłoniach. Ogarnęła go gwałtowna ochota, by dotknąć tych włosów. By dotknąć Rozy.

- Jesteś cholernie rozsądna - westchnął. - Zawsze taka byłaś? Byłaś rozsądna, kiedy wychodziłaś za Seamusa?

- Nie - odparła.

Oczy jej pociemniały i Jeremy pożałował swojego pytania. Nie chciał odpowiadać za jej zły humor.

- Nie - powtórzyła Roza. - Byłam żoną Seamusa. A żadna kobieta nie mogłaby żyć z nim i pozostać rozsądna.

Teraz Jeremy też stał się poważny, tak poważny jak dawno już nie był. Z trudem poznawał sam siebie, a może właśnie zaczął się zmieniać? Myślał teraz o sprawach, które wcześniej nawet do głowy by mu nie przyszły.

- Ty go naprawdę kochałaś? - spytał. - Tak.

- Trudno mi wyobrazić sobie was oboje razem - stwierdził Jeremy.

Roza nie odpowiedziała, ale w jej oczach malowało się pytanie. Jeremy coraz lepiej odczytywał jej spojrzenia. Miała najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział.

-Ja was pamiętam. Oczywiście, że was pamiętam. Tata nienawidził Seamusa. Ten bękart O'Connor, mówił o nim. Ale kiedy wspominał ciebie, w jego głosie pojawiała się coś w rodzaju podziwu. A niewielu ludzi tata podziwiał. Myślę, że większości nienawidził...

Umilkł na chwilę. Powrót do przeszłości był bolesny. Nikt nie zawiódł go tak bardzo jak ojciec. Rozbił cały świat Jeremy'ego na kawałki. Ale jeśli ma myśleć o Seamusie, to musi też myśleć o ojcu. Nie potrafił wspominać Seamusa O'Connora inaczej niż przez pryzmat poglądów ojca. Tak jak ojciec wówczas go widział.

- Nigdy nie sądziłaś, że on jest zimny? - spytał Jeremy.

Roza pokręciła głową.

-Ja tak właśnie go oceniałem - przyznał Jeremy. - Utrzymywał dystans. Zawsze w pewnej odległości, jakby był zbyt dobry dla pozostałych ludzi. Jakby lekcewał mniejszych od siebie.

- On taki nie był - zapewniła Roza. -Nie?

- Nie.

- Nie umiem patrzeć na niego twoimi oczyma - powiedział Jeremy. - Myślę jednak, że być może mógłbym patrzeć na ciebie jego oczyma.

Gdzieś w oddali zamajaczyło światło latarki. Oświetlało fragment rzeki.

- Nie rób tego! - poprosiła Roza.

- W takim razie pozwól mi patrzeć moimi oczyma! Roza nie powtórzyła prośby. Jeremy zrobił

krok naprzód i znalazł się przy niej. Przyłożył obie dłonie do jej policzka. Patrzył jej w oczy. Mógł w nich wyczytać, o co go prosi, ale nie zamierzał tego słuchać.

- Teraz cię pocałuję - powiedział. I tak zrobił.

Potem poszedł do wozów. Blix trzymał wartę między namiotami, Rozie nic nie groziło.

-Już prawie spał, kiedy Roza wślizgnęła się do środka, zachowując się bardzo ostrożnie, by nie budzić dzieci. Słyszał, jak rozpiniała bluzkę i zdejmowała ją. Jak ją składała. Potem na chwilę wstrzymała oddech i rozpięła spódnicę. Oczyma wyobraźni widział, jak stoi pochylona, rozsznurowuje buty i ustawia je z boku.

Nie przytrzymał kołdry, kiedy ostrożnie kładła się za jego plecami. Zrobiło się cieplej, ale Jeremy opanował pokusę, nie odwrócił się i nie objął Rozy. Ona by tego nie chciała.

- Dobranoc - szepnął, kiedy się już ułożyła.

Czekał długo. W końcu nadeszła odpowiedź. Cichutka, jakby pęk róży otwierał się ku porannemu słońcu:

- Dobranoc, Jeremy. Dbaj o siebie...

Rozdział 9

Rude włosy otulały jej głowę niczym hełm. Twarz miała kształt serca, kobieta uśmiechała się

Miała na sobie spodnie. W kolorze niebieskim. Skrojone jak dla kowboja, ale jej biodra były przecież okrągłe i kobiece. Zamiast paska nosiła w talii jedwabną chustkę. Zieloną, skrzącą się jak morze. Właściwie niebieskozieloną, postrzępioną przy brzegach, widocznie często jej używa. Jedwab to cudowna tkanina, ciepły na zimnie i chłodny w upały. A wilgoć wchłania o wiele lepiej niż cokolwiek innego. W jedwabną chusteczkę długo można się wypłakiwać. Usuwa ślady tak, że nikt się niczego nie domyśli.

Krótką, jaskrawozieloną koszulka była nieprzyzwoicie obcisła. Powinna była coś na nią narzucić. Przecież jedynie niedbali mężczyźni pokazują się w trykotowych podkoszulkach. Tylko zepsute kobiety tak robią, one jednak zachowują się z wielką pewnością siebie i nie przejmują tym, co inni sądzą.

A przecież ona nie jest zepsutą kobietą.

Uśmiechnęła się na myśl o spojrzeniach, jakie zbiera. Wiele ich jest, ale jej to nic nie szkodzi. Ani jej nie pochlebiają, ani jej nie obrażają. Przywykła do nich, liczy się z nimi, ale się nie przejmuje.

Ludzie mogą na nią patrzeć albo nie. Jest absolutnie wolna. Bezpieczna.

Miała czarne cienie pod rzęsami. A rzęsy długie i łukowato wygięte, takie ciemne, że muszą chyba być czernione. Nad oczami widać brunatną barwę, która nie może być naturalna. Nie specjalnie wyzywająca, ale podkreślała szarozielony kolor jej oczu, dodawała barwom czystości. Pięknie sklepione czoło było gładkie, policzki zachowały młodzieńczą miękkość.

Nie może być stara.

Jakieś dwadzieścia lat.

Ani dnia powyżej dwudziestki.

Miała przymocowane u pasa jakieś czarne pudełko, w uszach coś jakby czarne klawisze. Cienki drut łączył je z tamtym czarnym pudełkiem.

W głowie dziewczyny brzmiał czysty, przenikliwy głos kobiecy, śpiewający melancholijną, uczuciową piosenkę. Pieśń przekonywała ją, by jej serce chciało dalej bić. Kobiecy głos śpiewał o miłości, która powstaje wbrew czasowi, na przekór życiu i śmierci.

Ów czysty, bardzo czysty, kobiecy głos śpiewał o miłości, która potrafi poruszyć serce człowieka i zostać w nim na zawsze. Nadać życiu sens, nawet jeśli ukochany już nie istnieje.

Kobieta o rudych włosach słuchała i poddawała się wzruszeniu. Była młoda.

Była młoda i chciała wierzyć, że w życiu tak jest. Wiedziała, że coś takiego się dzieje - że przez całe życie, miłość, na którą nie ma pozwolenia, która

nie powinna była powstać, nie znika, choć jej obiekt przestał już istnieć.

Płakała, kryjąc twarz na piersi swojego ukochanego, nad tymi losami, które są rzeczywiste, choć wcale nie istnieją. On był mroczny i kanciasty. Ale ręce miał ciepłe i dobrze było je trzymać w swoich dłoniach. Umiał pieścić ją delikatnie, a ona wiedziała, że w nim jest też coś ponad to, co wszyscy widzą. Powiedział, że to przez dziewczyny, ale ona słyszała, jak w ciemności pociąga nosem, choć nigdy mu o tym nie wspomniała.

Lubiła, że jest taki, jaki jest. Silny. Obdarzony zdolnością przewodzenia. Zdolnością wypowiedzenia decydujących słów. Zdolnością decydowania się i w następnej sekundzie zmiany zdania. Taki powinien być. Twardy, choć bez zewnętrznej wyniosłości, ale w odniesieniu do niej delikatny i dobry, pełen wyrozumiałości.

Miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Ta sprawa z miłością. Ze miłość może na zawsze zamieszkać w ludzkim sercu.

Miała nadzieję, że takie właśnie uczucie w nim wzbudziła.

Nie pragnęła, by on żył samotnie. Kochała go bardziej, niż kocha samą siebie, ale nie pozwoliłaby sobie na taki egoizm. Pragnęła, by miał wiele dzieci. On będzie dobrym ojcem. Świetnie się odnosi do maluchów. Myśl o tym omal jej nie przywiodła do zmiany zdania, do tego, by odrzucić wszystko, w co wierzyła, wiedziała jednak, że teraz już nie ona jest najważniejsza.

Ona jest narzędziem.

Częścią o wiele większego obrazu.

On by może powiedział, że zdradziła swoich. To przez niego wiedziała, gdzie znajdzie niebieską torbę. Torba leży w pomieszczeniu, które jest zarezerwowane dla mężczyzn. Dziewczyna nawet nie mrugnęła, kiedy ją podnosiła.

Niewiele osób widziało ją idącą. Siedziała wystarczająco długo, by przestali na nią patrzeć.

Kobieta nadal śpiewała w jej głowie zachęcająco. Wciąż i wciąż śpiewała o miłości, która przeżyje śmierć i młoda dziewczyna o ognistych rudych, krótkich włosach i szarzielonych oczach w końcu nie wiedziała, czy naprawdę wierzy w taką miłość, czy nie.

To było piękne.

Ale może to jest wszystko?

Powiedzieli sobie, że się nawzajem kochają.

Ale on nie chciał zakładać rodziny, dopóki nie będzie pewien, że oddziały inwazyjne nie zapukają, nim noc przeminie, i nie wyprowadzą go z tysiącami swoich pytań i z odsłoniętymi lufami broni.

Powiedzieli sobie, że się nawzajem kochają.

Ona powiedziała, że nie chce w tym kraju wydawać dziecka na świat. Nie chciała dawać życia jeszcze jednemu dziecku, które oni i tak zastrzelą.

A nie istniał żaden inny świat dla niego - czy może dla niej - niż ten świat. Niż to miasto rozciągające się po obu brzegach rzeki. Muszą zostać i zrezygnować, lub zostać i walczyć.

Nie mieli innej możliwości. Wyjechać, oznaczało zdradzić, nie tylko swoich, lecz także samych siebie.

Powiedzieli sobie, że się nawzajem kochają - tak jak ta młoda para, nad której losem ona tak pła-

kała. Ta, która była rzeczywista, a zarazem nierzeczywista.

On i ona byli świadkami, którzy woleli odwracać wzrok. Obejmowali się nawzajem i całowali się, kiedy wielki statek szedł pod wodę. Zasłaniali sobie nawzajem uszy, by nie słyszeć krzyków - a ona płakała wieczorem nad losem współsiostry, która utraciła jedyne, co kochała. Wierzyła w to, choć wiedziała, że to rzeczywistość stworzona przez ludzi.

Nierzeczywista.

On śmiał się z niej i spytał, czy straciła kontakt z rzeczywistością.

Rzeczywistość istniała w niebieskiej torbie.

Dziewczyna stała pośrodku otwartej, szarej ulicy.

Teraz, wieczorem, nie było tu wielu ludzi. Znajdowali się we wnętrzu. Tam, gdzie powinna wciąż znajdować się torba. Ruszyła w stronę rzeki. Domy za nią były niczym cienie. Fasady miały stare. Miasto schodziło łagodnie ku rzece. Zmierzchało. Tu i ówdzie zapalały się światła. Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby wieże katedry.

Przed nią znajdował się most. Wzniesiony w dwóch poziomach. Na samej górze biegła autostrada. Dziewczyna schodziła w mroku na dół, aż znalazła się na tej samej wysokości co miasto. Była zwyczajną, młodą kobietą, która nonszalancko niesie na ramieniu niebieską torbę. Przypominała setki innych młodych, pięknych kobiet.

Jacyś ludzie krzyknęli przestraszeni, kiedy zaczęła się wspinać na poręcz mostu. Podbiegli do niej. Widziała ich wyraźnie, ale nie słyszała, co wołają. Uśmiechała się do nich w ostatnim zapewnieniu, że taka jest jej wola.

To ta rzeczywistość, którą dla siebie wybrała.

Może nawet ją zrozumieli. Byli dziećmi tej samej rzeczywistości, i ona, i oni. Mieli te same możliwości rozumienia. Oderwała dłonie od poręczy mostu, ale mocno przyciskała do piersi niebieską torbę.

Nie dotknęła jeszcze wody, kiedy doszło do wybuchu.

Ostatnie, co słyszała, to czysty, kobiecy głos, śpiewający, że ukochany znajduje się tam, gdzie strach już nie istnieje. W to można wierzyć.

Poczuła ciepło, zanim doszło do wybuchu.

Potem nie było już nic.

Tylko wielkie światło.

W końcu stała się dzieckiem światła.

W końcu nastał spokój.

Roza usiadła, zanim się na dobre obudziła. Czuła ból, jakby to było jej własne cierpienie. Czuła, jak płonie i obraca się w nicość.

Spocona, podciągnęła pod siebie nogi. Objęła kolana. Drżała w nocnym powietrzu, wilgotnym, choć nie zimnym.

Dzieci spały. Jeremi spał.

To był sen.

Nie jest taka głupia, żeby wierzyć w co innego. Sen, ale z tego powodu wcale nie mniej przerażający.

Nie rozumiała tego ostatniego widzenia, tego ostatniego snu. Zawierał obrazy, których istnienia nawet nie podejrzewała. Wiedziała, że to przemoc i śmierć. Nie rozumiała jednak, co mogła zawierać niebieska torba. Rozległ się gwałtowny wy-

buch i ukazało się światło jak z rozpadającej się gwiazdy.
I to ciepło, które nie było bólem.

I światło.

I najbardziej przerażające ze wszystkiego: spokój.

Rozumiała myśli i słowa tamtej młodej kobiety. Może nie jest to coś, do czego należy przywiązywać szczególną wagę, Roza jednak nie chciała tego zapomnieć.

Słowa były angielskie.

Ów czysty głos w głowie tamtej posługiwał się angielskim.

Ale młoda kobieta w myślach używała słów, które brzmiały inaczej. Miały inną melodię, inną tonację.

Roza odniosła wrażenie, że zna fiord, który widziała.

Wydawało jej się, że rozpoznała iglicę wieży kościoła w tle, kiedy młoda kobieta zdążyła ku rzece.

Katedra świętego Kolombana.

Potem tamta wspięła się na balustradę mostu.

Co pcha ludzi do czegoś takiego?

Dlaczego właśnie ona musi śnić o tej kobiecie?

-Naprawdę nie wiesz? - spytał głos Natalii. -Nie widzisz, że rozpościeram to przed tobą niczym wachlarz? Nie widzisz, że pokazuję ci, o jak wiele toczy się gra?

Żadnych powitań, ani wyjaśnień. Pojawia się po prostu, a potem znowu znika. Daje mi czas, bym przywykła do życia bez niej, a potem znowu wkracza w moje życie. Z jak największą oczywistością.

- Kim ona była?

- Nie była. Ona dopiero będzie - powiada Natalia.

Zdaje mi się, że ona siedzi w ciemności obok Je-remy'ego. Spał tak, że aż dudniło pod woskowaną matą zastępującą sufit, ale głos Natalii mimo to słychać było wyraźnie. Może słychać go po prostu w mojej głowie, podobnie jak śpiew w głowie tamtej dziewczyny.

- Kto? - pytam. - Kim ona jest?

-Przez jakiś czas jest jedną z tych, którzy sieją śmierć - mówi Natalia i gdybym jej nie знаła, mogłabym pomyśleć, że się uśmiecha.

-Jest, kim jest. Ma prawo dokonywać wyboru -mówi Natalia.

- Kim ona jest?

- Pochodzi z twoich krajów - odpowiada Natalia. - Jest jedną z nas.

Myślę teraz, że widziałam, jak ta dziewczyna umiera. Nie wiem, kim jest, nie wiem, w jakim czasie żyje, widziałam jednak, jak umiera.

- Ale nie cierpi - mówię.

- Nie - potwierdza Natalia.

- Czy to się nigdy nie skończy? - pytam. - Czy ten łańcuch nigdy nie będzie miał końca? Jakiegoś ostatniego ogniwa? Nigdy nie zaznamy spokoju?

Natalia nie odpowiada.

- Czy wy też nie jesteście zmęczone? - pytam.

- Dopóki się do czegoś przydajemy, nie mamy prawa czuć się zmęczone - odpowiada.

W nich zawsze zwycięża zdrowy rozsądek. Upór. To, co silne i waleczne. Oraz wiara w dobroć, kobiecość i miłość bliźniego, splecione

w sposób, jakiego nigdzie nie widziałam. Nie wierzę, że to wszystko może istnieć równocześnie. Ale one wierzą.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek stanę się jedną z nich. Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że zaznam spokoju.

Kiedy umrę, chciałabym po prostu przestać istnieć.

- Dlaczego ty mi to pokazujesz?

- Żebyś nie traciła odwagi - mówi.

Mam ochotę się śmiać, ale jakoś nie mogę.

- Ty sądzisz, że to jest określona droga - powiada Natalia z powagą, a ja mam wrażenie, że teraz ona mówi o czymś zupełnie innym. - Uważasz, że to pech cię tutaj przywiódł. Ale popełniasz błąd, Rozo. W twoim życiu nie istnieją przypadki. Zostałaś wzięta za rękę i zaprowadzona tam, gdzie koniecznie powinnaś być zaprowadzona. Zrobiłyśmy to z nieskończoną miłością. Zawsze byłaś otoczona naszą miłością. Bywało, że dokonywałaś złych wyborów, przeważnie jednak stąpałaś po właściwych ścieżkach.

- I wy nigdy mnie nie opuszczaliście? - pytam i nie chcę w to wierzyć. Nie chcę wierzyć, że cały ból, jakiego musiałam doświadczyć, był konieczny, jakbym tego potrzebowała, by stać się szlachetną.

- Bywało, że cię zostawialiśmy - mówi. - Ale zawsze byłaś pilnowana.

Teraz myślę o Seamusie, ale jej nie chcę o nic pytać.

- A ty sama, co myślisz? - wypytuje, choć przecież wszystko o mnie wie. Zna moje myśli, zanim staną się moimi. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- W ogóle nie chcę się nad tym zastanawiać - odpowiadam gorączkowo.

Jeremy przewraca się we śnie. Mamrocze coś, czego nie rozumiem, ale po chwili znów śpi twardo.

- Musisz się pogodzić z Seamusem, Rozo - mówi Natalia z naciskiem. - Z pamięcią o nim i z tym, że on nie żyje. I musisz wybaczyć to, co niewybaczalne.

-A gdybyście mnie tak raz poprosiły, żebym zrobiła coś konkretnego - wzdycham.

- Wtedy nie miałabyś wyboru.

- Więc jest jakiś sens w tym, że znalazłam się tutaj, w Australii, jest jakiś powód, dla którego robactwo obłązi mnie na tych bagnach?

- Wszystko ma sens.

Równie dobrze mogłabym przestać pytać. Nie dostaję żadnych odpowiedzi. Właściwie ona nie musi ze mną rozmawiać. Nie musiała tu przychodzić.

-Nie chcemy, byś czuła się osamotniona. Nie sądz, że zostawiłyśmy cię samą sobie.

Znowu mogłabym się rozeźmiać, ale tego nie robię.

Chyba zaczyna mi się mieszać w głowie. Nocami gadam sama do siebie. Mam jakieś chore sny, w które wierzę. Śnią mi się młode, rudowłose kobiety podobne do mnie.

Ja nie chcę tych snów, mówię. Może skończą z tym, jeśli je poproszę? Właściwie nigdy tego nie próbowałam. A wszystkiego warto spróbować.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? -Ja nie chcę tych snów.

- One są z tobą związane - odpowiada.

Nie chcę nic o tym wiedzieć. Choć głośno tego nie wypowiadam, ona dobrze wie, co myślę. Wydobywa to z mojej głowy.

- Są trzy konary, które wiąże to samo jasne światło, Roza. Pochylają się ku przodowi. Ku tej ciemności, która znajduje się przed tobą i w którą na razie nie możesz jeszcze wejść. Pokazuje ci fragmenty tego, co będzie, żebyś wiedziała. Drzewo, które należy do ciebie, ma wiele konarów, ale tylko trzy z nich otoczone są owym żółtym światłem.

- Może powinnam podziękować?

- Nie zamierzamy odwiedzać nikogo z tych znajdujących się między tobą a tymi trzema. Każda z nich związana jest ze swoim konarem i żyć będzie po tobie. Nigdy żadnej z nich nie zobaczysz w ich własnym czasie, dlatego pokazuję ci je w snach, przeciwko którym protestujesz.

Teraz myślę o tamtej młodej kobiecie, która żyła w czasach wojny, która rozmawiała z jakimś mężczyzną, prawdopodobnie Niemcem. Znajdowała się w górach, w ciemności, a jej myśli były norweskie. U jej stóp znajdowały się lilie.

Myślałam, że jest tym dzieckiem, które miało urodzić się Mattiasowi i mnie. Była podobna do nas obojga.

To jedna z tych, które przyjdą po mnie.

- A ta, która śniła mi się dzisiejszej nocy, to pewnie druga.

- Tak, to była druga - przytakuje Natalia. - Pokazałam ci ją, ona ci się nie śniła. Naprawdę ją widziałas. Jesteś jej początkiem.

Dziewczyna miała takie rude włosy... Tylko kwiaty miewają taką barwę. Była niezwykła. To

kobieta, ale o wielu męskich cechach. Miała twarz w kształcie serca i uśmiech łasicy. Jestem pewna, że ją widziałam. Była podobna do mnie. Rozpoznałam siebie w niej. Była Irlandką.

Natalia tego nie potwierdza. -Wobec tego ześlij mi trzeci sen i skończmy z tym, proszę.

Natalia widzi to inaczej.

- Będziesz musiała je poznać. Pojednać się z nimi, Roza. Bo one są powodem, dla którego żyjesz. Jesteś matką ich wszystkich, jesteś wielkim początkiem.

Czuję, że obyłabym się bez tego. Wszystko, czego pragnę, to mieć spokój. Czyż niedostatecznie mnie już wykorzystały? Czy nie mogłyby mi dać parę lat spokoju, uwolnić choć na trochę od swojej obecności, od ich ochraniających skrzydeł, od wszystkich żądań?

Pragnę żyć cicho i spokojnie, tak jak żyją zwyczajni ludzie. Nie chcę więcej nic wiedzieć o moich prababkach. Nie chcę zadawać pytań. Wszystko, czego pragnę, to życie, w którym jest mi dobrze, w którym mogę się troszczyć o rodzinę, patrzeć, jak moje dzieci dorastają i nie odpowiadać już na żądania, które stały się moim przekleństwem.

Chcę tylko zwyczajnego życia. Spokoju.

- A co z miłością? - pyta Natalia.

- Doznałam wystarczająco dużo miłości - odpowiadam jej i naprawdę tak uważam.

-Co z mężczyznami? - pyta, a ja wyczuwam w ciemności, że oczy jej płoną. Natalia nigdy nie wyrzekła się żadnego mężczyzny. Żadnego, który

by ją chciał. Nie tak zachowywały się kobiety w jej czasach.

- Miałam dość mężczyzn - odpowiadam. - Naprawdę aż nadto. Pragnę tylko spokoju.

- Tego nie mogę ci dać - odpowiada Natalia. Czasami mam wrażenie, że moja droga Natalia

wykorzystuje okazję, by żyć dalej, by dostać to, czego jej zabrakło w krótkim życiu, chce zdobyć to dzięki mnie, poprzez moje ciało.

- Tego nie mogę ci dać - powtarza. - Mogę ci natomiast dać miłość życia - mówi, jakbyśmy obie były dziećmi, a ona zdobyła dla mnie garść brązowego cukru.

-Ja już miałam miłość życia - odpowiadam.

- To ty tak uważasz, bo jeszcze nie doświadczyłaś, jaka naprawdę miłość może być - zapewnia.

Ogarnia mnie chłód.

Tęsknię za ramionami Seamusa.

- Taka bezwarunkowa - mówi dalej Natalia rozmarzonym głosem. - Bezgraniczna. Taka, jakiej żadna z nas nie doświadczyła. Ani ja, ani żadna z moich sióstr. Nawet Raija. A ty taką dostaniesz. Tylko ty i te trzy ostatnie, prawdziwe dzieci światła, będziecie mogły ją przeżyć.

Wyklucza Lily.

Może lepiej jest nie kochać za bardzo. Człowiek potrafi też kochać z umiarem. Może powinnam im dziękować, że chcą oszczędzić moje ukochane dziecko. Ale z drugiej strony, dla niej również pragnę szczęścia.

- Nie myśl o Lily - mówi Natalia. - Myśl o sobie. A nigdy tego nie robiłaś. Nigdy tak do końca. Nigdy nie życzyłaś sobie najlepszego, dlatego ja

powinnam ci to dać. Dostaniesz to, czego nigdy sobie nawet nie wyobrażałaś. Będziesz kochać i będziesz kochana.

Nie pytam jej o szczegóły. Nie chcę o niczym wiedzieć. Nie chcę tej miłości, o której mówi. Chcę nadal kochać Seamusa. To najpiękniejsze, co mi się przytrafiło. Nikt nie zajmie jego miejsca! Nie chcę znać tego mężczyzny, którego dla mnie upatrzyła.

Ale Natalia uśmiecha się do mnie w mroku.

- Później pozwolę ci lepiej je poznać - mówi. - Te młode kobiety. Wszystkie trzy. Te, które są dziećmi światła. Wszystkie noszą imiona kwiatów. Są jak ptaki na rozpostartych skrzydłach albo jak pełgające płomienie. Wszystko zależy od tego, jak się na nie patrzy. Ty i ja widzimy ptaka, inni mogą rozpoznawać płomień.

- A zatem odfruną albo wypalą się? - pytam.

- Ale zostawią ślad - odpowiada Natalia. - Zostawią ślad, który nigdy nie zostanie zapomniany.

Nie odpowiedziała na moje pytanie, dlatego robię się podejrzliwa i obawiam się, że słusznie. Że one naprawdę spłoną.

- Nikt nie żyje na próżno - mówi Natalia. - A już zwłaszcza one trzy.

- I nie pozwolisz mi spotkać tej ostatniej? Trzeciego kwiatu?

- Jeszcze nie teraz - odpowiada Natalia. - Jeszcze nie jesteś na to gotowa.

Może i ma rację.

Czuję ból w piersi.

Czy chcę tego, czy nie chcę, kocham te dziewczyny.

Spotkania z nimi, choćby tylko we śnie,

wiele dla mnie znaczą. Czuję się za nie odpowiedzialna.

Wiem, że ona chce wzbudzić we mnie właśnie poczucie odpowiedzialności. Wiem, że ułatwiam jej sprawę. Czuję się jakby ich matką. Ich los obchodzi mnie bardziej niż moja własna śmierć.

-Ale teraz zostaw mnie w spokoju - proszę. -Nie chcę nic wiedzieć o tych kobietach. Nie chcę wiedzieć, kim są...

- To nie jest twój wybór - odpowiada Natalia. -To nie twój wybór, Roza!

Za każdym razem, kiedy Natalia opuszczała Rozę, zapadała jakaś dziwna cisza. Roza nigdy nie czuła się bardziej samotna niż po zniknięciu Natalii. Nie wiedziała, czy to jej własna wyobraźnia stwarza to wszystko, co w sobie nosi. W jakiś czas po odejściu Natalii nabierała pewności, że tak, że to tylko fantazja. Teraz jednak pewna nie była, dławiona samotnością, jaką Natalia w niej pozostawiła.

- Nie śpisz? Jeremy pytał cicho.

- Nie miałam pojęcia, że się obudziłeś - odparła. -Marzyłem o tobie - powiedział.

- Powinieneś spać, nie marzyć.

- Czy ty masz siostrę? - spytał.

- Nie - odparła Roza krótko.

- Śniło mi się, że miałaś siostrę bardzo do ciebie podobną - nie ustępował Jeremy. - Miała na imię Natalia. Śniło mi się, że rozmawiałyście ze sobą.

Roza zadrżała.

- Chcę spać - burknęła. - I nie mam żadnej siostry. To był tylko sen!

Jeremy nie pojmował jej reakcji.

- Czy mogę spać przytulona do ciebie? - spytała. - Tylko spać.

- Oczywiście - odparł. - Nie jestem dzikim zwierzem.

Roza w milczeniu skuliła się, przytuliła policzek do jego barku.

Jeremy leżał przez chwilę i zastanawiał się, czy Roza nie kłamie. Czy może gdzieś naprawdę istnieje jej siostra. I czy może Roz ma więcej tajemnic.

Rozdział 10

- Nigdy nie sądziłem, że młody człowiek może być takim słabeuszem - powiedział Jack bez najmniejszego szacunku dla poglądów Jeremy'ego na sprawy rozrywki.

- Najchętniej zostałbym tutaj i wypił jeszcze jedno piwo - odparł Jeremy. - Pograłbym w karty.

- Jemu zaszkodziło to kąpanie i golenie - chichotał Nick, szturchając Jeremy'ego w bok. On sam też był świeżo ogolony i Jeremy miał wrażenie, że widzi jego twarz po raz pierwszy. Pewnie nigdy przedtem nie golił się dokładnie. Teraz wyglądał jak koń wyścigowy przed ważną gonitwą. Po kąpieli nie mogli włożyć na siebie starych ubrań, więc kupili sobie nowe. Wyglądali jak praw-

dziwi angielscy eleganci, choć w trochę prowincjonalnym wydaniu, niezbyt podobnym do mody londyńskich salonów.

- Jestem zmęczony - powiedział Jeremy.

Dwaj jego towarzysze zaśmiewali się tak, że łzy ciekły im z oczu.

Jeremy westchnął.

- Cztery doby podróży po takich drogach, tego nie spluczesz jedną kąpielą.

- Skąd przybywacie, chłopcy?

Pytał jakiś barczysty mężczyzna. Wyglądał podobnie jak oni - świeżo wykąpany, ogolony, włosy z przedziałkiem pośrodku przyczesane na mokro. W nowej kamizelce, nowych spodniach i butach.

- Adam McCombie - przedstawił się. - W swoim czasie farmer. Teraz poszukiwacz złota. - Pochłaniał swoje piwo w takim tempie, że piana nie zdążyła do końca opaść, gdy szklanka była już pusta. - Pracuję koło Ballarat - pochwalił się i usiadł nieproszone. - A wy?

Jack opowiedział w przybliżeniu, gdzie pracują. Jego towarzysze dostrzegli, że nie podaje szczegółów i byli bardzo zadowoleni. W hotelowym barze w Geelong uszy bywają długie. Tu spotykają się wszyscy: ci, którzy znaleźli złoto, ci, którzy nic nie mają, oraz ci, którzy bardzo by chcieli mieć. Przechwalali się i kłamali, każdy dodawał sporo do tego, co naprawdę przeżył, bo nikt nie chciał opowiadać o porażkach. A łatwo nikomu nie jest.

- Znaleźliście tam coś? - pytał ich nowy przyjaciel, Adam.

- No, coś, tak - bąkał Nick. - Nie narzekamy. - Tylko wy trzej?

- Och, nie - zaprotestował Jack pośpiesznie. - Jest tam nas cała brygada. Ale tylko my przyjechaliśmy tu, by pozbyć się rzeczy.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy przeżyli to samo. Wszyscy należą do szczęśliwców. Są zwycięzcami.

- Złożyć wszystko w banku - westchnął Jack, przewracając oczyma, próbując jednocześnie zwrócić na siebie uwagę barmana. Zajęło mu to sporo czasu. - Nie mam zaufania do banków - tłumaczył.

- Może obrabowałeś jakiś osobiście? - zachichotał Nick, a pozostali znów wybuchnęli śmiechem.

- Najbardziej lubię mieć pieniądze przy sobie. Tam, gdzie idę, gdzie się zatrzymuję - wyjaśniał Jack, potem głośno zamówił gin i whisky, po butelce każdego. Zażądał, by podano mu natychmiast. I kieliszki też. - Mogę wyjąć je, kiedy chcę, przeliczyć - ciągnął dalej rozmarzonym głosem.

- I pozwolić, by mi je ukradli - wtrącił Jeremy cierpko.

- Słuchajcie młokosa - westchnął Jack, ale nadal się uśmiechał. To był tylko taki żart na koszt Jeremy'ego, a zarazem opowieść przeznaczona dla obcego, która miała go przekonać, że nie mają przy sobie nic wartościowego. Nic, co oplacałoby się kraść. - On jest taki rozsądny, że chyba stanie się bogaty - dodał.

- Lepiej nie wierzyć w byle co - powiedział Adam i na chwilę spoważniał. - Ludzie dla niczego nie mają szacunku. Powtarzam wam jeszcze raz, chłopaki: teraz ludzie nie mają szacunku dla niczego. My przyszliśmy z Ballarat. Mówiłem już, że stamtąd przyszliśmy?

- Mówiłeś.

- Drogi trudne jak cholera! Widywałem już bagna bardziej nadające się do podróży konnym wozem. Ale nie o to chodzi, nie mieliśmy wozu! W pół drogi był jeden z tych przeklętych squatters, którym się wydaje, że wszystko należy do nich, więc wystawił sobie szyld.

Nick i Jack wpatrywali się w Adama, zmuszając go w ten sposób, by mówił dalej. Jeremy pomyślał, że to jest jedna z tych prawdziwych historii, które nie mają końca. Zastanawiał się, czy to w ogóle jest zabawne.

- Wypisał na nim czarnymi literami: „Nie schodzić ze ścieżki! Zakaz chodzenia po mojej posiadłości!”. - Bardzo głęboko zaczerpnął powietrza. - Ale tam znajdowała się mała studnia. Świetne miejsce na rozbicie obozu. Najlepszy punkt do przekroczenia rzeki. Gdybyśmy jechali dookoła, zabrałoby to nam godzinę.

- Więc przeprawiliście się przez rzekę w tamtym miejscu? - spytał Nick.

- Do cholery, oczywiście, że się przeprawiliśmy. Było nas dwudziestu, jechaliśmy piątkami. Mieliśmy strzelby przygotowane na wypadek, gdyby ten chłop od owiec wystąpił z protestami. Przeprawa zajęła nam kwadrans. Nie więcej. I zapewniam was, że przeklęty szyld palił się pięknie.

Wszyscy śmiali się gromko.

- Rozsądek - powiedział Adam. - Należy posługiwać się rozsądkiem, jak nasz młody przyjaciel. Na zdrowie! Jak ty się nazywasz, chłopcze?

Ten człowiek nie miał czasu słuchać odpowiedzi, słyszał jedynie własny głos, więc Jeremy zadowolił się uniesieniem szklanki.

-To nie on wpada na wszystkie świetne pomysły - wtrącił Jack. - To madame.

Jeremy zniósł to spokojnie. Wierzył, że Jack wie, co robi. Że pamięta, iż Roza ma występować jako żona Jeremy'ego. Mówiąc o niej, tamten chciał nakreślić tylko obraz całej grupy.

- Chyba jesteś za młody, by mieć żonę - uznał Adam McCombie. - Ja osobiście za każdym razem zdołałem się wymigać.

Jack i Nick oznajmili, że należą do tego samego rodzaju mężczyzn i wszyscy trzej znowu wybuchnęli gromkim śmiechem. Jeremy uważał, że towarzystwo jest niezbyt zabawne, ale zawsze to jakaś odmiana po obozowym życiu.

- Nasz Jeremy jest rozsądny - powiedział Nick. - I cholernie nudny.

-Tak cholernie nudny, że nie chciałby nawet pójść do naszej dobrej, starej Katie? - zastanawiał się ich nowy znajomy. - Na drugą stronę ulicy -dodał z konspiracyjną miną, która miała dopowiedzieć resztę.

Jack i Nick popatrzyli na siebie wymownie. Zrozumieli, o kim Adam mówi. Byli tam podczas ostatniej wizyty w Geelong i myśl o możliwości ponownej wizyty była powodem, że dobrowolnie zgłosili się na tę wyprawę. Uznali to za swego rodzaju nagrodę za trudy podróży.

-Na początku tygodnia przyplłynął tu statek wypełniony paniami z Melbourne - poinformował Adam. - Byłem już wtedy w mieście od dwóch dni, tak że... mogłem... hmmm... zdążyłem popróbować tych towarów.

Cmoknął z przesadą.

- Pierwsza klasa? - spytał Jack, wierząc się niespokojnie.
- Pierwsza klasa! - zapewnił Adam.

Jeremy musiał bardzo nad sobą panować, żeby się nie uśmiechać. Jeszcze nie tak dawno temu pierwszy śmiałby się z takich dowcipów. Co więcej, on sam by je opowiadał. A teraz nie miał najmniejszej ochoty towarzyszyć swoim koleżkom. I nie wynikało to ze zmęczenia. Zmęczenie to po prostu wymówka, którą się posłużył. Po czymś takim nikt już nie pyta.

- Jak myślisz, mogłoby smakować? - spytał Nick, klepiąc Jeremy'ego po ramieniu. - Jakaś kobieta z Melbourne?

- Nie teraz - odparł Jeremy.

Zaczęli się z niego śmiać. Musieli raz po raz powtarzać jego odpowiedź, taka wydawała się im zabawna. On im nie przerywał, ten śmiech nie robił mu krzywdy. Będzie mógł położyć się wcześniej i wstać wcześniej. Chciał porobić zakupy, być może uda się nabyć konia, albo i dwa, które mogłyby dźwigać juki. Przyjaciel Lukas ze stajni mógłby mu pewnie jeszcze raz pomóc w znalezieniu czegoś odpowiedniego. Potem będzie mógł ruszyć w drogę powrotną.

- Niech diabli biorą wierność - uznał Adam McCombie. - Zdradzę wam pewną tajemnicę, chłopaki! - Nie zniżył głosu, choć miał się im z czegoś zwierzyć. Raczej wprost przeciwnie. - Ja też jestem żonaty!

- Nie udało ci się uciec? - spytał Jack.

- He, he - śmiał się Adam. - Wciąż powtarzam i jedno, i drugie. I wtedy nikt nie wie, w co wie-

rzyć. Ale jestem żonaty. Mam cholernie piękną żoneczkę w domu nad Twofold Bay. Na wschodnim wybrzeżu. Cholernie piękną żoneczkę! Ginem spełnił toast za małżonkę.

- Dla niej robię to wszystko - wyjaśnił. - To dla niej. Chcę zdobyć dla niej masę złota, żebyśmy mogli rozsiąść się wygodnie w fotelach przed naszym małym domkiem w Edenie i złożywszy ręce po prostu patrzeć na zatokę, wchłaniać zapach kwiatów i słuchać śpiewu ptaków...

O mało się nie rozplakał.

Jeremy miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, nalał mu znowu do pełna.

- Wzmocnij się, kolego - poprosił.

To chyba wystarczyło, by powstrzymać wielką falę poczucia winy. Jeszcze parę takich kieliszków dostał Adam McCombie, by zapomnieć wszystko, co kiedykolwiek powiedział o swojej żoneczce w Edenie. Był pierwszym, który poprawił apaszkę na szyi, i chwiejnym krokiem skierował się ku domowi oświetlonemu czerwonymi lampkami, z którego okien płynęła radosna muzyka.

-A ty nie pójdziesz? - spytał Nick, przystając na chwilę. Trzymał się stołu i patrzył na Jeremy'ego.

- Nie.

-Coś ci powiem - rzekł Nick, pochylając się nad nim. Oparł się o bark Jeremy'ego i mówił z twarzą przy jego twarzy. - Blix nie wierzył, że coś między wami jest. Blix nie wierzył, że jesteś wystarczająco dorosły na to, by zdobyć taką kobietę, jak ona, że nie chciałbyś jej ze względu na tę jej twarz i w ogóle. Blix powiedział, że nie jesteś

na tyle mężczyzną, by nie dostrzegać tego, co zewnętrzne. Musiał zaczerpnąć powietrza.

- Ale ja widziałem po was, Jeremy. Ja też z początku w to nie wierzyłem. Najpierw musiałem się przekonać. I widziałem, że ona lubi ciebie w zupełnie inny sposób niż nas.

Jego chudą, długą twarz rozjaśnił uśmiech. Chichot wydobywał się gdzieś z głębi gardła.

- I widziałem, jak ty na nią patrzysz. Takie rzeczy mężczyźni rozumieją, kolego. Powiedziałem więc Blixowi, że może o niej zapomnieć. Bo on sam o niej myślał, ale to chyba wiesz. Sądzę, że z nim o tym rozmawiałeś, prawda? Moim zdaniem jesteś cholernie podstępny, Jordan. Blix, powiedziałem do niego, możesz zapomnieć o Rozie. Bo to Jordan ma prawo ogrzewać sobie ręce pod jej spódnicami!. Tak powiedziałem Blixowi. Naprawdę.

Jeremy nie mógł zareagować na ten komentarz, ale zdał sobie sprawę, że on i Rosie są od dawna tematem rozmów w wielu namiotach.

- Dlatego jestem z ciebie dumny, chłopcze. Jestem cholernie dumny, że zostajesz tutaj, nie idziesz z nami. My możemy sobie być strasznymi grzesznikami i dziwkarzami, bo my nikogo nie obchodzimy. Ale ty nie możesz, bo ty masz cholernie piękną kobietę, która na ciebie czeka. Jestem diabelnie z ciebie dumny, Jordan, że nie chcesz przeciw niej grzeszyć.

Poklepał Jeremy'ego po ramieniu, po czym wyszedł. Jeremy zamówił jeszcze jedno piwo.

- Do głowy by mi nie przyszło, że mogę cię tu-

taj spotkać, mister Jordan. Jeremy uniósł wzrok. Nie chciał zrywać się z krzesła, gdy tylko konstabl Summer do niego zagadał. Zdołał się tylko zmusić do uśmiechu. Uniósł brwi, zmrużył oczy. Wyglądał teraz niczym młody chłopak.

- Good day - przywitał się Jeremy. - Siadaj! Tamten zdążył już to zrobić. Odwrócił krzesło

i spoczął twarzą w kierunku oparcia.

Jeremy patrzył mu w oczy, choć najbardziej ze wszystkiego chciał spojrzeć na nadgarstek konstabla. Nie mógł sobie przypomnieć, o którą rękę chodzi. Wydawało mu się, że o prawą, ale pewny nie był. Nie rozumiał, jak mógł zapomnieć coś takiego. Założyłby się o cały swój udział w złocie, że Summer nadal nosi bransoletkę z włosów Rozy. Jeśli Rosie miała rację, że to rozbójnik z buszu przyszedł do niej tamtej nocy w obozie, a Jeremy był pewien, że miała, to widocznie uczucia konstabla zapłonęły trochę zbyt gwałtownie. Tak się nie zachowuje zdrowy mężczyzna.

Czy Summer jest wariatem? Albo inaczej: jak wielkim wariatem jest? Nie czas jednak się teraz nad tym zastanawiać. Jeremy wiedział, że ten człowiek jest niebezpieczny. To wystarczy. Ma przewagę nad Summerem, dopóki ten nie wie, że Jeremy wie.

- Wygląda na to, że zrobiłeś dobrze - rzekł Summer, przyglądając mu się uważnie.

-Jesteśmy z tego powodu zmęczeni - odparł Jeremy. - Ale tak, powiodło nam się.

-A teraz jesteście w mieście, żeby pozbyć się znaleźnika?
Jeremy przyjął spokojnie jego szeroki uśmiech,

diabelskie błyski w roziskrzonych oczach. Jest trzeźwy i nie pozwoli się zbić z tropu. Ma przewagę nad tym cholernym konstabłem, rozbójnikiem z buszu.

Summer mlasnął i pchnął kufel w stronę Jeremy'ego tak, że zadudniło. Kufel dotarł do krawędzi i spadł. Nikt nie zareagował ani na hałas, ani na rozbite szkło, Jeremy też nie potraktował tego zbyt poważnie. Nie stało się nic takiego, co by należało wpisywać w rubrykę „strata”. Jest dość biegły w rachunkach. Jego stary ojciec go tego nauczył. Facet taki jak Summer by nie zrozumiał, ale Jeremy zawsze potrafił przeprowadzać rachunki w głowie.

- Co twoja żona na to, że musi sama siedzieć w hotelowym pokoju, kiedy ty tutaj przepijasz zarobek?

-Moja żona należy do bardzo wyrozumiałych kobiet - wyjaśnił Jeremy spokojnie, przyjmując do wiadomości, że Summer nie widział ich, kiedy wjeżdżali do miasta. To zresztą nic dziwnego.

W Geelong przelewają się fale kolejnych przybyszów. Główna ulica jest taka wąska, że człowiek nie musi być barczysty, by zajmować pół jej szerokości. Po obu stronach stoją wozy poszukiwaczy złota. Niedługo wszystkie ulice będą właśnie tak wyglądać. Wozy czekają przez jakiś czas, po czym poszukiwacze szczęścia wyruszają na północ lub na zachód, ale ulice długo puste nie pozostają. Przez cały czas przybywają nowi, którzy usłyszeli pogłoski o złocie i mają teraz wizję eldorado w oczach i sercach.

- Podziwiam kobiety, które znoszą coś takiego

rzekł Summer. Wskazał głową to, co znajdowało się za ich plecami. Ciasny, ciemny i zadymiony bar, pełen mężczyzn pijących i krzyczących. Wskazał na to, co znajdowało się za drzwiami. Miasto, które nie jest już ruchliwym portem, a stało się miejscem zbiórki wszystkich zdesperowanych ludzi świata. - To nie jest życie dla kobiety - powtórzył.

-To prawda - zgodził się Jeremy. Niewiele go to kosztowało.

- Dlaczego ty ją na to narażasz?

Jeremy oparł się wygodniej. Położył szczupłe dłonie na kolanach. Wiedział, że uśmiech na jego wargach może być bardzo irytujący. Ale ucieszyłby się, mogąc zirytować tę zimną rybę. Uradowałoby go jeszcze bardziej, gdyby mógł go przestraszyć. Przyglądał się tamtemu uważnie, ale nie dostrzegał śladu lęku. Zresztą wcale tego nie oczekiwał. Ktoś, kto kocha niebezpieczeństwa tak jak Summer, nie da się przestraszyć zbyt łatwo.

- Dlaczego ty się tak troszczysz o moją żonę? - spytał Jeremy.

- Bo wygląda na to, że to dobra kobieta. Słowa wydawały się naturalne. Oczywiście,

pewnie w myślach nie raz wyobrażał sobie tę chwilę, albo podobną. Chwilę, kiedy mało brakuje, a zostanie zdemaskowany. Pytać go teraz byłoby czymś takim, jak dawanie dziecku cukierka.

-To dobra kobieta - powiedział Jeremy i nie musiał się wysilać, żeby w jego głosie brzmiała pewność. Myślał dokładnie tak, jak mówił. Myślał, że Roza nie zasługuje na to, by ktoś taki jak Summer węszył po jej śladach, z nosem przy ziemi, niczym pies biegnący za suką.

- Powinieneś ją stąd zabrać.

Jeremy uśmiechnął się wyniośle. Wolno kręcił palcami młynka, ale zdawał sobie sprawę, że to groźne czuć się bezpiecznie w towarzystwie Sum-mera. Nie wolno tracić czujności pod spojrzeniem tego człowieka.

-Już niedługo - obiecał. - Jak zbieram wystarczająco dużo na niewielką winnicę.

Nie wiedział, czy Summer jest rozczarowany tym, że pamięta tę historię. Może konstabl przypuszczał, że Jeremy ją sobie wymyślił i opowiada mu bajki. Powinien był jednak wiedzieć, iż Jeremy Jordan został tak wychowany, że jeśli przedstawia siebie jako pedanta, to niewątpliwie nim jest.

Summer pokręcił głową.

-Na razie pracowałeś niezbyt długo - powiedział. - Ale ja widziałem już wielu, którzy sami siebie skazali na zatracenie. I widzę, że potrzeba bogactwa jest z każdym dniem silniejsza. Wielu jest takich, którzy nie zlekceważą żadnej możliwości zdobycia bez trudu tego, do czego inni dążą w mozole.

Jeremy przytaknął. Zdawało mu się, że słyszy w głosie tamtego ostrzeżenie, ale pewien nie był.

-Nie tylko ludzie pierwszej klasy przybywają do Geelong, Jordan - westchnął policjant. - Naprawdę, nie tylko śmietanka napływa do Ballarat i w wasze strony...

Jeremy niemal przestał oddychać.

-... do Pine Creek, jak słyszałem - dokończył Summer.

Jeremy znowu przytaknął.

Był raczej pewien, że Charles Summer wie,

gdzie znajduje się ich obóz. Wiedział przecież, który namiot należy do Rozy.

- Pewnie mieliście wizytę oddziałów licencyjnych?

- Piękne mundury - zauważył Jeremy. Nie była to uwaga niebezpieczna. Słyszał, że zwyczajni policjanci wyśmiewają się z barwnych uniformów oddziałów sprawdzających licencje. Nie traktują ich jak prawdziwych stróżów prawa.

Konstabl Summer też się uśmiechnął.

- Słyszałem, jak gadali o niewielkim obozie, w którym mieszka też kobieta z dziećmi - rzekł Summer z wolna, jakby całą swoją wiedzę gromadził jedynie przypadkiem. - Przyszło mi do głowy, że to musi być wasz obóz, Jordan. Niewielu odważa się pracować w takich małych grupach. A jeszcze mniej zabiera ze sobą dzieci i baby. - Chrząknął. - Większość kobiet kieruje się ku północy. Słyszałem, że Katie ma zamiar otworzyć filię w Bal-larat. Ta kobieta ma łeb do zarabiania pieniędzy.

Roześmiał się z własnego dowcipu.

- Ci od licencji mówili, że nie widzieli twojej żony - zaczął znowu Summer. - Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku, że jest zdrowa. Bagna mogą być zabójcze dla ludzi nieprzywykłych do takiego klimatu. Ja bym raczej wynajął pokój dla niej i dzieci tutaj, w mieście. Z pewnością dałoby się to załatwić i nie musi wcale tak drogo kosztować. Oczywiście rozumiem, że przybyliście tu z powodu złota, więc nie powinno być raczej żadnych problemów.

- Moja żona czuje się dobrze - odparł Jeremy. - Ona w ogóle nie jest chorowita. Moja żona chce być tam, gdzie ja.

-Twoja małżonka musi mieć mnóstwo cnót -rzekł Summer, wstając. - Z niecierpliwością wyczekuję dnia, kiedy ją spotkam. Kobieta, którą własny mąż ceni tak wysoko, musi stanowić przykład dla innych. Może mógłbym was zaprosić na obiad w hotelu... na przykład jutro?

- Byłoby chyba trudno - odparł Jeremy chłodno. - Ze względu na dzieci.

- Na mnie zrobiły bardzo dobre wrażenie. Sam też zawsze pragnąłem mieć dzieci, nigdy jednak nie spotkałem odpowiedniej kobiety. A trudno jest bez takiej, która potrafi być matką.

Uśmiechnął się szeroko, był chłodny, ale czarujący. Nawet Jeremy musiał to dostrzec. Diabli wiedzą, kiedy ten człowiek chce się pokazać z najlepszej strony. Jest wyrachowany i bystry.

-Nie mam nic przeciwko temu by zasiąść do stołu w towarzystwie kilkorga dzieci. Gdyby to więc odpowiadało twojej małżonce, to będę czekał na obiad z tobą i twoją rodziną, Jordan.

- Z pewnością będzie bardzo miło - rzekł Jeremy. - Dziękuję.

Jeszcze długo po odejściu Summera zachowywał się bardzo spokojnie. Zauważył bowiem, że tamten nie opuścił hotelu. Robił coś w recepcji. Jeremy nie był taki głupi, by nie zdawać sobie sprawy, czego policjant tam szuka. Całą siłą woli opanował się, by za nim nie pobiec. To nie miało sensu.

Zresztą Summer wciąż nie wie, że on wie. Będzie więc grał tymi kartami, które ma i nie zaryzykuje, dopóki nie dowie się, jak się wszystko skończy.

Całą wieczność później Jeremy znalazł się w cichej, chłodnej stajni. Była wypełniona końmi, poczuł się więc jak w domu.

- Chcesz kupić więcej koni, mister? - spytał chłopiec imieniem Lucas.

Jeremy stanął przy uchylonych drzwiach i próbował wyglądać na ulicę. Światła w oknach pobliskich budynków mu to ułatwiały, widział ludzi, ale nie był w stanie ich rozróżnić. Wobec tego zrezygnował. Nie sądził, że myli się co do Summera.

- Być może - odpowiedział chłopcu.

- Za kim się tak rozglądasz? - spytał chłopiec nie w ciemię bity. - Ja widzę wszystko, mister. I większość zapamiętuję. A za parę szylingów gotów jestem przypomnieć sobie każde wydarzenie, jakie miało miejsce od ubiegłej zimy.

Między nimi pojawiła się mała ręka.

Jeremy podskoczył. Szybko wyjął pięciofumowy banknot i położył go chłopcu na dłoni. Lucas zamknął ją błyskawicznie.

- Konstabl Summer? - spytał Jeremy.

- A coś ty zrobił? - zdziwił się chłopiec. - Nic.

- Musiałeś coś zrobić, skoro on się na ciebie zaczaja.

- To ja się zaczajam na niego.

- Błąd - rzekł Lucas, wpijając przenikliwe oczka w Jeremy'ego. Banknot już zniknął pod jego ubraniem. - Wielki błąd, mister. Summer tutaj był i pytał, ile koni trzymasz w stajni.

- Tutaj? Teraz? Chłopiec przytaknął. - I ty mu powiedziałeś?

-Tak.

- Opowiedziałeś mu o mnie - westchnął Jeremy.

- Nie mówiłeś, że mam tego nie robić - bronił się chłopiec.

- Mam nadzieję, że zapłacił ci odpowiednio dużo - rzekł

Jeremy, który nie mógł się złościć na małego. Przecież to nie jego wina. Zrobił to, do czego przywykł. Odpowiedział na pytania, które mu zadano.

- Nie dostałem nic - odparł Lucas. - Summer nigdy nic nie daje.

- A mimo to mówisz mu wszystko, co chce wiedzieć? - Jeremy machnął ręką. - Trzeba powiedzieć, że opłaca się być policjantem w tym mieście.

- Stłukłby mnie na kwaśne jabłko, gdybym mu nie powiedział - jęknął Lucas, jakby Jeremy powinien to wiedzieć zawczasu. - Przecież nie mogę mu odmówić? - spytał malec na swój po dziecięcemu mądry sposób. - Zresztą to stoi też w przykazaniach. Ze masz czcić matkę swoją i ojca swego...

Prawda powoli docierała do Jeremiego.

- To Summer jest twoim ojcem? Chłopiec przytakiwał z zapalem.

- On się do tego nie przyznaje, ale wszyscy wiedzą. A mnie nic nie szkodzi, że nie chce się przyznać. I tak wie, że jest moim ojcem. I ja też to wiem.

Jeremy zastanawiał się, dlaczego Summer niespełna pół godziny temu opowiadał na pół z płaczem, jak bardzo pragnie własnych dzieci. Tego jednak chłopcu nie wyjawiał, pamiętał bowiem, jak ojciec się śmiał, kiedy wpisywali jasne dzieci niewolnicze do spisów niewolników. Liczyli ich co

miesiąc. Spisywali urodzonych i zmarłych. Przez wszystkie lata nazbierało się wielu takich, których zapisywano jak półbiałych.

Ojciec nigdy nie uznawał ich za własne. Zresztą Jeremy też nigdy o tych dzieciach nie myślał jak o swoim rodzeństwie. Musiałem mieć kilkaset przyrodnich sióstr i braci, stwierdził i zrobiło mu się zimno. Pomyślał też o Jordym, którego ukrywali, by nikt nie zobaczył, że nie jest biały. Jedne dzieci mają większą wartość niż inne.

To chyba tak nie powinno być.

-Myślę, że pewnie będę zmuszony wyjechać stąd dziś w nocy - rzekł Jeremy. - Sądysz, że mógłbyś mi oddać kilka przysług, kolego? Usług wartych kolejne pięć funtów.

- Za pięć funtów to ja mógłbym zastrzelić Sum-mera.

- Aż o takim zamieszaniu nie ma mowy - stwierdził Jeremy. - Potrzebuję paru rzeczy z mojego pokoju, ale wolałbym, żeby nie widziano, jak je zabieram.

- Masz zamiar uciec z miasta? - spytał chłopiec. - Może tak będzie najrozsądniej.

Rozdział 11

Z tym Jordanem to jakaś dziwna sprawa. Charles Summer nie miał takiej swobody działania, by mógł wyjeżdżać, kiedy zechce, ale nie

przejmował się tym, pakując swoje juki i zamykając na klucz dom z widokiem na zatokę. Napisaną ręcznie informację, która miała dać mu alibi, zostawił u chłopca stajennego.

-Jutro wcześniej rano zanieś ją do mojego kantorka - powiedział, nie patrząc na chłopca. Wie przecież, jak malec wygląda. Jest podobny do matki. To była piękna dziewczyna, ale nic poza tym. Lukke nie miała w sobie nic szczególnego.

- Tak, sir - potwierdził chłopiec.

- Koń Jordana wciąż tutaj jest? -Tak, sir.

Charles Summer nie dowierzał chłopcu. Chwycił lampę wiszącą tuż przy drzwiach i poszedł w głąb stajni, mijając chłopca, bo tam widział wczesnym wieczorem konia Jordana. Zwierzę stało na swoim miejscu, uśmiechnął się więc blado, wieszając z powrotem lampę. Zdobył się nawet na poczochnanie chłopcu włosów. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni dotknął tego dziecka. Pieszczoty nie były w jego zwyczaju.

- Nie kłamiesz, chłopcze - rzekł Summer. - To mi się podoba.

- Dziękuję, sir - odparł Lucas.

-Oni mają wiedzieć, że jestem chory, leżę w domu i nie wolno mi przeszkadzać - tłumaczył Summer. -Tak jest, sir.

-Kupisz jedzenie i przyniesiesz je do mojego domu.

- Tak jest, sir.

-Możesz je sobie zjeść, jakbyś miał ochotę -dodał konstabl nieoczekiwanie szczodry. Chłopiec i tak by wszystko zjadł. Zawsze tak robił.

- Będzie jak zwykle, sir - powiedział Lucas, patrząc przed siebie. Też jak zwykle. Nie miał zwyczaju patrzeć konstablowi w oczy. Nie zastanawiał się też, dlaczego jest proszony o spełnianie takich usług. Summer nie znosi pytań.

- Dokładnie tak jak zwykle - powórzył Charles Summer i wyszedł. Ubrana na czarno postać rozplynęła się w wieczornym mroku.

- A niech to diabli! - mruknął Jeremy, wymknąwszy się ze swojej kryjówki za jakimiś obcymi końmi. Nietrudno było zgadnąć, że Summer z pewnością będzie go obserwował. Ale czekanie, aż to się wydarzy, wystawiało na próbę jego cierpliwość.

Podobnie jak Summer był gotów do podróży. Jedyne, co trzeba zrobić, to osiodłać konia i można ruszać w drogę. Juki czekały w ciemnym kącie.

- Czy to normalne? - spytał Jeremy chłopca o bystrych oczach, który ma na imię Lucas i jest synem Summera.

- Nawet całkiem zwyczajne - odparł tamten. - Zawsze pilnuję jego domu, kiedy wyjeżdża. Mówimy wtedy, że jest chory. Zdarza się, że ja tam sypiam, by sąsiedzi widzieli, że w domu ktoś jest. Nikt się jeszcze niczego nie domyślił.

- A dlaczego on musi wyjeżdżać? - spytał Jeremy.

Chłopiec pochylił głowę. Wpatrywał się w czubki swoich butów. Były zniszczone, wszystko, co chłopiec miał na sobie było bardzo zużyte i połatane. Jeremy'emu przyszło do głowy, że Lucas jest takim pozbawionym matki pisklęciem, nad którym Roz chętnie roztoczyłaby swoje skrzydła.

- To się często zdarza?

- Raz po raz - odparł Lucas cicho.

- Dostajesz za to zapłatę. Chłopiec przecząco pokręcił głową.

- Mogę zjeść to, co kupię, no nie? Mogę być w jego domu.

Mogę tam spać. On ma tam mnóstwo rzeczy pochodzących z całego świata. Nawet z Anglii. I filiżanki z Chin. Nie dotykam niczego, co mogłoby się potłuc, ale mogę patrzeć na jego rzeczy.

Jeremy milczał. Nie chciał pytać chłopca, dlaczego to robi.

- W porządku - powiedział. - Cieszę się, że nie wspomniałeś nic o mnie. Cieszę się, że przekażesz chłopakom wiadomość, co powinni robić.

- Nie ma problemu - odparł Lucas. - Jestem sprytniejszy niż wielu dorosłych, których znam.

Jeremy w to nie wątpił. Osiodłał konia z nadzieją, że noc nie będzie zbyt długa ani zbyt ciemna. Mógłby poczekać do jutra, ale wtedy Summer miałby nad nim jeszcze większą przewagę.

Z tym Jordanem to naprawdę bardzo dziwna sprawa.

Charles Summer nie był w stanie pojąć, dlaczego ów młokos kłamał na temat kobiety. Nie było w tym najmniejszego sensu. Każdy inny powiedziałby prawdę.

Ze jej w Geelong nie ma.

Summer mocno zaciskał szczęki. Znał okolice, przez którą się przedzierał. Unikał udeptanych traktów. Przecinał pola i zagrody, gdzie mu pasowało. Pokryty błotem gliniasty trakt jest dla nowo przybyłych.

Charles Summer mógł jechać tam, gdzie nie istnieją żadne ścieżki. Mógłby konno przejechać z wybrzeża do Ballarat z zamkniętymi oczyma, gdyby ktoś tego zażądał. Nikt inny tak świetnie nie orientuje się w tutejszych krajobrazach jak on. Gdyby pożył złota tak samo mocno jak ci idioci przybywający do Victorii ze wszystkich stron, byłby naprawdę bogaty. Znał miejsca, w których ono z pewnością się znajduje.

Ale on nie chciał. Niespecjalnie kusiło go życie w brudzie i niszczenie sobie zdrowia w wyniku stania całymi tygodniami i miesiącami po kolana w bagnach. Każdy głupek to potrafi. Do tego nie trzeba nic poza wytrzymałością i uporem.

A on ma czas.

Jeszcze wiele lat upłynie, zanim zrobi się stary i będzie musiał się wycofać. Czasu ma naprawdę pod dostatkiem.

Teraz myśli o niej.

Za cholerę nie był w stanie zrozumieć Jeremy'ego Jordana. Wygląda na to, że naprawdę jest jej mężem. Zachowuje się wiarygodnie, chociaż nie zawsze sypia razem z nią. Charles Summer widział, że ona przez wiele nocy spała sama w namiocie z dziećmi. Nie tylko wtedy, kiedy on odważył się dzielić z nią poślanie.

Nie mógł się nadziwić zachowaniu jej męża. Jak mężczyzna może nie chcieć spać ze swoją żoną, zwłaszcza w obozie pełnym ordynarnych, niekulturalnych facetów? Powinien ją przynajmniej przed nimi chronić. Każdy by tego oczekiwał od męża.

Naprawdę było się czemu dziwić.

Ale innej nocy widział ich siedzących razem przy ognisku. Widział, jak Jordan ją obejmuje, i rękami, i nogami, a robi to z miną posiadacza. Widział, że ona się o Jeremy'ego opiera, widział, jak się całują. Było to takie zmysłowe, że aż zaczął się obawiać, iż na pocałunkach się nie skończy.

Wiele go też kosztowało zachowanie spokoju w mroku pod ociekającymi wodą drzewami eukaliptusowymi, ale nie był w stanie oderwać od nich wzroku. Wiele go kosztowało patrzenie na nią w ramionach tego młodzieńca. O mało nie krzyknął z radości, kiedy wyrwała się z objęć mężczyzny i ze śmiechem pobiegła do wozu. Ręce bolały go potem przez wiele dni. Tak bardzo zaciskał pięści.

Charles nie rozumiał takich mężczyzn jak Jeremy. Nie rozumiał, że ten człowiek mógł zostawić ją i dzieci w obozie, a sam przesiadywać w barze w Geelong, jakby nie miał żadnych zmartwień. W każdej chwili mógł się przenieść do Katie. To niewiarygodne, jak niektórzy mężczyźni mogą traktować swoje żony. Niewiarygodne, na co sobie pozwalają. Jordan przecież wie, że zewsząd czyhają niebezpieczeństwa. No i żadne z nich nie jest kompletnie naiwne. Są niedoświadczeni, ale nie są idiotami. Zachowują się, jakby wiedzieli, w jaki sposób należy chronić życie na dzikich pustkowiach. Mieli dość rozumu, by od czasu, gdy znaleźli złoto wystawiać na noc warty. Raz już przecież zostali napadnięci przez bandę opryszków. Widzieli, do czego mogą być zdolni zdesperowani ludzie. Powinni rozumieć, że na polach złotonośnych ostrożność jest ważniejsza niż wieczorne pacierze. Powinni wiedzieć, że na nikim nie można

polegać. W górach i nad rzekami znajdują się ludzie niebezpieczniejsi niż te opryszki z buszu, których Jordan i jego niewielka grupa spotkali.

Nikt nie wie tego lepiej niż Charles Summer.

Przeniknął go dreszcz, kiedy pojął, że Jordan podróżuje sam. Było mu na przemian zimno i gorąco, kiedy zrozumiał, że Jordan kłamie mu w żywe oczy. Z uśmiechem, bez jednego grymasu, Jeremy zapewniał go, że żona i dzieci są w hotelu. W każdym razie postarał się, by Charles w to uwierzył.

Ale jego pokój był niewielki, nie pomieściłby więcej niż jedną osobę. Obsługa zresztą nie wiedziała nic o żadnej kobiecie ani dzieciach. A chłopiec w stajni mówi, że mister Jordan przyjechał w towarzystwie dwóch facetów. Nikogo więcej z nim nie było. Przecież chłopiec by go nie okłamywał.

A więc zostawił ją w obozie.

To było tak niesłychane zachowanie, że Charles rozważał możliwość zastrzelenia Jordana. Było dla niego oczywiste, że kobieta nie może być szczęśliwą z mężczyzną, który traktuje ją w ten sposób. Nie może jej być dobrze, nawet jeśli jest dzielna i robi, co może ze swoim życiem.

Prawdopodobnie nie domyśla się, że miałyby inne możliwości. I ona, i Jordan byli bardzo młodzi, kiedy na świat przyszły najstarsze dzieci.

Charles Summer wiedział, że z takich wczesnych małżeństw nie wynika nic dobrego. Gdyby on miał córkę, postarałby się, by nikt się do niej nawet nie zbliżył wcześniej niż dobrze po dwudziestce. To jakaś straszna głupota sądzić, że ko-

biety tracą na wartości, kiedy są trochę starsze. Jaką radość może mieć mężczyzna żyjący z kobietą, która nie jest w stanie sformułować dwóch myśli?

Wiedział, że małżonka Jordana jest mądra. Gdyby była głupsza, drażniłaby napastnika z buszu i teraz od dawna byłaby martwa. A ona wiedziała, na co może sobie pozwolić.

Był zły, ponieważ Jordan zostawił ją w obozie. Z drugiej strony on nie mógłby teraz wyruszyć, gdyby Jordan zachował się inaczej. Dostał nieoczekiwaną szansę, by znowu pobyc z nią sam na sam. Nieoczekiwaną, cudowną możliwość, by poczuć jej zapach, posłuchać jej cichego oddechu. Szansę popatrzenia na nią. Zapamiętania wszystkiego, co jej dotyczy.

Będzie mógł znowu ją zobaczyć.

Będzie mógł znowu być z nią sam na sam. Niemożliwe stało się możliwym.

I Charles Summer pomyślał, że chciałby zbadać, czy ona nie jest nadmiernie obciążona. Był za nią odpowiedzialny. To niemożliwe, żeby czuć do kogoś coś takiego, jak on do niej i nie brać za tę osobę odpowiedzialności.

Jeśli ona jest przeciążona, jeśli nie jest jej dobrze, to on będzie musiał coś zrobić.

Rozdzielenie czegoś, co Bóg złączył, to nie jest sprawa, którą traktowałby lekkomyślnie. Naruszanie czegoś tak świętego jak małżeństwo jest niezgodne z jego wiarą. Ale jeśli ona lub dzieci cierpią, nie będzie miał wyboru. Nie może zrobić nic jako konstabl.

Ale jako grasujący w buszu opryszek nie musi postępować zgodnie z prawem.

Jeśli Jordan zaniedbał swoje obowiązki jako mąż i ojciec, to dopuścił się zdrady i wobec niej, i wobec dzieci. W takim razie nie zasługuje, by dłużej żyć. W takim razie Summer ma wolną rękę.

Pocieszenie młodej wdowy nie byłoby grzechem śmiertelnym. Będzie mógł jej zaproponować dom oraz nazwisko, które dobrze brzmi na tym wybrzeżu. I będzie brzmieć jeszcze za parę pokoleń. Nazwisko Summer w Victorii znać będą wszyscy.

Miał nadzieję, że ona również wie, iż między nimi jest coś wielkiego, prawdziwego i niezwykłego. Nie mógł uwierzyć, że chciałyby zrobić dla niego tę bransoletkę, gdyby nie czuła czegoś podobnego. Nie dałaby mu czegoś tak osobistego jak ten miedzianorudy warkoczyk upleciony z jej własnych włosów, gdyby nie czuła wzajemnej bliskości... wspólnoty...

Nie wiedział, jak to wytłumaczyć, wierzył jednak, że łączy ich pokrewieństwo. Człowiek wielu rzeczy nie rozumie, ale oni należą do siebie.

On ją znał wcześniej.

Był pewien, że i ona go znała i chciał ją zapytać, jak to odczuwała. Chciał porównać z własnymi przeżyciami. Może dzięki temu więcej by pojął, zrozumiał.

Pragnął rozumieć.

Pragnął dowiedzieć się wszystkiego, co było przed nim ukryte.

Chciał ją zapytać, jak to się stało, że wyszła za mąż za takie zero jak Jeremy Jordan, skoro wiedziała, że istnieje Summer? Że na nią czekał, był jej wierny, tak wierny, jak tylko zdrowy mężczyzna może być. Aż do jej przybycia. Chciał ją zapy-

tac, jak mogła dopuścić, by stracili tyle lat życia, skoro on czekał na nią od dnia, w którym po raz pierwszy poczuł tęsknotę za kobietą.

Nie powinna była rodzić dzieci Jordanowi. One powinny być Summera, cała trójka. ;

Powinny być jego godnymi następcami. Jego dumą. Dziećmi, którymi by się chwalił. Czymś zupełnie innym niż ten smarkaty i pyskawy bękart ze stajni.

Ten w żadnym razie nie powinien być jego synem.

Zresztą, nikt nie potrafiłby udowodnić, że jest.

W ciemnościach pokonywał jeszcze jeden kawałek pola. Jechał tuż przy zabudowaniach, ale nikt go nie widział. Podobnie jak zawsze. Nie było nic niezwykłego w tej jeździe, ani w tej nocy, niczego, co by różniło je od innych nocy i od innych konnych wypraw. Nic prócz tego, że tym razem jest w drodze do niej. Głowę miał lekką, omal kapeluszem nie dotykał nieba.

Był przekonany, że ją kocha.

Jechał do niej.

Mężczyźni liczyli dni. Mieli w obozie odwiedziny, przyjechali ludzie z Geelong i wyjaśnili, że miasto leży o co najmniej pięć dni drogi stąd. A drogi są prawie nieprzejezdne. Nawet twardzi; faceci, którzy dopiero co wyszli z więzienia na południu i przywykli do surowych warunków, twierdzą, że droga z Melbourne na złotonośne pola sama w sobie stanowi próbę.

"Wszędzie pełno ludzi, skarżył się jeden z nich. Miasto wygląda jak jezioro wypełnione gnojem.

Gospody w Geelong są tak przepelnione, że człowiek musiałby spać na stojąco, gdyby chciał w którejś z nich odpocząć. Wszędzie mnóstwo jeźdźców. Wszyscy zmierzają tą samą drogą. Trwa nieustanny wyścig. Nikt nie pomaga nieznajomym. W miejscach, w których trzeba przeprowić się przez rzekę lub potok, ludzie stoją godzinami i czekają. Nas było dwudziestu chłopów i męczyliśmy się pół dnia, by przeprowić wozy przez jeden wąski strumień. Tyle w nim było wody. Konie o mało nie połamaly nóg, próbując wydostać się na brzeg.

Mężczyźni w obozie mieli o czym myśleć. W każdej chwili oczekiwali powrotu tamtych trzech. Pięć dni do Geelong, w najlepszym razie. Dwa, trzy dni w mieście, a potem pięć na drogę powrotną, tak czy tak, musi to zająć jakieś dwa tygodnie. A potem wrócą z odnowionymi licencjami, prowiantem i pieniędzmi, na które wymienili złoto.

Uśmiechali się do siebie nawzajem, nieco zdesperowani, bo natychmiast, kiedy tamci wrócą, trzeba będzie wysłać kolejną grupę. Nie siedzą tu przecież z założonymi rękami. Znaleźli więcej niż kopiąc w miejscach, w których już zebrali trochę złota. Kopali coraz głębiej w mokrej, czarnej ziemi i chociaż praca była ciężka, nie żalowali wysiłku. Wydobywali coraz większe bryłki. Przejęci, wciąż gadali o żyłach. To dzięki takim znaleziskom człowiek staje się bogaty. Obrzydliwie bogaty. Gadali też, że wkrótce opuszczą tę okolicę. Wkrótce zamieszkają w najpiękniejszych hotelach w Melbourne i będą żyć jak hrabiowie.

Przeważnie jednak pracowali, bo wysiłek tłumiał niedobre myśli. Praca jest najlepszym lekarstwem na każde cierpienie.

Minęło kilka dni, odkąd tamci trzej wyjechali do Geelong. I sześć dni od chwili, kiedy tą samą drogą wysłali Rozę z dziećmi i Blixem jako woźnicą. Dali mu dwa konie i wóz. Mieli wyjechać dzień wcześniej, ale przygotowanie wozu zabrało aż dwie doby.

W obozie coraz częściej słyhać było kaszel. Nie było dorosłego, który by nie kaszłał. Oni się z tym liczyli. Ktoś, kto chce się wzbogacić na złocie, musi wiele znieść. Musi sypiać pod gołym niebem przy każdej pogodzie, w każdych warunkach. Jego żołądek musi tolerować wodę we wszystkich możliwych barwach. Musi tygodniami znosić brud i zaniedbanie. Ślepo poddać się robactwu, które wgryza się w skórę ludzi niezależnie od tego, co robią. Musi chodzić w przemoczonym i ubłoconym ubraniu. Musi znosić wszelkie konsekwencje ciężkiej harówki i braku odpoczynku.

Wielu daje sobie z tym radę. Wielu jednak się załamuje.

No i to nie jest normalne miejsce dla dzieci. Mężczyźni opatulili Rozę i dzieci w wozie, kiedy mały Jordy zaczął kaszleć, a po trzech dobach z trudem oddychał. Lily też kaszłała i pluła flegmą. Gęstą i krwawą. Ale ona jest większa. Potrafiła sama sobie pomagać, a Jordy tego nie umiał. Roza czuwała nad nim dzień i noc. Trzymała go nad gorącą parą, nad wywarem z gałązek eukaliptusa, własnymi palcami usuwała flegmę z jego buzi. Nie oszczędzała się, nie zaniedbała niczego, by ratować

dziecko. Nie mogli składać na nią całej odpowiedzialności.

Mieli nadzieję, że jeśli Roza z dziećmi wyjedzie, to Jeremy spotka ich po drodze. Obawiali się, że mógłby wrócić, o niczym nie wiedząc, a wtedy oni będą musieli mu powiedzieć, że Rozy nie ma w obozie. Lękali się jego reakcji.

Oddzielali złoto od żwiru i czuwali na zmiany między obozem i lasem. Czekali na Nicka, Jacka i Jeremy'ego. A później także na Rozę i dzieci. Ale dni mijały i nikt się nie pojawiał.

Teraz wcześniej chodzili spać. Było ich tak niewiele, że wystawiali tylko jednego strażnika. Namioty stały blisko siebie wokół ogniska. Utyłani w błocie kładli się pod wilgotnymi kołdrami. Sen pojawiał się i znikał. Byli bardzo zmęczeni, udreżone ciała sprawiały ból.

Byli nieprzygotowani.

Wciąż czekali na swoich.

Nie spodziewali się, że ktoś mógłby wejść do ich obozu, podstępnie niczym dingo. Conny, który miał wartę, zasnął. To oczywiście lekkomyślność, ale nic by to nie dało, gdyby czuwał, skoro nie miał nikogo do pomocy. Mogło się z nimi zdarzyć wszystko.

Byli nieprzygotowani.

Podróż trwała dłużej niż się spodziewał. Charles nie bardzo wiedział, jaka choroba mogłaby tłumaczyć jego tak długą nieobecność. Myślał, że wszystko pójdzie gładko, aż tu nagle pojawił się ten deszcz, jakby sam Pan Bóg źle się odnosił do zadania, które Charles zamierzał wykonać.

Kilka ścieżek na skróty, które znał, okazało się w rzeczywistości objazdami. Zabrał za mało jedzenia. Ostatniej nocy zaczął je racjonować. Pił dużo wody. Przecież będzie musiał wrócić. A droga powrotna nie będzie łatwiejsza. Krótsza też nie.

Może będzie zmuszony posłużyć się jako wymówką jedną z tych bolesnych, intymnych chorób, o które w tej chwili w Geelong nietrudno. Nigdy się niczym takim nie zaraził, tego jest pewien. Ale gdyby nie miał innego wyjścia, chętnie skala własne nazwisko i ogłosi, co mu dolega.

Przychodziło mu nawet do głowy, żeby zawrócić, nie docierając do celu, ale uznał, że to niemożliwe. Niewłaściwe. Nie pojmował, że jego myśli mogły kierować się w tę stronę. Jechał dalej. Jechał długo, aż odnalazł to miejsce. Zabrało mu to cztery dni.

Natychmiast się zorientował, że z obozem jest coś nie w porządku i to zbiło go z tropu. Najpierw pomyślał, że ten przekłety Jordan go oszukał. Ze mimo wszystko zabrał ją i dzieci ze sobą do Geelong. Mógł ich ukryć w jakiejś mniejszej gospodzie.

Chodząc od namiotu do namiotu, rozważał liczne możliwości. Namioty nie były porządne. Poszukiwacze złota porozpinali tylko plandeki pośród zarośli, a tu i ówdzie wbili parę słupków. Spali na ziemi niczym zwierzęta. Przeniknął go dreszcz.

To niehumanitarne, żeby tak żyć. Nie może pozwolić, by ona tak żyła. Jest przeznaczona do czegoś innego. Cywilizacja istnieje także w Australii.

Ale kobiety nie było.

Przeszedł od namiotu do namiotu, wpatrując się

w śpiących. Rozpoznawał twarze. Znajdowali się w tej niewielkiej grupie, która została napadnięta. Pamiętał ich bardzo dobrze, choć działo się to jakiś czas temu. Często zapominał twarze obcych ludzi, ale te tutaj łączą się z nią. Nie zapomnieliby ich nawet, gdyby się bardzo starał.

Ale jej tu nie zastał. Ani jej, ani dzieci. Wozów też nie zauważył.

Jordan mógł zabrać ją i dzieci ze sobą. Mógł ich zostawić gdzieś na skraju miasta. I teraz pewnie się śmieje. Nie, coś się tu nie zgadza. Jordan przecież o nim nie wie.

Nikt o nim nie wie. Jest niewidzialnym człowiekiem, choć kręci się pośród ludzi. Oni go widzą, ale tak do końca nie wiedzą, kim jest.

Jordan nie jest taki mądry, by poznać każdą jego stronę. Nie, Jordan nie może o niczym wiedzieć.

Musi być jakiś inny powód. Bardzo chciał go poznać.

Pochylił się nad mężczyzną, który miał trzymać wartość. Strzelba celowała w jego głowę, gdy Charles szturchnął go gwałtownie. Cassey niemal przestał oddychać. Potrzebował dużo czasu, by odzyskać trochę spokoju i móc odpowiadać na pytania, jakie zadawał mu przybysz.

- Gdzie ona, do cholery, jest?

- Pojechała do doktora - jęknął Cassey.

- Jest chora? - wysyczał Summer, przeklinając w duchu Jeremy'ego Jordana. Ten człowiek nie jest jej wart. To hańba, żeby taką małżonkę, jaką jest pani Jordan, traktować tak jak normalny człowiek nie potraktowałby parszywego psa. Charles posta-

nowił, że porozmawia sobie z tym chłystkiem Jordanem. Może on i jest obyty w świecie, ale trzeba go nauczyć, jak się obchodzić z dobrą żoną.

- Dzieci - odparł Cassey.

- Pojechała sama?

Cassey pokręcił głową. Musiał po prostu odpowiadać.

- Ilu z nią pojechało? -Jeden.

To było ostatnie słowo, jakie wypowiedział. Charles Summer zastrzelił go z zimną krwią. W ciągu następnych trzydziestu sekund zastrzelił pozostałych pięciu. Tylko Dave zdołał umknąć. Uciekał ku strumieniowi. Jaśniejąca w mroku bielizna sprawiała, że Summer nie mógł chybić. Patrzył, jak tamten pada, machając rękami, i nie zadał sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy faktycznie nie żyje.

Po prostu upadł. To wystarczy.

Charles Summer opuścił obóz tak samo cicho, jak tu wszedł. Jeśli nie będzie odpoczywał, jeśli skróci drogę jeszcze bardziej niż w tę stronę, może dotrzeć do Geelong zanim ona przyjedzie tam z dziećmi.

Chciał ją wspierać i pomagać jej, być bardziej mężem niż ten młokos się okazał. Będzie się troszczył o nią i dzieci tak bardzo, że w końcu Roza zrozumie, iż to on jest dla niej odpowiedni.

Prowadził konia po błotnistej ziemi. Na początku ona oczywiście będzie żałować, ale w końcu zrezygnuje. Powinien pozwolić jej na przeżywanie żalu. W końcu sama zrozumie, że wszystko wyszło na dobre.

Będzie mogła mieć więcej dzieci. On będzie mógł jej dać wiele, wiele dzieci.

Rozdział 12

Nick i Jack dogonili Jeremiego przy ostatniej rzeczce, przez którą należało się przeprawić. Całą ostatnią dobę padało i na brzegu czekało mnóstwo ludzi, którzy wierzyli, że będzie lepiej, jak tylko poziom wody trochę opadnie. Jeremy nie podzielał tego przekonania, ale chciał, żeby koń wypoczął.

Przyjrzał się zgromadzonym nad rzeką ludziom, ale Summera wśród nich nie było.

Wdał się w rozmowę z czekającymi najdłużej, ale oni też nie pamiętali, by spotkali kogoś podobnego. Jeremy wyjaśnił, że to jego przyjaciel, z którym zgubili się w Geelong.

- Mam nadzieję, że nie zabrał ze sobą zbyt wiele - zachichotał jeden z mężczyzn, który podejrzewał, że Jeremy poszukuje swego kamrata niekoniecznie ze szlachetnych pobudek.

Jeremy też miał podobną nadzieję, tyle że jego zmartwienia były o wiele poważniejsze. Miał nadzieję, że Summer nie zrobił Rozie nic złego. Tego człowieka bowiem można posądzać o wszystko.

Zdecydował, że nie będzie już dłużej czekał, gdy parę ostrych głosów skłoniło go, by zatrzymać

konia. Widocznie Nick i Jack nie spełniali dokładnie jego poleceń. Jechali w ślad za nim, ale brakowało im prowiantu i co najmniej dwóch koni.

-Myśleliśmy, że chłopak chciał nas oszukać -wyjaśniał Nick, kiedy przekroczyli już rzekę i zostali sami.

- Zakładamy, że wszyscy usiłują nas oszukać -dodał Jack - więc zabraliśmy wszystko, co włożyliśmy do banku. Wzięliśmy też to, co było złożone na twoje nazwisko.

Jeremy spoglądał na nich, nic nie rozumiejąc. Miał większe zaufanie do banku w Geelong. Nie był w stanie uwierzyć, że osoby niepowołane mogły wyjąć z banku jego pieniądze. Uważał, że do tego potrzeba czegoś więcej niż znajomość i przyjaźń.

- Wszystko? - spytał. - Wzięliście wszystko, co było złożone na moje nazwisko?

- Co dó grosza - zapewnił Nick, śmiejąc się szeroko.

- Również pieniądze Rozy?

- Przecież tam nie figurowało jej nazwisko. Wszystko było zapisane na ciebie.

Jeremy przytaknął.

- Mamy wszystko, co było nasze. Nie poszło łatwo, ale w końcu załatwiliśmy interesy po swojej myśli.

- To znaczy, jak? - spytał Jeremy, choć zaczynał mieć złe przeczucia.

-To był uparty facet, ten szef banku - powiedział Nick.

-Ale pomogło, jak pomachaliśmy trochę tym -dodał Jack, pokazując rewolwer.

- Dokonaliście napadu na bank? - spytał Jeremy z niedowierzaniem.

- Wzięliśmy to, co było nasze. Ani szylinga więcej - zapewnił Nick.

-Przecież nie jesteśmy jakimiś pospolitymi przestępcami - Jack był oburzony, że ktoś mógłby tak o nich pomyśleć.

Jeremy westchnął. Nie sądził, że stróże prawa też tak tę sprawę potraktują. W ich oczach będzie to po prostu zwyczajny napad.

-Jak mogliście być tak cholernie głupi? -krzyknął wzburzony.
- Teraz, kiedy wszystko zaczęło nam się układać. I właśnie teraz będziemy musieli uciekać jak najdalej stąd. Zastanowiliście się nad tym?

-Złoto jest chyba również w innych częściach Australii - odparł Nick beztrąsko.

- Znaleźliśmy je tutaj, znajdziemy i gdzie indziej - dodał Jack z przechwałką w głosie.

- To kraina mlekiem i miodem płynąca! - wrzeszczał Nick w ekstazie, nie żałując tego, co zrobił w Geelong.

Jeszcze tego samego wieczora dotarli do obozu. Nie oni pierwsi odkryli zwłoki. Przepędzili jakąś bandę, a potem mogli się przekonać, że tamci popracowali solidnie. Jacyś nieznajomi faceci. Jeden nie śpieszył się za bardzo do koni, więc złapali go i zmusili, by wskoczył do strumienia. Otoczyli go, wciąż siedząc na koniach, i zażądali wyjaśnień. Nick trzymał broń gotową do strzału. Miał ochotę powystrzelać tych drani niczym psy.

-Ale oni już nie żyli, kiedy przyjechaliśmy - zapewniał człowiek przed nimi. Był niewielkiego wzrostu. Sposób, w jaki się wysławiał, świadczył,

że to Anglik. Może jeden z licznych marynarzy, którzy uciekli ze statków w którymś z australijskich portów. - Oni naprawdę byli martwi - powtarzał. - Nieco niżej w rzece znaleźliśmy jednego trupa. To było na początku, kiedy jechaliśmy tutaj. Potem trafiliśmy na nich. I pomyśleliśmy, że nie zaszkodzi, jeśli poczęstujemy się tym, co tu jest.

- Nikt przed wami niczego nie ukradł? - spytał Jeremy zdumiony.

- Nic a nic - odparł Anglik. - Ale wszyscy byli martwi. Leżeli tak jak teraz. Myśmy ich nie ruszali. Jest ich tu pięciu, no i ten, który zdążył dobiec do rzeki. Wyciągnęliśmy go na ląd.

Okazali mu łaskę i pozwolili odejść. Nie trzeba mu było powtarzać dwa razy. Nawet nie wyszedł na brzeg, pędem ruszył w dół rzeki, jakby w obawie, że się rozmyślą.

Trzej przybysze zaś chodzili od namiotu do namiotu i patrzyli, co się stało. Nie byli w stanie niczego zrozumieć. Skoro nic nie zostało ukradzione, wszystko zdawało się nie mieć sensu.

Jack pojechał wzdłuż brzegu w kierunku wskazanym przez chłopaka. Odnalazł martwe ciało Da-ve'a i zabrał je do obozu.

- Gdzie, do diabła, podziewa się Roza i dzieci? - spytał Nick, spoglądając na Jeremy*ego. - I gdzie do diabła podziewa się Blix.

Jeremy nie miał na to żadnej odpowiedzi. Dokładnie zbadał otoczenie obozu, znalazł ślady kół prowadzące w kierunku, który wybrałby człowiek jadący wozem w dół, na brzeg. Najchętniej od razu poszedłby tym śladem, ale najpierw należało zrobić inne rzeczy.

-Jeśli Roza jest z Blixem, to nic jej nie grozi -powiedział, choć za bardzo pewien nie był. W końcu towarzyszy jej były rewolwerowiec.

- Musimy pochować chłopaków.

Jack spojrział na martwą twarz Dave'a. Bez słowa skinął głową.

- Gdybyśmy nie byli tacy głupi - rzekł po chwili stłumionym głosem - to moglibyśmy sprawić im porządny pogrzeb. Stać nas na to. Mogłoby się to odbyć jak trzeba. Ale Nick i ja wszystko zepsuliśmy. Nie pomyśleliśmy...

Jeremy poczuł się stary. Na nic się nie zda mówić im, że to nie tylko ich wina. Wszyscy są winni tak samo. Wszyscy powinni byli pojechać do Geelong. Albo zostać tutaj. Nie powiedział jednak, że być może za tym, tutaj, stoi pewien stróż prawa. Było to podejrzenie tak niesłychane, że Jeremy nie chciał wypowiadać go głośno. Nie chciał, żeby mu uwierzyli.

- Nie moglibyśmy i tak zawlec wszystkich zwłok do miasta - westchnął ciężko. - Równie dobrze możemy pochować ich tutaj.

Zajęło im to większość dnia. Uśmiechami pokrywali głuchy ból, kiedy okryte plandekami ciała przysypywali ziemią, w której mieniły się okruchy złota. Żaden nie pomyślał, żeby je wypłukać.

Potem podzielili się pieniędzmi i pożegnali. Jeremy wziął część Blixa oraz to, co należało się jemu i Rozie. To, co zostało po sześciu nagle zamordowanych, pozwolił podzielić między siebie Nickowi i Jackowi.

Oni obaj pojechali na północny wschód.

Jeremy ruszył po śladach wozu.

Domyślał się, dokąd tamci dwaj się wybierają, ale nie wiedział dlaczego.

Wóz był przekleństwem. Powinno tu być z tuzin chłopa, by manewrować pojazdem w glinie i bagnie. Dwa konie to też za mało, były teraz śmiertelnie zmęczone.

-To nie jest droga do Geelong - powiedziała Roza czwartego wieczora.

-Ja cię nie wiozę do Geelong - odparł Blix.

- Ale mamy dwoje chorych dzieci. Muszę się dostać do najbliższego lekarza!

- Nie mogę cię zawieźć do Geelong, gdzie urzęduje ten szaleniec.

- No to dokąd jedziemy?

- Do Melbourne.

- Zanim tam dotrzemy, dzieci będą martwe! Mężczyzna przyglądał jej się z powagą.

- Skręciliśmy na zachód tak dawno temu, że o Geelong nie może być mowy.

-Jeśli stracę choć jedno dziecko, to cię zamorduję. - Roza była śmiertelnie poważna.

-Jeśli stracisz choćby jedno dziecko, to ja sam się zastrzelę - odparł równie poważnie.

-Jeremy nie wie, że jedziemy w stronę Melbourne.

-Mimo to podąży za nami - powiedział Blix i naprawdę w to wierzył. - Zostawiam znaki po drodze. On zrozumie.

Ślady wozu łączyły się z innymi. Jeremy zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Blix wybrał najbardziej uczęszczany szlak. Czasami mógłby uwie-

rzyć, że kierował tym Summer. Tak było do chwili, gdy stanął na rozstaju dróg i nieoczekiwanie znalazł na krzaku nitkę z kołderki Jordy'ego. Była zaplątana w gałązki, wyglądało to na przypadek. Jeremy chwycił nić i uważnie zbadał krzew. Tuż obok miejsca, w którym wisiała nitka, znalazł gałązkę najwyraźniej umyślnie złamaną. Od tej pory bał się mniej.

Ruszył drogą, którą wskazywała złamana gałązka. Jakieś pięćset jardów dalej znalazł jeszcze jedną gałązkę złamaną w taki sam sposób. Odległości były różne, ale w ciągu przedpołudnia dał się prowadzić tym znakom. Z ulgą stwierdził, że kierują go ku wschodowi.

Nie rozumiał, dlaczego wyruszyli w drogę, ale musiało to być coś ważnego, skoro nadal jechali przed siebie. Był pewien, że to Blix powozi. Roza też by pewnie wpadła na pomysł oznakowania drogi, ale robiłaby to bardziej otwarcie. Tutaj działał ktoś przywykły do największej ostrożności.

To ten napad unicestwił wszystkie jego zamiary. Musiał się śmiać, kiedy o tym myślał. Charles Gordon Summer stracił wszystko dlatego, że dwaj idioci nie zdołali odebrać pieniędzy swoich kolegów w normalny sposób. Żeby rozwiązać problem, napadli więc na bank. I chociaż ukradziona suma nie przekraczała tego, co napastnicy i ich wymienieni z nazwiska przyjaciele przechowywali w banku, to jednak sprawą musiał się zająć policjant. Mając do czynienia z tak poważnym przestępstwem, jak napad na bank, szef policji wezwie wszystkich swoich ludzi. Kawałek papieru informujący, że

Summer jest chory, nie wystarczy, by mógł on uniknąć pościgu, który na pewno natychmiast się rozpoczął.

Lucas zapomniał zamknąć drzwi na klucz, kiedy wślizgnął się do domu poprzedniego wieczora. Policjanci znaleźli go śpiącego w łóżku Charlesa. Wszyscy wiedzieli o pochodzeniu chłopca, nie zdziwili się więc, że tu jest. Jednak tłumaczenia malca w sprawie, co się dzieje z konstabłem Sum-merem, były mętne.

W końcu opowiedział im z płaczem o licznych wcześniejszych wyjazdach Charlesa Gordona Summera. A to znacznie poważniejsza sprawa niż napad na bank. O tym napadzie teraz na chwilę zapomnieli.

Kiedy Summer wrócił do domu, czekali na niego. Pozwolili jednak, by sam wszedł do środka. Czekali przy głównych drzwiach. Wszyscy byli przygotowani na strzał, który musiał paść. Potem poczekali jeszcze chwilę.

Summer siedział na schodach z tyłu domu. Ostatnie, co zobaczył, to widok na zatokę.

-On lubił morze - mówili policjanci.

- Ojciec podobno był marynarzem.

Ułożyli go starannie, zanim ciało zdążyło zeszywnieć, i mówili, że to cholerna szkoda, bo przecież był takim dobrym policjantem.

Lucas siedział w ciemnej stajni i także słyszał wystrzał. Wiedział, że to on jest winien śmierci ojca. Powinien był milczeć, wybrał jednak to drugie.

- Cieszę się, że nie żyje - bąknął półgłosem sam do siebie. - Nienawidzę go!

Doktor nie chciał mieć z nimi do czynienia, kiedy zapukali do niego długo po zapadnięciu zmroku. Roza potrafiła zrozumieć tego człowieka, ale ani jej gniew, ani strach od tego nie zmalły. Kątem oka dostrzegła dłoń Blixa. Dłoń skierowaną ku wewnętrznej kieszeni kurtki i o mało nie wrzasnęła, żeby nie strzelał do doktora, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Blix tymczasem wyjął coś i podał doktorowi. Znalazł sposób, by zmusić go do posłuszeństwa. W sekundę później doktor trzymał w dłoni grudkę złota wielkości paznokcia męskiego kciuka.

- Tutaj skupują złoto w cenie ponad cztery funty za uncję - rzekł Blix krótko. - To waży więcej. Myślę, że w pełni pokryje koszty zbadania tych dzieci.

Już dawno Roza nie słyszała, by Blix powiedział tyle za jednym razem. Ostatnio było to wtedy, gdy przemawiał do Jeremy'ego. Nie wiedziała, czy na doktora podziałało złoto, czy też powaga, z jaką zachowywał się Blix. Zostali jednak wpuszczeni do środka.

Po długich, pełnych lęku minutach lekarz powiedział matce, że to, co dolega dzieciom, medycyna nazywa zapaleniem płuc.

- Dziewczynka wygląda na silną - stwierdził doktor. - Myślę, że ma dużo szans. Co do chłopca jednak nie jestem taki pewien.

Roza odwróciła głowę, widząc oczywiste pytanie we wzroku doktora.

- To moje dziecko - oznajmiła z uporem. - I powinien otrzymać równie dobrą opiekę jak wszyscy inni, którymi się pan zajmuje, doktorze!

Lekarz nie odpowiedział i Roza zrozumiała, że to złoto ma taką siłę przekonywania.

- Dzieci powinny mieć spokój - poinformował doktor. - Doradzałbym, żeby trzymała je pani pod dachem. Na przemian zimne i gorące okłady powinny pomóc. Poza tym możemy się tylko modlić.

- To dość wysoka cena, za taką informację -mruknęła Roza, wracając z Jordym do wozu.

Blix niósł Lily. Matt pilnował koni.

- Cena jest jeszcze wyższa, jeśli pomyśleć, że to wszystko, co miałem - popatrzył na Rozę. - Nie stać nas na wynajęcie pokoju. Powinienem być raczej sprzedać to przeklęte złoto.

Roza pogłaskała go po ramieniu, wiedziała, że działał w najlepszej wierze.

- Nie przekroczylibyśmy progu domu tego doktora, gdyby nie twoje złoto, Blix. Bardzo ci dziękuję i nigdy nie zapomnę tego, co dla nas zrobiłeś.

Blix uniósł kącki ust, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, zatroskany i dumny, nieprzywykły do uśmiechów.

-Znajdę ci jakiś pokój, choćbym miał posłużyć się rewolwerem.

-Naprawdę, nie trzeba - odparła. Znacznie łagodniej niż gdyby to kto inny zaproponował jej coś takiego.

-Chcesz dokonać jakiegoś napadu? - zdumiał się Matt.

Blix wzruszył ramionami.

- To by było piękne - dodał chłopiec, a Blix czuł, że krew szybciej płynie mu w żyłach. Popatrzył na chłopca. Jednak gdzieś w głębi duszy czuł, że po winien zachowywać się odpowiedzialnie.

Znowu żyje. To ona go obudziła.

Czekają go nowe, pełne życia lata. Miał ochotę wyjść im na spotkanie. Ręce już mu się nie trzęsły. Miał pewność, że zrobił coś właściwego. Najpierw jednak musi się nią zaopiekować.

-Wyprowadzimy wóz z miasta - oznajmił, jakby z prośbą w głosie. Po prostu inny człowiek niż ten, którego znali. - Z powrotem po naszych własnych śladach. Będziemy czekać na Jeremy'ego.

Roza nie miała żadnych przeczuć w sprawie, czy Jeremy się pokaże, czy nie. Nie przeczuwała też, co będzie z dziećmi, czy wyzdrowieją. A powinna była to wszystko wiedzieć. Przecież zawsze wie, kiedy życie jej bliskich jest zagrożone. Zawsze polegała na sobie, nie potrzebowała innych. To straszne, kiedy człowiek kogoś potrzebuje. Nie zdając sobie z tego sprawy, Roza złożyła ręce do modlitwy.

Szukał w stajniach. Wydawało mu się rozsądne zaczynać od takich miejsc. Nikogo jednak o nich nie wypytywał. Był jednym z tuzinów amatorów przygód, którzy się tu codziennie pojawiają. Wyglądał jak jeden z nich. Sprawiał wrażenie młodego i niedoświadczonego. Marzyciela, który wierzy, że szczęście znajduje się na północnym zachodzie i że wystarczy tylko wbić szpadel w ziemię. Nikt nie powinien zauważyć, że w jukach i w butach przechowuje fortunę. Był tak samo zaniedbany, jak setki innych, którzy przeszli tu przed nim.

-Zamykamy na noc - wyjaśnił dozorca jednej z wielkich stajni. Śledził Jeremy'ego podejrzliwym wzrokiem. - Bez zapłaty nie dostaniesz noclegu,

chłopcze. Muszę zastrzelić każdego, kogo tutaj znajdę. Tak jak strzelam do szczurów.

- Rozumie się - przytaknął Jeremy. - Szczury to prawdziwa plaga.

- Jeśli nie stać cię na porządny pokój, to za pięć szylingów na tydzień możesz rozbić namiot w Canvas.

- W Canvas? - spytał Jeremy.

- Nie musisz się obawiać szczurów - mruknął stróż stajni i zachichotał. - Nie jest tam wcale źle. Nie słyszę, żeby nowo przybyli się uskarżali. Prowadzą tam też sklepy - rzeźnik, handlarz wódką i żywnością. Namiot też możesz wypożyczyć, jeżeli nie masz swojego. Ulice ponazywali tak jak w Londynie. Może znajdziesz coś wolnego przy the Mall.

Stróż chrząknął.

- A gdzie znajdę to Canvas? - spytał Jeremy.

- Podążaj dalej na południe - odparł tamten, wskazując ręką. - Trudno się pomylić. To leży tuż przy Price's Bridge. Od razu będziesz wiedział, że jesteś na miejscu.

I to się zgadzało.

Namiotowe miasteczko rozciągało się między zatoką a samym Melbourne. Wzniesiono je według konkretnego planu. Namioty nie stały gdzie popadnie, czy gdzie komu pasuje. Ustawiono je w szeregach, tworząc uliczki. Znalazł wóz na skrzyżowaniu Buckingham Gate i Victoria Street. Podjechał do niego od tyłu i szukał otworów w plandecie. Natychmiast ktoś przystawił mu lufę do głowy.

- Wycofuj się, ale już - usłyszał głos Blixa.

- Świetna robota - odparł Jeremy, ale nie patrzył w stronę morderczej lufy. Nie chciał myśleć, że palec Blixa może drgnąć i dojdzie do nieszczęścia.

-Jordan? - spytał Blix, wysuwając głowę spod plandeki i zabezpieczając rewolwer.

Jeremy uśmiechał się. Blix też zdobył się na coś podobnego.

- Ostrożności nigdy dość - oznajmił.

Z tyłu za Blixem ukazała się ciemna głowa. Jeremy poczuł ulgę na widok Matta. Chłopiec najwyraźniej też się ucieszył. Zeskoczył z wozu i poklepał konia Jeremy'ego.

-Wiedziałem, że przyjedziesz - mówił z ufnością.

- A Roza? - spytał Jeremy.

W oczach Blixa pojawiło się zmieszanie.

- Dlaczego wyjechaliście?

- Mały i Lily się rozchorowali. Jeremy poczuł ciężar w piersi.

- Tamci nic ci o tym nie mówili? - zdziwił się Blix. Jeremy zeskoczył z konia i zaczął odpinać juki.

Nigdzie się bez nich nie ruszał. Matt przywiązał konia do wozu, a potem wślizgnął się między obu mężczyzn.

- Oni nie żyją - odparł Jeremy cicho i opowiedział, co się stało, ale nie wdawał się w szczegóły na temat tego, co znaleźli w obozie.

Blix słuchał i zaciskał szczęki tak, że mu pobieleły. Ręce nawet nie drgnęły. Wciąż trzymał w nich strzelbę.

- Słyszałam was.

Roza spuściła nogi z wozu i osunęła się w ramiona Jeremy'ego.

Jego kurtka pachniała skórą i błotem, ale Roza się nie odsunęła. Pod kurtką gwałtownie biło jego serce. Spierzchniętymi wargami dotknął jej czoła, a kiedy uniosła twarz i spojrzała mu w oczy, położył dłonie na jej policzkach.

To nie było sentymentalne zachowanie. Szorstkie wargi mężczyzny niemal sprawiały jej ból, ale chciała je czuć, chciała tego, opłótła go ramionami w pasie. Dotykała dłońmi rewolweru, wyczuwała kość biodrową.

- Dzieciom już lepiej - szepnęła, kiedy ich usta się rozdzieliły. Przytuliła twarz do jego ciepłej szyi. Tym razem Jeremy nie nosił apaszki, koszula była rozpięta. Mężczyzna miał ciepłą, gładką skórę, nie mogła się od niego oderwać.

- Lily już prawie wyzdrowiała, Jordy kaszle, ale jest coraz lepiej. Z każdym dniem coraz lepiej.

-1 to wcale nie dzięki doktorowi - wtrącił Blix z pogardą. - Najlepiej bym zrobił, gdybym tam wrócił i go zastrzelił.

-Nie będzie żadnego strzelania - zaprotestowała Roza surowo, a Blix zawstydzził się i uśmiechnął niepewnie.

- Zabieram was do hotelu - oświadczył Jeremy, któremu nie podobało się to całe Canvas.

-Jesteś głupszy niż na to wyglądasz - odparła Roza. Najmniejszym gestem nie dała poznać, że chce mu się wymknąć, a on też nie wyglądał na niezadowolonego. Obejmował ją mocno. Wydawało mu się to całkiem naturalne. Właśnie za tym tęskniły jego ramiona przez cały ten długi czas, kiedy znajdował się daleko od niej. Niemal przez trzy tygodnie. Nigdy więcej na tak długo jej nie zostawi.

- Myślisz, że Summer nas nie szuka? - spytała. - Nie uważasz, że ten napad na bank to największe przestępstwo, jakiego dokonano w Geelong od czasu odkrycia złota?

- Przeklęte głupki! - mruknął Blix. - Przecież teraz wszyscy powtarzają sobie ich nazwiska. Nie sądziłem, że można być takim kompletnym idiotą.

- Nie ma bezpieczniejszego miejsca niż Canvas

- zapewniła Roza. - Zwłaszcza, że wynajmujemy miejsce jako rodzina Smithów - dodała, wymieniając spojrzenia z Blixem.

- Bo ja nie jestem taki całkiem głupi - mruknął tamten. - Zresztą nie po raz pierwszy nazywam się Smith. Mężczyzna musi się ukrywać, jeśli chce przeżyć.

- Ty to już na pewno przeżyjesz, kolego Smith

- powiedział Jeremy, ściskając mu rękę. - Ja osobiście zwykle nazywam się Johnes.

Zachichotali obaj. Blix poklepał Jeremiego po plecach, spoglądał i na Rozę, i na niego, ale w jego spojrzeniu nie dostrzegano już ani śladu bólu.

Wieczorem Jeremy zabrał Rozę nad morze, na zachód od miasteczka. Wiózł ją przed sobą w siodle. Mieli sobie wiele do powiedzenia.

-Nie powinnam była zostawiać dzieci - zaniepokoiła się Roza, kiedy w jakiś czas potem szli wzdłuż brzegu. Nie powinnam zostawiać ich pod opieką Blixa. I tak już tyle mu zawdzięczam...

Jeremy ujął jej nadgarstek. Nie musiał używać siły, by przyciągnąć ją bliżej.

Przysuwała się do niego z własnej woli.

-Ale tego winna mu nie jesteś - powiedział

cicho, a potem pochylił się i ostrożnie ją pocałował.

- Nie, tego nie.

- I mnie też nie jesteś nic winna - oświadczył Jeremy z naciskiem, opierając dłonie na jej biodrach. Gdyby chciała, mogłaby się teraz wymknąć z jego objęć.

- To prawda, nic ci nie jestem winna - uśmiechnęła się, zarzucając mu rękę na szyję.

Jej ciało było ciepłe i uległe, Jeremy'emu zaschło w gardle, czuł pulsowanie w opuszkach palców, krew szybciej płynęła w żyłach.

Pragnął jej aż do bólu. Śmiech wydobywający się z jej gardła świadczył, że ona świetnie to rozumie. Tuliła się do niego bezwstydnie, sprawiając, że był jeszcze bardziej podniecony, jeszcze bardziej szalony.

Znowu ją pocałował, nie mógł przestać. Całował jej usta, policzki, powieki. Całował uszy i skronie, całował szyję. Wtulał twarz w jej miękkie włosy.

- Nie jestem dzikusiem, Roz - szepnął, oplatając ją ramionami.
- Tak strasznie cię pragnę, ale nie ma mowy, bym wziął cię tutaj wśród nadbrzeżnych kamieni.

-Nie?

Oparł czoło o jej głowę.

- Chcę cię - powtarzał. - Bardzo chcę. I przecież ty też chcesz tego samego, prawda? - To się musi stać - mówił Jeremy ochryple. - Zrobimy to, ale nie tutaj. Nie teraz.

-Nie - powiedziała Roza i w mroku szukała jego ust.

Jeremy uśmiechał się. Nie mógł sobie przypo-

mnieć, by kiedykolwiek przeżywał takie zmysłowe pocałunki.
- Zabiorę was do Waimauku - mówił. - Dotrzymam słowa.

Roza odparła, że sobie to zapamięta. Ale jej słowa zgasły pod jego pożądliwymi wargami.

Kiedy słońce wschodziło nad Canvas, Roza spała na jego ramieniu. Uśmiechali się oboje.

Blix wbił sobie ich obraz w pamięć, zanim spakował kilka swoich rzeczy i odwróciwszy się plecami do Melbourne, ruszył w drogę. Krótka informacja, którą naskrobał na pięćofuntowym banknocie, mówiła, że nie powinni go szukać.

Spojrzał na nich po raz ostatni

Słońce mieniło się we włosach Rozy. Te rude włosy otaczały ich oboje niczym aureola. Z zadowoleniem pomyślał, że stał się oto lepszym człowiekiem. Opuścił ich w milczeniu.

W Geelong bez rozgłosu i honorów pochowano zdradzieckiego policjanta.

W kraju mlekiem i miodem płynącym nastał nowy dzień.